

Danuta Łozińska

Czas przeszły

Czas przeszły, czyli neonatologia
z moim życiem i historią w tle

Wydanie II, Cybulki 2023.

Danuta Łozińska
Czas przeszły
Wydanie I, Warszawa 2007
Nakładem własnym
Copyright by Danuta Łozińska 2007

Czas przeszły, czyli neonatologia z moim życiem i historią w tle

Medycyna była przypadkiem w moim życiorysie, a stała się głównym nurtem życia.

Bez pokazania, jak zmieniający się świat mnie kształtował, nie można zrozumieć mojej drogi życiowej. Dlatego będę pisać o wojnie, o polityce, jak również o rodzinie i środowisku, w którym żyłam.

Te wspomnienia nie są dziełem literackim, ale niektóre jego fragmenty mogą stanowić drobny szczegół w historii medycyny. Chcę pokazać, jak powstawała neonatologia, ta mała specjalność między znanymi potęgami: położnictwem i pediatrią.

DZIECIŃSTWO

Moja matka, Maria Benigna z Kazimierskich Żaczkowska, nigdy nie pracowała zawodowo. Spokojne dzieciństwo. Mama zawsze w domu. Dwie starsze siostry rozcignięte, a ja gapa i stale choruję. Czy chcecie wiedzieć, jak mnie, przyszłego pediatrę, leczono? Nie było nawet sulfonamidów. Byłam mała, chuda i często chorowałam na gardło, na uszy, na płuca. A tu tylko aspiryna, bańki i rozgrzewające kompresy pod ceratką.

Miałam zapalenie ucha. Wysoka gorączka, wskazania do nakłucia błony bębenkowej. To był zabieg wymagający hospitalizacji. A właśnie zbliżały się święta - Boże Narodzenie, które trzeba spędzić w szpitalu.

Mama przypomniała sobie moje marzenie. To była duża lalka w krakowskim stroju, na wystawie w sklepie na Krakowskim Przedmieściu. Bardzo droga. A ja wpadłam w zachwyty nad tymi koralikami i wstążeczkami i nazwałam ją własnym imieniem Danusia. Dzień przed wyznaczonym terminem oddania mnie do szpitala mama kupiła tę lalkę i posadziła w nogach dziecinnego łóżeczka. Gdy zbudziłam się z gorączkowego snu - efekt był niesłychany. Chyba wzrost ciśnienia krwi spowodował perforację błony bębenkowej. Ropa wypłynęła, do szpitala nie poszłam.

Następne wspomnienie - to gruźlica. Miałam 9 lat i pierwszy rok chodziłam do szkoły, od razu do klasy wstępnej, bo dwie podwstępne zaliczyłam w domu. Dalej byłam córeczką mamusi, a zawieźli mnie do Zakopanego - do sanatorium na Bystrem. Tęskniłam za domem, ale miałam szczęście. Zachorowałam na dyfteryt. Było nas czworo. Jeden chłopiec strasznie charczał - to był krup. Ta czwórka ciężko chorych dzieciaków została przewieziona do szpitala na Gubałówkę saniami i nikt się temu nie dziwił.

Oczywiście mama przyjechała i resztę kuracji odbyłam w prywatnym pensjonacie. Wyzdrowiałam na tym leczeniu powietrzem, ale wciąż byłam niejadek. Nigdy nie czułam głodu i nie lubiłam nawet słodczy.



Moi rodzice z Marychną. Stoi siostra ojca, Helena.

Chodziłam dalej do szkoły. Z Powiśla z Browarnej szło się zawsze piechotą pod górkę do Śródmieścia. Były to wędrowniki gromadne, moje siostry i ich koleżanki – wesołe towarzystwo. Z siostrami żyłam zgodnie, a najstarsza z nas, Marychna, była dla mnie przychylna i opiekuńcza. W szkole bywało różnie. Jak było coś ciekawego, to szło mi świetnie, a nudne zajęcia lekceważyłam. Najwięcej kłopotów miałam z ortografią i mam je do dziś.

Ale szkoła to nie tylko nauka. Zapisalam się do zuchów. Podobały mi się harcerki. Harcerką zostałam więc automatycznie. Ale zapowiedziano mi, że na wycieczki jeździć nie będę. To było niebezpieczne. Gdy miałam 13 lat zaczęłam przełamywać to tabu i zapragnęłam pojechać na obóz harcerski.

Zgroza. Na to musi zgodzić się lekarz. To był dobry pediatra. Stwierdził, że to świetny pomysł. Tak więc ruszyłam, z plecakiem pełnym ciepłego ubrania, do Zaleszczyk. To najcieplejsza miejscowość w Polsce. Tam były jedyne nasze winnice.



W niedzielę powędrowałyśmy do kościoła. Był straszny upał. A my przez las, przez górki, przez las, trochę błądziłyśmy. Dobrnęłyśmy do kościoła po nabożeństwie. Więc odpoczynek i trzeba coś zjeść. Suchy prowiant. Kawał kielbasy w rękę, czekolada z dużego bloku Wedla i pyszna woda z głębokiej studni. I jaka ta kielbasa dobra! Dlaczego w domu karmiono mnie taką kiepską szynką, a kielbasy mi nigdy nie dali? Odkryłam głód. Obozy harcerskie powtarzały się co rok, ale nie były to jedyne wakacje. Wakacyjne wspomnienia z dzieciństwa zasługują na uwagę.

Marychna i Sabcia

Najlepiej było u ciotki Maniuty w folwarku Brzozowa, w majątku Sobieszyn. Tam była rolnicza szkoła zawodowa z internatem i wzorowe gospodarstwo rolne. To fundacja hrabiego Kickiego. Mąż mojej ciotki, Ludwik Szmyth, wykładał ogrodnictwo. Pochodził z Austrii, tam kończył studia i miał dużo fachowej literatury. A dla mnie przy stole było krzesło z podłożonymi trzema grubymi książkami, bo byłam bardzo mała. Wróżono mi więc, że będę uczoną, bo ta wiedza musi do mnie przeniknąć. A zasłużyłam już na uznanie, bo czytając w elementarzu, że „kaczuszka się zestrachała”, przeczytałam to poprawnie.

Moi wujostwo to było bezdzietne małżeństwo. Ciocia, wspaniała gospodyni, była szczęśliwa, gdy miała dużo gości. Zapraszali więc liczną rodzinę na wakacje i różne święta. Jeździłam tam od wczesnego dzieciństwa.



Czasem przywoziliśmy im różne prezenty. Pamiętam lampę naftową ze wspianym abażurem, a zwłaszcza radio. Tam usłyszałam po raz pierwszy radiowy głos przez słuchawki. To było radio na igłę z kryształkiem.

Przed świętami ciocia zaga-
niała dzieciaki do roboty przy wy-
piekach. Kazała kręcić przez ma-
szynkę mak do strucli aż siedem
razy. Trochę to skracałiśmy. Ciocia
nie lubiła grymasów przy jedzeniu.
Najbardziej pilnowała Witka mojego
kuzynka, a on, żeby uniknąć picia
kakao, podlewał nim róże za oknem
w stołowym pokoju. Ale one rosły!

*Ja z ciocią Basią i jej przyjaciółką
Janką. Rok 1929.*

Cała Brzozowa pełna była dzieciaków i młodzieży. To było wspiane życie w wielkim ogrodzie i jeszcze większej beztrosce. W takim świecie dorosłeliśmy powoli. Marychna, starsza ode mnie o sześć lat, tam poznała przyszłego męża.

Ale nic nie trwa wiecznie. Fundacja Sobieszyn stopniowo upadała. Najpierw zamknięto szkołę i opustoszała Brzozowa. W Sobieszynie była jeszcze doświadczalna stacja rolnicza.

W 1933 r. Marychna zdała maturę i wkrótce wyszła za mąż za inżyniera rolnika, Józefa Ponikiewskiego. Pracował on w tej doświadczalnej stacji w Sobieszynie. Jeździliśmy do nich jeszcze latem, ale był to już inny Sobieszyn.

Były jeszcze stawy rybne między pałacem a łąką nad Wieprzem, no i ta stacja doświadczalna, a także znacznie mniejsze grono znajomych. Bankructwo tej fundacji pogłębiało się i trzeba było Sobieszyn opuścić.

Ale chcę jeszcze wspomnieć o jednych wakacjach. W 1938 r. pojechałam z Marychną i jej trzyletnim synkiem Sławkiem do rodzinnego domu jej męża, gdzie gospodarował jego brat. Były tam dwie wsie o nazwie Ponikiewki. Ponikiewki Duże – to wieś szlachecka. Domy w dużej odległości, drewniane, ale zadbane. I dobrze prowadzona gospodarka. Ponikiewki Małe to skromna wioska chłopska. W tych dużych mieszkali Ponikiwscy. Poznałam tych ludzi. Dzieci w moim wieku były na wakacjach w domu, ale przez resztę roku w szkole z internatem w Pułtusk. Otrzymały dobre wykształcenie. A tu było wiejskie życie. Radio na słuchawki i zajęcia domowe.

Sławek czuł się tam świetnie, był gospodarzem. Wyszedł na podwórze i mówi: „niech Ciborowski zaprzęga, jedziemy w pole”. Ta jazda drabiniastym wozem, a potem nawet na sianie – to były atrakcje.

Czy był to sen, czy legenda? Wojna zrównała wszystko z ziemią. To koniec mojego dzieciństwa.

Musiałam się zmienić, żeby przeżyć i przetrwać otaczające mnie zło.

NA PROGU DOROSŁEGO ŻYCIA

Ostatnie lata szkolne spędziłam też na Powiślu, ale już bardziej luksusowym. To był dom na ulicy Czerwonego Krzyża, w sąsiedztwie teatru Ateneum. Mieszkała tam już cała nasza rodzina, z Marychną, jej mężem i małym Sławkiem. I żyło się wygodnie. To miało być tymczasowo, bo rolnik musi być na wsi. Oni zamierzali kupić ziemię i żyć u siebie. Na razie była praca w Warszawskiej Izbie Rolniczej.



Legitymacja Marychny

A ja zbliżałam się do końca szkoły. W maju 1939 r. zdałam maturę. Matura poszła gładko, choć podejrzewałam, że poprawiono mi błąd ortograficzny. W tych czasach równało się to z dwóją z polskiego. Ustny zdawałam ostatnia, bo uznano, że nie jestem najgłupsza i zachowano mnie jako rezerwę, gdyby przyszła wizytacja z kuratorium. To była dobra szkoła, ale prywatna – Haliny Gepnerówny.

Gdy zmęczone wyszliśmy całą grupą na ulicę Moniuszki, któraś krzyknęła „ścigamy się - do tego drzewa na placu Napoleona - przed pocztą”. Dopadliśmy celu, a ktoś zapytał, z jakiej okazji takie wyścigi. „Zdałyśmy maturę, jesteśmy dorosłe, koniec budy”.



Więc zmieniamy styl życia. Poszliśmy z grupą znajomych na pierwszy i jedyny prawdziwy dancing do klubu Wioślarskiego za mostem Poniatowskiego. Bawiliśmy się wesoło, tańczyliśmy. Miałam sukienkę w kwiaty z francuskiego jedwabiu. I podszedł do nas dorosły pan, pytając, czy może z którąś z pań zatańczyć. O dziwo, wybrał mnie, choć wyglądałam jak niewyrośnięty podłotek. Ten wybór nie był przypadkowy. To członkowie klubu chcieli się dowiedzieć, jak taki kwiatuszek trafił na dorosłą zabawę.

Ja - maturzystka

Było to pyszne życie. Marta Chałupczyńska prowadziła mnie i Krysię Poddębską na konkursy hippiczne do Łazienek. Ona kochała konie – ziemianka. Miałam pierwszy dorosły kapelusz, z białego filcu z kolorową wstążką.



*Obóz
harcerski nad
Świtezia.
Lipiec, 1939.*



Pojechałyśmy na obóz harcerski nad słynne jezioro Świtez. To był rezerwat, ale bardzo mały. Obóz oczywiście poza nim, ale gary szorowało się w tym jeziorze. Zwiedzałyśmy Wilno.

A po powrocie kurs przygotowawczy do egzaminu na Politechnikę Warszawską. We trzy – z Martą i Krysią zdawałyśmy na chemię, taką przemysłową, żeby nie uczyć w szkole. Byłyśmy nowoczesne.

Ostatnie dni sierpnia nerwowe. Brat Krysi dostał wezwanie do wojska. Czy naprawdę będzie wojna?

„Dnia pierwszego września roku pamiętnego wróg napadł na Polskę z nieba wysokiego.”

Ostatnie zdjęcie w mieszkaniu na Czerwonego Krzyża. Sierpień 1939.

O piątej rano spadły pierwsze bomby na Warszawę. Gdzieś na Kole – zawalony dom. Zginęli ludzie. Ale to nie znaczy, że nie będziemy się uczyć. Złożyłyśmy papiery na tej Politechnice. Odebrałam maturę po kilku miesiącach. Spłonęła dopiero w Powstaniu Warszawskim.

WOJNA

A wojna trwa. Frontu jeszcze nie widać, wiadomości skąpe. Codziennie alarmy lotnicze i bombardowanie. Zmobilizowano starsze harcerki. Chodzę na zbiórki w PCK, ale nic się nie dzieje. Szyjemy bandaże ze starych prześcieradeł i gadamy. Jest tu zespół z kilku szkół z zimowego obozu w Zubsuchej. Jest z nami Włoszka, Mima, córka dyplomaty, chodzi do szkoły w Warszawie. Opowiada nam ponownie, tak jak zimą, o Mussolinim. To jej umiłowany Duce. On nie pozwoli Niemcom zająć Polski.

Piątego dnia zaczyna się ewakuacja państwowych urzędów. W nocy ma wyjechać moja siostra Saba, bo pracuje w Urzędzie Emerytalnym. Rodzinna narada postanawia, że wyjedzie z nią mama i Marychna, bo jej mały synek jest u przyjaciół w Sobieszynie i trzeba do niego pojechać. Szwagier czeka na powołanie do wojska, a ojciec nie chce, żebym z nim została, bo nie wiadomo, co będzie. Mam więc również wyjechać. Pytam, co robić, moje harcerskie władze. Nie jestem pełnoletnia i mam słuchać rodziców.



Płonąca kamienica w oblężonej Warszawie. Wrzesień 1939. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Stołecznego Warszawy.

Nerwowe pakowanie walizek i wyjazd w nocy państwowym pociągiem. Jedziemy z całą grupą z tego urzędu. Oni przewożą dokumenty. Mają pracować w innym mieście. Rano, na stacji Czeremcha, nalot. Zbombardowali wagon z amunicją i straszna strzelanina nie ma końca. Leżymy w lasku przy torach. Aby nie widzieć samolotów i bomb, trzeba tylko zamknąć oczy. Pociąg dalej nie pojedzie.

I tak zaczyna się tułaczka, jakimiś furkami, z noclegami po wsiach. Młodzi mężczyźni szukają punktów werbunkowych, bez rezultatu. Jedziemy stale w kierunku wschodniej granicy i docieramy do jakiejś ukraińskiej wioski. Ja z siostrą dostałyśmy lokum u Czeszki w jednoizbowej chacie. Ona nas ostrzega, że Ukraińcy nieżyczliwi i daje talerz cienkiej zupki, w którą wpadają roje much. Jestem tak głodna, że wyławiam je łyżką i jem dalej.

W szkole jest radio. Nadają komunikaty. Warszawa oblężona, broni się. I straszna wieść – do wioski wkroczyła armia sowiecka.

Biegiem do tej szkoły. Rosyjski żołnierz ściąga taki mały szyld z polskim orłem i depta go. Rozpacz i ogarniająca mnie nienawiść. Nie znałam przedtem takich uczuć, mój świat się zawalił.

Tu jest niebezpiecznie. Małą już grupą wędrujemy piechotą, trochę furką, do naszego celu. To Łuck. Dostajemy lokum w nowym osiedlu domków jednorodzinnych dla urzędników państwowych. Mamy pokój z jednym meblem – to tapczan bez pościeli. Ale jest woda, światło, łazienka – czyli komfort. A w mieście pełno ruskiego wojska. Wiadomości straszne. Podobno nasz rząd uciekł do Rumunii. Warszawa skapitulowała. Koniec. Ale w mieście ktoś rządzi. Dostajemy kartki na żywność. Pieniądze mało warte.

Jest 24 września. Tu obchodzę moje osiemnaste urodziny. Jestem pełnoletnia. Saba dostała mięso na kartki i zrobiła urodzinowy obiad. Mielone kotlety z marchewką. Nie lubiłam tego w domu, ale to bardzo dobre.

Koleżanki Saby powędrowały do Lwowa, a my czekamy. Nasz cel - to powrót do domu. Mają być jakieś transporty do części kraju zajętej przez Niemców. Składamy podanie w magistracie i na początku października otrzymałyśmy coś ni to bilet, ni to paszport. W nim jedyne słowo w nieznanym alfabecie. Podobno to nasze nazwisko.

Zaczyna się powrót. Początek komfortowy, bo w wagonach dla ludzi, oczywiście na stojąco. Szybko się to kończy. Przesiadka w Równym. To mała stacyjka i tłum ludzi pod gołym niebem. Czekamy długo. Jest noc. Bardzo zimno, pada śnieg. Mamy tylko letnie płaszcze. I jest nasz pociąg. Odkryte wagony towarowe po węglu. Ani usiąść, ani oprzeć się o węglową ścianę. Śnieg

stale pada. Częste postoje, nie na stacjach, nikt nie wsiada, nikt nie wysiada. Jesteśmy przewożonym towarem. Nie wiemy nawet, dokąd jedziemy naprawdę.

Gdy rozwidniło się, zaczynamy mijać pociągi w drugą stronę. W oknach stłoczeni ludzie. To Żydzi uciekają do Rosji. A my, do kogo? My do domu. Czy jest jeszcze dom? Wreszcie docieramy do Brześcia Nad Bugiem. Tu jest nowa granica. Boimy się Niemców. Kazano wysiadać. Przemarsz przed szpalerem niemieckich żołnierzy, którzy tylko patrzą. Żadnych formalności. I wreszcie poczekalnia dworca. Dają nam po talerzu gorącej zupy, kartoflanka z kluskami – pyszna, tu jest chyba jeszcze Polska.

Znów pociąg osobowy i jesteśmy w Mińsku Mazowieckim. Nocleg w żydowskim hoteliku i furką do Warszawy. Dziesiątego października jesteśmy na przedmieściach Pragi. Furka dalej nie pojedzie. Walizki w rękę i marsz do domu. Mam krwawiące otarcie nad piętą, ból przy każdym kroku. To nic, bo idę do domu? Most Poniatowskiego dziurawy, ale stoi, można przejść. Są połamane schody na Wybrzeże Kościuszkowskie i widać – jest dom. Klucz obraca się gładko w wejściu na frontowe schody. Mieszkanie całe, a w nim żywy ojciec. Szyb w oknach prawie nie ma, zimno. Ale mogę spać we własnym łóżku, w czystej pościeli. Jestem prawie szczęśliwa.



Warszawska ulica w Śródmieściu zniszczona przez bombardowania w 1939 r. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Stołecznego Warszawy.

Nasza rodzina zaczyna wracać. Jesteśmy wszyscy cali. Ale Warszawa jest inna, wojenna. Ulice zasypane gruzem, masa zawałonych domów. Na każdej niemal ulicy groby. Jest bardzo wczesna zima. Szyb nie ma w oknach i w mieście. Braki łatamy dyktą. To nic, że wodę nosi się z Wisły, że pieniądze bez wartości, że banki zamknięte i nikt nie ma pracy. To trzeba tylko przetrwać. Na wiosnę francuska ofensywa ruszy i przegoni Niemców. Byle do wiosny!

Miasto stopniowo ożywa. To jest podwójne życie: to zwykłe – chleb i woda, napalić w piecu. I to ważniejsze – polskie życie.

Nasz dom jest w centrum miasta – róg Wybrzeża Kościuszkowskiego i ulicy Czerwonego Krzyża. Na drugim rogu teatr Ateneum. Ten dom ma zalety. Duże mieszkania, mało lokatorów i dwa wejścia. Frontowe wprost z ulicy, omija dozorcę. Duże mieszkanie może gromadzić wybranych gości i gromadzi ich. Są dwa nurty – dorosły i młodzieżowy. Ojciec socjalista (nie mylić z komunistami) ma powiązania partyjne, a ja harcerka. Te dwa nurty będą trwać do końca wojny, a nawet dłużej. Bo to jest Polska.

Otrzymuję polecenie od harcmistrzyni Janiny Tworzkowskiej, opiekunki szkolnej drużyny harcerskiej, zorganizowania podziemnej XI ŻDHP imienia Zawiszy Czarnego. Tej drużyny, do której należałam w szkole Haliny Gepnerówny. Ale gdzie jest ta szkoła? Wszystkie gimnazja zamknięte. Gdzie jest Halina Gepnerówna? To grób pod tym drzewem przed pocztą na placu Napoleona. Też musi poczekać do wiosny.

Powoli odszukuję szkolne harcerki i zaczyna się organizowanie małych, nielicznych zastępów, Chodzę do hufca po wskazówki dla tej działalności.

Wiosną 40-ego roku zostałam skierowana na przeszkolenie sanitarne do kliniki chirurgii w szpitalu Dzieciątka Jezus. Mam oficjalną przepustkę jako pomocniczy personel sanitarny. Asystuję przy opatrunkach na sali zabiegowej. Uczę się zasad higieny, a zwłaszcza bandażowania. Już nie mdleję na widok krwi. To duży postęp. Podoba mi się ta opiekuńcza rola wobec chorych. Trwa to kilka tygodni.

Już wcześniej uczestniczyłam w tym drugim nurcie – konspiracji dorosłych. Mój ojciec (Leonard Wawrzyniec Żaczkowski), w swych kontaktach politycznych używa mnie do przekazywania wiadomości. A wszystko tajne. Nazwisko lub adres zapamiętać, a po tym zapomnieć. Więc ćwiczę. Idę do magistratu do pana o trudnym nazwisku. Trzeba kojarzyć – od żmii i od budowli. W dużej sali za ladą są urzędnicy. Mówię, że chcę rozmawiać z panem Żmigachowskim. Zdziwienie, takiego tu nie ma. Ale po głośnym wywołaniu tego nazwiska podchodzi do mnie młody człowiek i mówi: Żmigrodzki jestem.

Do brata Krysi przyszedł ktoś niezajomy z ostrzeżeniem, że jest na liście do aresztowania. Radzi, żeby się ukrył, ale on nie chce. Był studentem na Politechnice w Gdańsku i wyrzucili go, jak innych Polaków, pod koniec roku. Ale nie występował przeciw Niemcom, niczego mu nie udowodnią. Nie czekał długo, wylądował w kamieniołomach.

Pierwszy konspiracyjny zjazd przywódców PPS WRN odbył się u nas w domu. To tylko kilkanaście osób, ale należało zachować najwyższą ostrożność. Saba i ja stanowiłyśmy obsługę wejść i zaplecze kulinarne. Było prawdziwe jedzenie ze sklepu dla Niemców. Jak są pieniądze i znajomości, można tam kupić wszystko. Była prawdziwa herbata z cytryną.

Kogo z uczestników zapamiętałam? Była pani Joanna z naszego domu i znajomi ojca. Był Biadas, Zaremba i Cyrankiewicz z Krakowa, jeszcze przed Oświęcimiem. Ale tylko on przeszedł do komunistów. Najważniejszy to ich przywódca, Pużak, ten z procesu Szesnastu, ale to było później.

(Jednak przypomnę ten Proces Szesnastu w 1945 roku. Okupacyjne władze zaprosiły do Moskwy podziemny Rząd Polski, obiecując porozumienie. Aresztowano wszystkich. Pużak zmarł w polskim więzieniu).

Zjazd odbył się bez zakłóceń.

Pojawia się coraz więcej tajnych gazetek. To jedyne źródło informacji. Radio kazali oddać, więc spaliliśmy. Kara śmierci za radio w domu. To też przetrwamy.

Wczesną wiosną miałam przygodę uliczną i tylko naiwności i braku wiedzy zawdzięczam życie. Jechałam tramwajem Alejami Jerozolimskimi z teczką pełną nielegalnej bibuły, oczywiście od ojca. Miałam to dostarczyć znajomym ludziom. Wysiadam, jak przewidziałam, przy Marszałkowskiej, ale tu się coś dzieje. Szpaler umundurowanych Niemców blokuje przejście na drugą stronę ulicy. Stoi jakaś ciężarówka przykryta budą i ludzie do niej wsiadają. Ale ja nie chcę jechać dalej, bo idę do domu po drugiej stronie ulicy. Nie znam niemieckiego, ale podchodzę do tych żołnierzy i pokazuję ręką, że chcę przejść. I przepuścili mnie. Może wyglądałam jak głupi dzieciak. Dzwonię do drzwi tych znajomych, a oni przerażeni. Pokazują mi przez okno, jak Niemcy pakują do bud tych ludzi. A ja myślałam, że to awaria tramwajowa i oni zapewniają dalszy transport. To nowe zjawisko, którego nie znałam, bo jest dopiero 1940 rok. A później refren ulicznej piosenki znać będą wszyscy

„Siekiera motyka piłka szklanka
W nocy nalot, w dzień łapanka.”

Ostatnie wojenne wspomnienie z tego domu – to powielacz. Powieliłyśmy z Sabą podziemną prasę – Robotnik. Ten powielacz był bardzo duży i

głośny. Umieszczono go w narożnym pokoju nad wejściowym holem. Trochę go słyhać na schodach, ale tam chodzi mało ludzi, więc ten turkot pewno nikogo nie zainteresuje. A jest to wielki gruchot, nie da się upchnąć w żadnym meblu. Stoi na stole przykryty prześcieradłem. Nie wpuszczamy tam gości i spokój. Ale przygoda z powielaczem była. Otóż ten pokój miał trzy okna, na pierwszym piętrze, na narożnej, półkolistej ścianie. Takie półkole, jak na teatrze Ate-neum. Było już lato, okna otwarte, a my z Sabą w domu. I nagle walenie do frontowych drzwi. To trzech umundurowanych Niemców. Coś krzyczą, trzeba otworzyć. Strach. A oni wchodzą bez namysłu do naszego mieszkania i do tego pokoju. Zgroza, to koniec. Ale nie dziwi ich ten przykryty prześcieradłem grat. Wywieszają za tymi oknami transparent. To drogowskaz, bo właśnie nadciąga kolumna wojska i ma skręcić w naszą ulicę. Zdjęli to już bez naszego udziału. Żyjemy dalej. Nie umiałyśmy jeszcze odróżniać Wehrmachtu od SS.

W maju 1940 roku jestem na jakiejś śródmiejskiej ulicy i słyszę gazeciarza: - Dodatek nadzwyczajny! – jak przed wojną. To niemiecka gazdiniówka dla Polaków. Odzywa się również głos z polskojęzycznej szczekaczki. Paryż padł. Francja skapitulowała. To chyba koniec wojny. Czy Anglicy mogą ze swojej wyspy pokonać Niemców? To chyba niemożliwe. Warszawska ulica płacze, a ja razem z nią.

Ale wojna trwa. Bieda zagląda nam w oczy coraz bardziej. Musimy opuścić nasze mieszkanie, bo nie ma pieniędzy na wysoką opłatę. Pracuje tylko mąż Marychny w Izbie Rolniczej i dostaje jakieś mizerne grosze. Oni już się przenieśli na Żoliborz do mniejszego mieszkania.

Ale nasza czwórka też ma szczęście. Dostaliśmy mieszkanie na okres wojny, bo właściciel willi przy Forcie Mokotowskim jest w niewoli. To piękne lokum. Ale komunikacja z centrum miasta bardzo zła. Niemcy zlikwidowali autobusy, bo oszczędzają paliwo. Jest pętla tramwajowa przy Rakowieckiej. Ale do niej pół godziny drogi przez pola. Latem to problem do pokonania. Ale zimą, przy godzinie policyjnej i braku oświetlenia, to trudne. Ja zawsze bałam się ciemności.

Przed południem chodziłam na zbiórki harcerskie. Spotykam tam Krysię. Ona prosi, żeby napisać list, do tego brata, co nie chciał się ukryć. On jest w obozie w Mauthausen. Pyta o przyjaciół. Odstępują nam jedną kolejkę. Listy można pisać raz w miesiącu. To była bardzo trudna praca. Pisałyśmy razem z Sabą. Treść tylko w domysłach. Co pisać? Smutno nie można i wesoło nie można. Otrzymałyśmy zwrot. Bez żadnego stempla czy adnotacji. Widać, że list nie był otwierany. Na odwrocie, w rogu, cienki napis ołówkiem. Tylko mały krzyżyk i data. Nic Krysi nie mówię, czekam. Nie mogę popełnić błędu. To nie

jest urzędowe zawiadomienie o śmierci. Niemcy takich wieści nie przysyłają. Człowiek był, człowieka nie ma i tyle. To ja muszę oddać list rodzinie.

Gdy teraz chodzę na Powązki odwiedzić rodzinne groby, mijam alejkę, na brzegu której jest grób rodziny Poddębskich. Matka Krysi zmarła w wieku 102 lat. I dwie symboliczne tablice – na obu Henryk Poddębski, ojciec – fotograf Warszawy, zginął w czasie powstania, gdy poszedł robić historyczną dokumentację. I syn – zmarł w Mauthausen. Data z tego listu. To historia tej rodziny. Historia mojej rodziny jest inna. Inne okoliczności, skutek taki sam. W końcu wszyscy spotkamy się na Powązkach.

A u nas znów przeprowadzka. Musimy opuścić kolejne mieszkanie.

Przenosimy się do siostry na Żoliborz. Zaczyna się wojenna ciasnota - trzy pokoje i siedem osób. Warszawa jest miastem wciąż niszczone. Stale jest bombardowana. Jak skończyli Niemcy, to zaczęli nasi. Różnica tylko w stylu nalotów, Niemcy w dzień, a Alianci w nocy z lampionami na niebie.

Pracujemy z Sabą w fabryce konserw na Pradze. To lekka praca fizyczna, ale ogłupiająca. Przez 8 godzin pakowanie sztucznego miodu lub marmolady z buraków. Ale coś płacą i są paczki z tą żywnością.

Znów zmiana, bo Saba dostała pożyczkę z magistratu na otwarcie straganu za Żelazną Bramą. Jesteśmy straganiarkami, handlujemy konfekcją damską. Kupuje się to od Żydów z Getta. Przez pewien czas gmach sądów na Lesznie był dostępny z obu stron: dla Żydów od Getta, a dla nas od Leszna. Był tam nie tylko handel, ale i przemycanie żywności, czasem nielegalne przejścia. Niemcy robili tam własne interesy. A na bazarze bywały chwile grozy, gdy Niemiec gonił i bił żydowskie dziecko. Ale towarzystwo było dobre. Sąsiedni stragan miała magister filozofii. Nasz stragan był moją skrzynką pocztową dla harcerstwa i konspiracji. Ojciec miał swoją polityczną bazę w gmachu Związku Handlowców na Siennej, a po włączeniu jej do getta, na Złotej. Tam odbył się drugi zjazd PPS WRN i my z Sabą stanowiąśmy znów jego obsługę.

Na rozkaz harcerskich władz przekazałam prowadzenie drużyny Krysi Bańkowskiej i mianowano mnie hufcową Hufca Grzybów. Nie zajmowało to dużo czasu. Przed Bożym Narodzeniem pracowałyśmy nawet dla zarobku. Robiłam rękawiczki na drutach z kolorowym haftem. Na cele społeczne szyłyśmy podeszwy do letnich butów, z plecionego sznurka. To wojenna nędza. Latem bywały sporadyczne zajęcia, jak wyprawa do lasu w Leśnej Podkowie z oficerem łączności i ćwiczenia z mapą. Młodsze harcerki stale piszą na domach polskie hasła i znak Polski Walczącej. Składamy kwiaty w dniach ważnych rocznic w wybranych miejscach. Nic istotnego się nie dzieje.

PRZEŁOM - LATA 1941 - 1942

Jest przełom w wojnie, bo Niemcy atakują Rosję. Przewidujemy, że skończą jak Napoleon. Jest również przełom w moim życiu. Ze straganiarki zmieniałam się w studentkę, a z harcerki w żołnierza Armii Krajowej. Te dwie role będą trwać w moim życiu aż do końca wojny. Ale po kolei.

W Warszawie otwarto tajną, nielegalną Medycynę. Nazywał się ten twór Prywatna Szkoła Zawodowa dla Pomocniczego Personelu Sanitarnego dr Jana Zaorskiego. Mieścił się w jedynym wydzielonym budynku Uniwersytetu Warszawskiego. To było dla mnie niepojęte. Uniwersytet jest zajęty przez Niemców. Widziałam, jak palili książki przed gmachem biblioteki. A tu, przez lewą furtkę w uniwersyteckiej bramie, wejście, oddzielone drutem kolczastym, prowadzi do tej szkoły. W Śródmieściu, na Krakowskim Przedmieściu – to naprawdę cud. Tę zagadkę poznałam dopiero po wojnie. Dr Zaorski miał prywatną szkołę masażu i pozwolono mu na dalsze jej prowadzenie. Musiał znaleźć lokal na szkołę. Załatwił to z odwagą, a nawet prowokacyjnie. Ten budynek miał zburzoną frontową ścianę i dlatego Niemcy nie chcąc jej odbudować, wydzielili go z Uniwersytetu. Zaorski wystąpił do władz miasta o pozwolenie na odbudowę gmachu przy Krakowskim Przedmieściu 28 na lokal dla szkoły. I pozwolili. To była zbiorowa działalność profesorów i innych Polaków.

Wiadomość o tej szkole przyniosła Marychna i ona namówiła mnie na medycynę. Nigdy tego nie projektowałam.

Przyjęcia do tej zawodówki były bez egzaminów, ale wymagano matury i przydawała się protekcja. Potrzebna była gwarancja, że nikt nie będzie donosił Niemcom. Dostałam opinię od prof. Lotha i zostałam studentką.

A więc przechodzę co dzień przez tę furtkę Uniwersytetu, dumna jak paw, a za drutami żołnierz Wehrmachtu z karabinem. Sala wykładowa jest piętrowa, co robi na mnie wrażenie, bo przypomina ten przedwojenny kurs na Politechnice. Czy tym razem będzie to coś bardziej trwałego?

Po kilku dniach mamy już dość stałe miejsca. Ja po lewej stronie jakiś piąty rząd od dołu. Pierwsza znajomość to Krysia Kwiecińska, pogodna blondynka, co wzbudzało sympatię. Była też Irka Oziemska, Wala Stępień, Irka Dąbkowska i Hanka Tańska. Niżej Róża Nowotna, Zosia Truchanowicz i Janek Walc. Było też trzech przyjaciół - stale Zbyszek Szreniawski, a z doskoku – Zbyszek Zawadzki i Andrzej Czerwonka.

Pierwsze wykłady zachwycają mnie, choć niektóre trudne. Brak materiałów pomocniczych ani książek, ani skryptów. Niezapomniane wykłady

profesora Czubalskiego z fizjologii. Demonstracje pracy serca i krążenia. Woźny Feliks pompuje i woda leci. Feliks nie pompuje i nie leci. Jak mówił Feliks „Ja i pan profesor uczymy medycyny”.

W ciągu półrocza zaliczamy pierwszy rok studiów. Pojawiają się jakieś kości i czaszki i krążą nieliczne atlasy z anatomii, które przekazywane są jak skarb. Ale brak dla wszystkich studentów ćwiczeń z anatomii. Chodzę na sekcje do szpitala Przemienienia Pańskiego, ale na to jest mało czasu. Te sekcje wykonuje i objaśnia nam dr Dąbrowska. Raz wszystkie stoły zajęte były trupami Niemców ze wschodniego frontu. Poza ranami mieli rozległe odmrożenia nóg. Przy tych sekcjach byli niemieccy lekarze w mundurach. Nie zwracali uwagi na ten tłumek młodzieży.

Były ćwiczenia laboratoryjne z chemii i ciekawe zajęcia z histologii. Oglądaliśmy preparaty różnych narządów pod mikroskopem i z tego był egzamin.

Ale przede wszystkim był zapal młodzieży i życzliwość profesorów. To była pseudokonspiracyjna medyczna rodzina.

Przed wakacjami zdałam większość egzaminów. Pamiętam egzamin z fizyki, bo był publiczny. Ja miałam w szkole wspaniałego nauczyciela Zaksa i zdolności do przedmiotów ścisłych, matematycznych. A na tym egzaminie siedzieliśmy przy dużym stole, na środku prof. Kapuściński. Przesuwaliśmy się kolejno o jedno miejsce, ale słyhać było wszystko. Niektóre koleżanki mówiły straszne głupstwa. Toteż na korytarzu grupa chłopców zakładała się - którą obleją. Typowano mnie. Zdałam na 5. A więc byłam dobrym partnerem do nauki.

Od początku nie uczyłam się z wybraną Krysią, tylko ze Zbyskiem Szreniawskim. To on mnie wybrał. Byliśmy młodzi. Do chemii organicznej uczyliśmy się już w trójkę. Dołączył do nas Ryszard Sułkowski. Miał bardzo dobre notatki. Ta nauka ze Zbyskiem to połowa nauki, a połowa flirtu. Zbyszek poprosił mnie, żebym pożyczyła notatki od Ryśka. Kto mógł przypuszczać, że taki drobiazg przyczyni się do tragedii. Ale wojna jest nieprzewidywalna. Ten ciężar bezradnej odpowiedzialności czuję do dziś. Bo ja pożyczyłam te notatki niby dla siebie i dałam Zbyszkowi. Rysiek kręcił się blisko nas, ale to ja byłam magnesem. W notatkach była kartka z jakimś sentymentalnym wierszem. Zbyszek przepisał trochę tej chemii i oddał mi szybko mówiąc, że mu wstyd, bo ten wiersz był dla mnie. No cóż, niby drobiazg, ale od tego zaczęła się nauka we troje. Zbyszek wprowadził Ryśka w moje życie, do mojego domu. Chemię organiczną zdawaliśmy już razem i poszło bardzo dobrze.



Niemiecki wartownik w bramie Uniwersytetu Warszawskiego. Furtką na lewo od niego przechodzili studenci konspiracyjnej medycyny. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Stołecznego Warszawy.

Egzamin z anatomii przełożyłam na drugi termin, po wakacjach. Anatomii uczył nas prof. Różycki, który przed wojną wykładał w Poznaniu anatomię topograficzną. Dlatego miał zwyczaj pytać o zależności przestrzenne różnych narządów. Kazał rysować na tablicy np. przekrój mózgu przechodzący przez 2 jądra i zaznaczyć, jakie szlaki nerwowe będą się tam znajdować. To było dla studenta prawie niemożliwe. Ten egzamin był w pokoju na najwyższym piętrze naszego gmachu. Na schodach, na półpiętrze, grupa studentów czekała na swoją kolej. Weszłam pierwsza, a on kazał zawołać drugą osobę, co zrobiłam natychmiast. Ale nasz profesor był szybszy. Wybiegł wołając: „nikt się nie zgłosił, egzamin skończony”. Biegł po dwa schodki, a ja za nim. Dogoniłam go i zawołałam: „Panie profesorze, ja się zgłosiłam”. Ta moja bezczel-

ność poskutkowała. Wracamy na górę. Koledzy uznali, że nigdy tej anatomii nie zaliczę. Było jakieś rysowanie na tablicy i rzucanie w górę kostki nadgarstka z pytaniem, która to i czy lewa, czy prawa. Na to odpowiedziałam poprawnie. Woźny szykował kości na egzamin i musiał z czegoś żyć. Wiedział to i profesor i my. Zdałam na 3. Na koniec bardzo pochlebna ocena mojej osoby – nadają się na kosmetyczkę. Chłopcy oceniani byli według stopni wojskowych. Najczęściej na kaprała.

A teraz o konspiracji. Związek Walki Zbrojnej przekształcił się w Armię Krajową. Wcielono do niej starsze harcerki. Składamy przysięgę wojskową. I przyszła do nas jakaś dziewczyna – Katarzyna. Jest duża, ostra i uczy nas musztry. Maszerujemy w kilka osób przez dwa pokoje mieszkania Bańkowskich. Zwrot w prawo i w lewo. Farsa. Ale to było tylko raz.

Jesteśmy w Łączności. Pojawiają się jakiś obowiązki. Znów coś się przynosi, przekazuje wiadomości. I mamy władzę. To studentka przedwojennej medycyny - „Joanna” Janina Zaborowska. Pracuje jako pielęgniarka w ambulatorium na Karowej, w tym okrągłaku nad wiaduktem. Chodzę do niej często, oficjalnie stad znam nazwisko. Udajemy, że ona przyucza mnie do zawodu, mnie, uczennicę sanitarnej szkoły. Przenoszę korespondencję pod różne adresy. Ale dwukrotnie zostałam zaczepiona na ulicy. Raz, po wyjściu z klasztoru na Powiślu, nieznana kobieta spytała, u kogo i po co tam byłam. Zbywam ją, ale ona mi grozi. To cicha kłótnia na ulicy. W końcu wyjaśnia mi, że to sprawdzian, jak się zachowam w razie wpadki. Drugi raz to była wyprawa na Pragę, z dużą zaklejoną kopertą. Ja nie znam tej dzielnicy i nie mam planu miasta. Nieostrożnie zapytałam w tramwaju, gdzie się przesiąść na inną linię. Potem idę i coś mi nie pasuje. I znów zaczepia mnie mężczyzna. Pyta, dlaczego idę drugi przystanek wzdłuż linii tramwajowej i co tu robię. Odszedł, ale wiem, że ktoś mnie śledzi. Wstępuję do jedynej znajomej osoby w pobliżu. To moja ciotka, stara kobieta. Decyduję się zobaczyć, co niosę. To raport o sytuacji w okolicach Lwowa, długi. Czytam dwukrotnie, żeby zapamiętać i niszczyć to. Uważam, że tak będzie lepiej. Składam meldunek Joannie, a ona pyta, czy nie uważam, że to było ważne. Ktoś przeniósł to przez granicę. Ale nie wyciągnięto z tego żadnych konsekwencji. Chyba szykują mnie do jakiejś innej roboty.

Ale na razie mam tylko zlecenie zawodowe. W Alei Wojska, naprzeciw mojego domu, mieszka ciotka Joanny, która została ranna w nalocie alianckim. Amputowano jej nogę i ma zleczone domięśniowe zastrzyki. Joanna nie ma na to czasu. Więc daje mi cały zestaw do tych zastrzyków i ustne wskazówki. Przećwiczyć wbijanie igły ze strzykawką w poduszkę. To musi być wprawne wklucie. I nie przyznawać się, że to moja pierwsza pacjentka. Idę z duszą na

ramieniu. A starsza pani nieufna. Mówi, że taka młoda pielęgniarka, pewnie tego nie umie. Kłamię jak z nut. Ja pracuję z Joanną i zastrzyki to moja specjalność. Udało się, było lepiej niż w szpitalu.

Aleja Wojska, położona blisko dworca Gdańskiego, ucierpiała od bomb lotniczych, bo alianci niszczyli szlaki komunikacyjne. W czasie nalotów zbiegaliśmy do piwnicy i było to podziemne życie. Zawiażywała się przyjaźń między lokatorami. Raz ojciec nie wrócił przed godziną policyjną, co nas niepokoiło. Przyszedł bardzo wesoły po kielichu. Spotkał przyjaciela, którego Niemcy zwolnili z obozu. Trzeba to było uczcić. Komunikacji w nocy nie było. Trasa ich marszu przebiegała przy murze getta, pilnowanego przez Szallisów. To były straszne bandziory. A panowie w humorze pytali ich, dlaczego nie są w czasie alarmu w schronie. A oni nie strzelali, tylko się śmieli. Wódka ma nieraz dobre strony.

Ale nie zawsze było tak wesoło. Ta bliskość dworca kolejowego dostarczała smutnych przeżyć. Tam Niemcy ładowali Żydów wywożonych na śmierć. Słychać było płacz dzieci. Ale Niemiec też człowiek, bywa litościwy. Wystrzał karabinowy uciszał dziecko.

Ale Joanna ma dla mnie nowe zajęcie. Daje mi jakiś adres w Śródmieściu, nie pamiętam ulicy, w okolicy Marszałkowskiej. Duże mieszkanie w starej, solidnej kamienicy. Byłam tam tylko raz. Spotykam się z nią, ale to jakaś centrala konspiracji. Kilkanaście osób rozmawia w małych grupach. Ona mnie z nikim nie kontaktuje. Mówi mi, że moje nowe zajęcie to kolportaż donosów wycofanych z Gestapo. Dostanę dokładną instrukcję postępowania. Mam usiąść na ławce w kościele na placu Unii Lubelskiej. Podaje dzień i godzinę. Przyjdzie do mnie jakiś mężczyzna. I tylko tyle. Mogła mi to powiedzieć u siebie w ambulatorium, Ona mnie na pewno komuś pokazała. A instrukcja jest prosta. Dostarczyć wiadomość, którą otrzymam pod adres na kopercie. Kopertę zakleić przed oddaniem. Podać do rąk adresata, a w razie jego nieobecności współlokatorom. Gdy w mieszkaniu nikogo nie ma, można kopertę wsunąć pod drzwi. Nigdy nie wkładać do skrzynki pocztowej. Znaleźć właściwą osobę dyskretnie, nie pytać dozorcę. Nie odpowiadać na żadne pytania. To ma być przypadkowy udział w tej korespondencji. Gdy odczytają treść listu, dziwić się, udawać strach i szybko zmykać.

Ja wiedziałam, że niektóre z moich konspiracyjnych koleżanek roznosiły takie listy. To były listy oryginalne, często pisane niewprawną ręką, z błędami i złą ortografią. Czuło się w nich zwykłe chamstwo. Te moje koleżanki miały starać się dowiedzieć, kto to napisał. Pytały adresata, czy nie poznaje charakteru pisma, czy kogoś podejrzewa. Mogły nawet pytać dozorcę o tego

lokatora. To wymagało zręczności i poświęcenia więcej czasu. I było chyba bardziej niebezpieczne. Ale tępienie donosicieli było bardzo ważne.

Ja mam inną instrukcję. A więc siedzę w tym kościele, a przy mnie siada dorosły mężczyzna, nie chłopak, nie harcerzyk. Przedstawia się – znów Zbyszek. Tyle o nim wiem do dziś. Daje mi jakieś koperty i wychodzimy na spacer, na Pole Mokotowskie. Ładna z nas para, nie budzi podejrzeń. To będą nasze punkty umówionych spotkań. Przy ładnej pogodzie spaceru przeważają nad kościołem.

W domu czytam i segreguję te listy. To małe kartki, napisane na maszynie, zawierają treść donosu. Numeruję listy i donosy i chowam osobno. Biorę jednorazowo 2-3 donosy, a dostaję kilka. Treść jest różna, ale powtarza się. O konspiracji, posiadaniu broni, pochodzeniu żydowskim lub przechowywaniu Żydów. To jest na pewno informacja streszczona, po wycofaniu donosu. Czy pochodzi naprawdę już z Gestapo, tego się nie dowiem, bo Joanna została po wojnie za oceanem.

Ja zawsze mówiłam, że nieznajoma staruszka prosiła mnie na ulicy o oddanie listu, bo trudno jej chodzić po schodach itp. Reakcje ludzi były różne. Czasem nic nie mówili, ale najczęściej pytali, skąd ja to mam. Nie miałam nigdy wpadki, ale raz miałam małą przygodę i raz się bardzo bałam.

Ta przygoda wyglądała tak. Mężczyzna po przeczytaniu listu powiedział: „mój brat został wczoraj aresztowany”. Ja oczywiście nic nie wiem, on nalegał bez skutku. To było na ulicy Złotej, którą wtedy jeździły tramwaje. Wsiadłam do tramwaju i niebacznie stanęłam przy otwartym oknie. Było lato. Gdy tramwaj ruszył usłyszałam wołanie. To mój odbiorca donosu biegł i dawał mi znaki, żebym wysiadła. Skinęłam potakująco i schowałam się wśród pasażerów. Na Marszałkowskiej przesiadłam się w inny tramwaj.

A ten strach spowodowany był treścią donosu. Podawano w nim miejsce i czas tajnego zebrania komunistów. Widać, że solidarność wobec całego podziemia istniała. Ja się wtedy bałam, że wpadnę w kocioł. Niemcy takie zasadzki robili. Ale nikt nie otworzył mi drzwi. Z ulgą wsunęłam pod nie kopertę.

Już po wojnie, czytając sprawozdanie Zocheny Kwiatkowskiej z tej działalności, dowiedziałam się, że łączniczki wykonujące tę pracę nazwały się „Brygadą Jo”, od pseudonimu Joanny, a humorystycznie „Brygadą Aniołów”. A mnie do anioła daleko.

W 1942 roku nastąpiły dwie przeprowadzki - szkoły Zaorskiego i nasza prywatna, domowa.

Niemcy odebrali naszej szkole uniwersytecki budynek. Wstępem było zamknięcie tego wejścia przez bramę uniwersytetu. W piśmie do dyrekcji podano, że uczniowie źle się zachowują mijając niemiecka wartę. Wchodziliśmy więc z boku, od strony kościoła Wizytek. Decyzja o zabranii budynku zawierała 24-godzinny termin wyprowadzki. I w ciągu jednej doby wywieziono wszystko, nawet węgiel z piwnicy. To świadczy o doskonałej podziemnej organizacji Polaków. W nagłej potrzebie znajdowały się środki i ludzie do wykonania niemożliwych zdawało się zadań.

Szkołę przeniesiono do lokalu gimnazjum na ulicę Górskiego. Ale tam były głównie wykłady dla młodszych roczników. Ja nie chodziłam na wykłady z Farmakologii, bo miałam zbyt dużo zajęć konspiracyjnych,

Tylko raz wezwano wszystkich na ogólne zebranie. Był to już 43-ci rok. Profesor Czubański odczytał list Niemców do dyrekcji szkoły. Potrzebowali sanitariuszy. Wyznaczono termin zgłoszenia do Urzędu Pracy. Powiedział, że tylko przekazuje wiadomość, a niczego nie poleca. Od siebie dodał tylko, że, w razie konieczności, lepiej, żeby to byli chłopcy, a nie kobiety. Chyba nikt się nie zgłosił, ale konsekwencji nie było.

Nas, zaawansowanych w nauce, przydzielono do różnych szpitali zgodnie ze specjalizacją – laborant lub pielęgniarka. A więc do prosektorium i na oddziały wewnętrzne.

Przeprowadzka była również w domu. Ojciec pracował w magistracie, a magistrat przydzielał wolne lokale osobom potrzebującym. Niestety, były to domy wyłączone z malejącego wciąż getta. I my mieliśmy świadomość tego zjawiska. To był etap wykańczania Żydów i przygotowywania Polaków do roli niewolników po wygranej wojnie. Nasz ojciec był zawsze odważnym i odpowiedzialnym człowiekiem. Nie pozwolił nam oglądać tego mieszkania przed remontem. Wiem, że było to pobożowisko – splądrowane czyjeś życie. Pełno pierza z podartych poduszek, oni szukali ukrytych skarbów.

Budynek przy ulicy Przejazd 1, róg Leszna. Kamienica, sześć pięter. Mieszkanie na drugim piętrze od podwórza. Ciemno, ponuro. Ale były to trzy pokoje z kuchnią i łazienką. Dało się żyć, choć do komfortu daleko. Ale to centrum miasta i tylko cztery osoby, a nie osiem, jak na Żoliborzu. Było lepiej, ale smutno. Jedynym znakiem po poprzednich lokatorach były tabliczki na futrynach drzwi, które zamalowano olejną farbą. Żydzi mieli jakiś rytualny zwyczaj dotykania ich, przekraczając próg pokoju. Ta pozostałość była wyrazem naszego szacunku dla innej, jakże tragicznej wówczas tradycji. A lokalizacja domu nie pozwalała zapomnieć, że tuż, tuż, za jakimś murem, to getto istnieje, choć go nie widać i nie słyhać.

Powstanie w gettcie też odczuliśmy. My, zwykli ludzie, byliśmy bezsilni. Ale ci, co ginęli w walce, nie byli tak sponiewierani, jak te tysiące ofiar w obozach zagłady.

W czasie powstania w gettcie były nasze święta wielkanocne. Smutne święta. W drugi świąteczny dzień jechałam z Sabą na Żoliborz. Getto było otoczone i ostrzeliwane. Pod jego murem nie było przejścia. Ale wojenne przeszkody trzeba pokonywać. Więc pojawiły się konne furmanki z prowizorycznymi ławkami dla pasażerów, które kursowały ze Śródmieścia przez Stare Miasto. Jechałyśmy taką furką, a tu niespodzianka. Z okien piętrowych kamieniczek lano wodę na te furmanki. To był śmigus. Tradycyjne polewanie było zawsze zabawą, ale wtedy śmieszne nie było. Tragiczna walka Żydów już chyba tylko o honor, a tu taka bezmyślność. To było smutne zjawisko. A dla nas czas ostatniej walki jeszcze nie nadszedł.

SZPITAL NA PŁOCKIEJ

Jestem przyjęta jako uczennica szkoły, do szpitala na Płockiej. Początkowo na Interne, nieco później również do prosektorium. Na oddziale Wewnętrznym doc. Jana Roguskiego jesteśmy trzy studentki. Jest ze mną Krysia Kwiecińska i Wala Stępień. Lekarze są dla nas życzliwi, ale siostry Szarytki źle nas traktują. Zauważamy, że milkną rozmowy, gdy wchodzimy do pokoju lekarskiego. To wina tych Szarytek. One stwierdziły, że Krysia jest podejrzana, bo mieszka w dzielnicy niemieckiej. Ja wiem, że ma tak marne mieszkanie, że żaden okupant by go nie chciał. Oni zajęli tylko solidne, eleganckie domy. Dla różnaitości ja jestem Żydówka i tylko do Wali się nie przyczepiły. A ona chyba miała żydowskie pochodzenie, co nam nie przeszkadzało. A takie gadki, że odkąd przyszły te studentki, ginie kofeina z apteczki, były stale. Te ampułki naprawdę ginęły, bo lekarze wlewali kofeinę do zbożowej kawy. Prawdziwej nie było.

Ale powoli w szpitalu wszystko się utarło. Tam było dziwne zestawienie – lekarze komuniści i siostry zakonne. Ci komuniści wcale poglądów nie kryli. Był to Jerzy Gromkowski „Grzela” i jego przyjaciółka Lalka Szymańska oraz dr Tetmajerowa. Uczył nas praktycznie i przystępnie Zbyszek Woźniewski, jeszcze bez dyplomu. Mówił: „tarcie w opłucnej słychać w słuchawce tak, jak pocieranie nóg w jedwabnych pończochach” – to jego nauka.

Docent Roguski był wymagający i dzielnie walczył z naszą niewiedzą. Moja największa kompromitacja zdarzyła się na obchodzie, bo kazał mi napisać na karcie gorączkowej rozpoznanie tbc. Napisałam to tak: T. B. C. Nie wiedziałam, że to skrót jednego słowa i że Tuberculosis - to gruźlica. Ale stopniowo, gdy rozpoczęły się ćwiczenia z anatomii patologicznej, zaczęłyśmy z tej medycyny coś rozumieć.

Docent Roguski uczył nas nie tylko interny, uczył jak być lekarzem. Mówił, że to szczególny zawód, trzeba zawsze postępować z godnością. Pacjent musi czuć życzliwość, ale należy zachować konieczny dystans.

Dołączył do nas na własną prośbę Ryszard Sułkowski. Miał przydział do szpitala Ujazdowskiego, ale chciał być ze mną. Jest już rok 1943 i jesteśmy razem na Płockiej, I wracamy codziennie piechotą ulicą Leszno, bo na niej mieszka Rysiek. Odprowadza mnie do domu i bywa u mnie w domu. Jest to na pewno przyjaźń, a może będzie coś więcej. To jest inna epoka niż dziś. Inne obyczaje i obowiązują inne reguły gry. I stale trwa wojna. Ale uczyć się trzeba.

Codziennie nastawiam budzik na piątą rano i do siódmej w łóżku uczę się Anatomii Patologicznej. To chyba największy materiał do zapamiętania na całe życie. Tak zwane „Pięcioraczki Paszkiewicza” - czyli pięć tomów skryptu tego profesora. Czytam na głos, bo wtedy lepiej zapamiętuję. Mój ojciec, który śpi za zamkniętymi drzwiami, mówi, że może zdać za mnie, tak się nasłuchał. W prosektorium sekcje zwłok i oglądanie preparatów w mikroskopie. Prowadzi to doc. Chodkowska. Ona dopuszcza do egzaminu po zdanym kolokwium. Ale to student telefonuje do prof. Paszkiewicza do domu i pyta, kiedy może go odwiedzić. To nie jest wyznaczony termin, to ja decyduję, że jestem przygotowana. Profesora zobaczę pierwszy raz na egzaminie. Nie można nie umieć.

Egzamin. Jestem bardzo zdenerwowana, bo to ogromny materiał. Kazano mi poczekać w pokoju stołowym. Obok w gabinecie trwa egzamin. Eleganckie, przedwojenne mieszkanie i z zegara wyskakuje kukułka, aby obwieścić godzinę. To mnie rozbawiło i nastrój się poprawił. A pierwsze pytanie było: „gdzie pani mieszka”. Była godzina policyjna i on czuł odpowiedzialność za mój powrót do domu. Zdałam celująco.

Z Patologii Ogólnej był w szpitalu cykl wykładów prof. Wenuleta. Na pierwszym wykładzie wziął do ręki listę studentów i powiedział: „a pani jest Żaczkowska”. Niesłychane. Jego córka Maryna to szkolna przyjaciółka mojej siostry Marychny. Było między nami podobieństwo, a on to skojarzył. Egzamin zdałam na 5 – nie przez protekcję.

Gdy miałam zajęcia w prosektorium, to mogłam je godzić z kolportażem donosów, bo nie obowiązywała codzienna obecność. Ale gdy przyszła zima 43- go roku i konieczność pracy w szpitalu od 8-ej do 15-ej, to się pogodzić nie dało. Bo jak tu dyskretnie szukać właściwych adresów z latarką. A dzień zbyt krótki. Trzeba dokonać wyboru, przerwać naukę lub tę konspirację. Decyzja nie należy do mnie. Ja złożyłam przysięgę. Jestem żołnierzem AK w służbie czynnej. Ale Joanna kazała mi przerwać tę działalność i wrócić do szpitala. Widać łączniczek nie brakuje. Miałam więc mniej obowiązków. Prowadziłam patrol łączniczek i dawano nam różne zadania. W miarę zbliżania się frontu, pojawiły się przygotowania do walk ulicznych. Szukałyśmy przejść między domami i ogrodzeń do przebiccia między podwórkami, aby omijać ulice.

W 43-im roku coraz częstsze są egzekucje na ulicach Warszawy. Dwukrotnie odbyły się przy naszym domu na Lesznie, za rogiem. Raz wyszedł ode mnie Ryszard i trafił na nią. Wrócił, aby przeczekać. Po kilku dniach druga, o kilka metrów dalej. A ja dostałam właśnie wiadomość, że coś złego się stało i mam natychmiast iść do Bańkowskich na Zielną. Ciemno, idę z latarką.

Dowiaduję się, że Krysia Bańkowska została postrzelona w Leśnej Podkowie, gdy wracała do letniego domku z konspiracyjnego zebrania. Jest w szpitalu. Mamy przerwać z nimi wszystkie kontakty. To organizacyjny absurd. Zwołuje się całą grupę do zagrożonego lokalu, aby o tym obwieścić. Widać nerwy to nie najlepszy doradca. Gdy wracam do domu, na Lesznie pod tę ścianą straceń, nie ma już Niemców i ciał zabitych. Pali się kilka świec i stoi grupa płaczących ludzi.

2 lutego 1944 roku zamach na Kutscherę. Ginie kat Warszawy. Do szpitala na Płocką przywieziono rannego zamachowca. Nie udało się go uratować. Szpital wystawił akt zgonu na fałszywe nazwisko, z rozpoznaniem - ropień płuca. Niemcy dokonali ekshumacji i aresztowali doc. Chodkowską i ordynatora interny prof. Mysiewicz, ale zwolniono je.

Kilka dni później, też na Lesznie, za murem getta, postawiono szubienicę, a na niej dziesięciu wisielców, w tym jeden ksiądz - to brat koleżanki ze studiów. Ta szubienica jest widoczna od aryjskiej strony ulicy. Ryszard wie już o niej i tego dnia wracamy ze szpitala inną drogą.

Gdy nasza grupa była w prosektorium, Gestapo odwiedziło klinikę. Aresztowano dr Gromkowskiego i dr Tetmajerową. Lalka Szymańska zdołała się wymknąć i ukrywa się. Wracamy, aby choć trochę połatać te straty.

Praca w klinice zaczyna się o 8-ej i punktualnie lista obecności wędruje do gabinetu ordynatora. Gdy ktoś się spóźni, musi tam wejść, aby się podpisać. To uczy punktualności.

Pierwsze moje zetknięcie z medycyną zabiegową – to przepalanie elektrycznym nożem zrostów opłucnej. One przeszkadzają w leczeniu jamistej gruźlicy odną. Zbyszek Woźniewski robił te zabiegi nie mając jeszcze dyplomu. A my umieliśmy już dopełniać odnę. Gruźlica zbierała wtedy ogromne żniwo.

Wiosną prof. Janusz Zeyland uczył nas w laboratorium bakteriologii. To był wybitny specjalista. Niestety był w pierwszej trójce ofiar tego szpitala w powstaniu.

Ale w lipcu nastrój w klinice był dobry. Nawet Szarytki już nas akceptowały. Nie mówiło się o konspiracji, o polityce – to było poza szpitalem. Jednak w miarę zbliżania się frontu, zaczęła pękać ta bariera milczenia. Cała grupa studencka w laboratorium oddziału mówi o wojnie. Jedna z koleżanek słuchała radia i opowiada, że ruscy w Lublinie powołali polski rząd. Premierem jest jakiś Ozdóbka – jak się okazało to źle usłyszane. Był to Osóbka – Morawski. I był jakiś Bierut. A potem grali bardzo groźne marsze wojenne.

Niemcy wzywają ludność do kopania okopów. Już co noc nalot. Schodzimy do schronu, czyli do piwnicy. Niemcy wycofują się z Warszawy na zachód. Chodzą tylko grupami. Widać, że zaczynają się nas bać. W ostatnich dniach były liczne przypadki odbierania broni pojedynczym żołnierzom.

I wreszcie mobilizacja. Zgromadzono nas na placu Dąbrowskiego 2/4 w lokalu RGO - Rada Główna Opiekuńcza. To był ostatni tydzień lipca. Spakowałam plecak z rzeczami na kilka dni powstania i wyszłam z domu. Ruch na ulicy normalny. Nic nie wskazywało na mobilizację. W lokalu RGO zgrupowano dowództwo, łączność i jakiś oddział zbrojny. Znałam tylko środowisko łączności. Nic się na pozór nie działo. Nie miałam świadomości, że ważne decyzje dopiero zapadną. Popołudnie spędziliśmy na czekaniu i nierobieniu hałasu. To zgrupowanie tajne. W nocy obowiązywała cisza, bo okna otwarte, a po placu Bankowym przechadza się niemiecki patrol. Nalot i bombardowanie przetrwaliśmy na piętrach. Już po nalocie niespodziewany wystrzał karabinowy w sąsiedniej sali i cienki chłopięcy głosik: „nie wiedziałem, że jest nabity”. Nic się nie stało, patrol nie zauważył.

Rano już duże zdenerwowanie. Piętro niżej obraduje sztab. Okazuje się, że jesteśmy w terenie wydzielonym z miasta, między Jasną a Mazowiecką. Ten teren jest zwykle przejściowy, nawet przejeżdżają tu samochody. Teraz jest obstawiony wartami. Każdy może wejść, ale nie wyjdzie bez przepustki. Halina, najstarsza łączniczka z mojego patrolu, siedziała pod drzwiami sztabu i wyszła z meldunkiem. Ja jestem po niej następna. Słyszę ich rozmowy. Już wiem, że mieszkańcy zawiadomili Niemców. Gestapo już o nas wie. Dostaję hasło i meldunek – blisko, chyba na Bracką, więc wracam szybko. Nie mam niczego do przekazania. Przed wejściem do właściwej bramy zatrzymuje mnie nieznamy chłopak i przekazuje rozkaz. Wracać szybko do domu, zostawić plecak. Niemcy już tu jadą. Wracam bez przeszkód.

Dwa dni nie było mnie w szpitalu. Listy już nie ma i nikt o nic nie pyta, ale wszyscy coś wiedzą. Po dwóch dniach tej ciszy przychodzi do nas lekarz z chirurgii i każdemu zadaje pytanie: „gdzie będziesz - tu czy gdzie indziej”. Rysiek mówi Tu, a ja gdzie indziej. Szpital szykuje się do walki.

POWSTANIE

Pierwszego sierpnia jestem w szpitalu do trzeciej. W domu czeka mnie wiadomość o powtórnym zgrupowaniu w lokalu RGO na placu Dąbrowskiego. Ruch na ulicy niecodzienny. Dużo młodzieży, jacyś chłopcy w płaszczach podejrzanie wypchanych. Ale Niemcy przerzucają wojsko na wschód. Już się nie czuje odwrotu.

Znalazłam mój plecak nie ruszony. Nie przeszukiwano tych pomieszczeń. Wystarczyło stwierdzenie, że zgrupowanie AK znikło.

Zgromadziła się już część łączniczek, w tym cały mój patrol: Halina Morycińska, Janka Trojanowska, Anita Kozieracka i Danusia Malewska czyli Mała Dunusia. Reszta pseudonimów to po prostu ich imiona.

Kazano nam przygotować paczki z opatrunkami osobistymi, co robiłyśmy we frontowym pokoju. Dwadzieścia minut przed piątą Niemcy, znający już miejsce naszego zgrupowania, zaczęli ostrzeliwać budynek, a my dalej liczyłyśmy opatrunki. Na wojnie strzelają, a żołnierz wykonuje rozkazy. Dopiero jakiś dorosły oficer, który otworzył drzwi, krzyknął „natychmiast wycofać się na korytarz, wybijać was zanim powstanie się zacznie!” Nabierałam doświadczenia.

Byłyśmy w Plutonie Łączności Obwodu Śródmieście, u pułkownika Radwana - Edwarda Pfaffera. Nasz teren obsadzony był przez Batalion Kiliński. Łącznością dowodził porucznik Rymkiewicz.

My, „Radwanki”, stanowiliśmy w pierwszych dniach powstania jedyną łączność dowództwa z resztą miasta. Nie widziałam nigdy Radwana w mundurze, zawsze był w gipsie, czy innych opatrunkach. Bo on nie tylko dowodził, on brał udział w walkach i był trzykrotnie ranny w pierwszym tygodniu powstania. A walki były ciężkie. Zdobycie silnie obsadzonych przez Niemców gmachów Poczty Głównej na placu Napoleona, Prudencjału i PKO na Świętokrzyskiej, nie było łatwe.

Najszybciej zdobyto Prudencjał – to najwyższy gmach stolicy. Polski żołnierz zawiesił na nim biało-czerwony sztandar. Przed wieczorem niewielkie zgrupowanie AK znalazło się na jednym z podwórek. Stoi maszt, na który wciągnięto polską flagę, przy śpiewie hymnu narodowego. To był jeden z nielicznych momentów, kiedy stałam na baczność. Później nie było na to czasu.



Budowa barykady przy ul. Górskiego. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Stołecznego Warszawy.

Stacjonowaliśmy w zespole zabudowań między placem Dąbrowskiego i Mazowiecką. Zakwaterowano nas w wysokiej, nowoczesnej kamienicy, cofniętej w głąb między ulicami. Przez całą noc nic nie robiłyśmy, a słychać było, że walka o Poczczę jeszcze trwa.

Jedynę powierzone nam zajęcie, to przyjmowanie telefonu przyłączonego do Pasty zajętej przez Niemców. Było ich kilkanaście – do majora, porucznika, pułkownika, a odpowiedź jest jedna. Tu żadnego oficera nie ma. Głupie zajęcie jak na wojnę.

Dopiero drugiego sierpnia rano porucznik Rymkiewicz wręczył mi pierwszy pilny meldunek – na drugą stronę Marszałkowskiej przy Moniuszki. Tak blisko, ale jest inaczej. Toczy się walka o Poczczę na placu Napoleona. Ulice puste, bez barykad, bliskie strzały, których nie umiem zlokalizować. Biegnę na Moniuszki, przystaję w bramie nr 8 – tu była moja szkoła Gepnerówny. Posterunek AK poucza mnie: „biec blisko ścian budynków, bo duży obstrzał i

uważać na czołg, który strzela z Saskiego Ogrodu w Marszałkowską”. Biegnę na drugą stronę ulicy, a tu martwy Niemiec leży w poprzek chodnika. Przeskoczyć go, czy okrążyć? Okrążyłam. Skręcam w Marszałkowską do pierwszej bramy. Czołg nie strzelił. Oddaję meldunek i chwilę czekam na odpowiedź. I nie mam czasu się bać, bo wciąż biegam. Wróciłam i tłumaczę dowódcy, że to długo trwało, bo musiałam zatrzymać się w drodze. A on mnie uspakaja, przewidywał, że nie zdołam tam dotrzeć. I wtedy oddaję mu nowy meldunek. To był mój chrzest bojowy. Być łączniczką nie jest wcale trudno.



Barykady przy zbiegu uli Chmielnej i Brackiej w pierwszych dniach powstania. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Stołecznego Warszawy.

Czwartego sierpnia, przez bramę naszego budynku wspartą na kolumnach, wpadła bomba wprost do piwnicy, gdzie mieścił się szpital polowy.

To była masakra. Wybuch w szpitalu, a z uszkodzonych rur woda zalewała rannych. Konieczna była natychmiastowa pomoc. Otrzymałam zgodę na udział w tej akcji. Prowadziłam do szpitala na Świętokrzyską rannych, którzy mogli iść podtrzymywani przez dwie osoby. Chłopcy obsługiwali nosze.

W prowizorycznej izbie przyjęć kłębowski rannych i personelu, wszystko pod nadzorem docenta Zaorskiego. Przedstawiłam mu się naiwnie, jako uczennica z jego szkoły i spytałam, czy mogę coś pomóc, a on powiedział: „jak z mojej szkoły, to jeszcze pani nic nie umie”. Ale po chwili polecenie: „w korytarzu jest trzech rannych Niemców, proszę ich opatrzyć”. To byli żołnierze Wehrmachtu. Rany nie były ciężkie, opatrzyłam je. I znów polecenie: „proszę odprowadzić ich do celi.” A więc prowadziłam jeńców. Gdy strażnik z karabinem otworzył drzwi piwnicy – było ich tam już kilku. Ale byli to jacyś inni Niemcy. Wystraszone twarze nie miały cienia niemieckiej buty. I padło tylko jedno słowo: WODY. Ja to pamiętam do dziś, bo nie wiem dlaczego, ale ja im tej wody nie dałam.

Następnego dnia stwierdziłam, że dwie łączniczki z mojego patrolu, oddelegowane do zburzonego szpitala, nie powróciły do oddziału. Odnalazłam je w szpitalu w PKO. Janka, tegoroczna maturzystka, leżała w kostnicy jak żywa. Tylko przez czoło bandaż, nawet nie pobrudzony krwią. Zmarła na rękach lekarza, który ją tu przyniósł. Halina, jej matka, w ciężkim stanie. Ma uszkodzone oczy. Nie wiadomo, czy odzyska wzrok. Otrzymałam pozwolenie odwiedzania jej co dzień, ale na krótko, bo rannych przybywa, a wentylacja zła. I drugi warunek – nie mówić o śmierci córki. Ona wie, że Janka żyje, ale nie odzyskała przytomności. A ona kazała mi przysięgać na wszystkie świętości, że mówię prawdę. I przysięgałam wiele razy, aż nadszedł dzień, gdy powiedziała: „ja już wiem”.

Chodziłam do tego szpitala, to była tylko pomoc psychiczna. Ale zaczęto mnie zauważać jako medyczkę i stałe miałam jakieś sanitarne zajęcia. Dotyczyły one również ludności cywilnej.

W szóstym dniu walk, po tym zbombardowaniu naszej kwatery, przeniesiono nas do piwnic w biurowcu przy ulicy Mazowieckiej 9. To było żeńskie zgrupowanie, tylko trzy patrole łączniczek. Drużyna męska, obsługująca sieć telefoniczną, stacjonuje na Czackiego.

Jestem patrolową i jedną z najstarszych łączniczek w Plutonie. Nasza praca, to przenoszenie meldunków na cały dostępny teren miasta. Zwykle chodzimy na ochotnika, czasem dowódca wyznacza sam. W naszych piwnicach instalujemy centralę telefoniczną o kryptonimie „Sławomir”.

Wzdłuż Mazowieckiej jest stały obstrzał karabinowy. Wszystkie okienka zakrywamy, czym się da i urządzamy się głównie od strony podwórka.

Na kolejny nalot nie trzeba długo czekać. Cały zespół zgromadził się w korytarzu, ale ja mam dyżur przy centrali. Siedzę sama w tej piwnicy od strony podwórka. Nie ma telefonów. Bezczynność wyzwala strach. Ale siada przy mnie Andrzej - „Całka”. To student politechniki, zna się na telefonach. A ja czuję się bezpieczna, bo mam opiekuna. Wyraźnie w czasie wojny rządzi nami psychika, a nie rozum.

Nasze obowiązki powiększyły się o nasłuch radiowy Londynu. Głośnik gada bez przerwy. A oni coś plotą. Takie teksty jak: „wy zginiecie, ale duch wasz przetrwa i będziemy wam stawiać pomniki” irytują wszystkich. My nie mamy w planie zginąć. My chcemy wygrać wojnę. Mamy również podawać tytuły piosenek, bo to są kody wojskowe. A co oni grają? Dwie melodie powtarzają się stale: „Z dymem pożarów” i „Hejże ino fijołeczku leśny”. To głupie zestawienie nie poprawia nastroju. Ale Londyn podaje również cenne informacje, nawet o walkach w różnych dzielnicach Warszawy.

O rzezi ludności cywilnej na Woli dowiadujemy się od nielicznych uciekinierów. I straszna wieść. W szpitalu Wolskim rozstrzelano wszystkich mężczyzn, w tym cały personel i chorych. Ogarniająca mnie rozpacz będzie mi towarzyszyć do końca tej strasznej wojny. Ja wiem, że Ryszard zginął, ja to czuję. A prawdę poznam, jeśli przeżyję. Teraz trzeba tylko walczyć.

Pod koniec drugiego tygodnia walk budzą mnie w nocy. Mam dostarczyć na Politechnikę dużą, szczelnie zaklejoną paczkę. Dostaję hasła dla wart i wędruję do Alei Jerozolimskich. Tu jest jedyne przejście, bez żadnej osłony. Niemcy strzelają z BGK nierytmicznie. Wskazują mi bramę na ukos, przebiegam. Idę piwnicami, na ścianach napisy podają kierunek. Muszę dojść do Kruczej. Idę w jej stronę którąś przecznicą. Tuż przed rogiem zostaję wciągnięta do bramy. W niej kilku mężczyzn i kobieta. Zachowują się idiotycznie. Pytają, dlaczego chodzę po godzinie policyjnej i co znaczy moja powstańcza opaska. Opasek nie mają. Zabierają mi paczkę i prowadzą na piętro w celu rewizji osobistej. Ta kobieta ma ją wykonać. To jest kulturalna inteligentka. Orientuję się szybko, że ta rewizja to fikcja, a chodzi o paczkę. Oddają mi ją, ale jest rozdarta. Teraz dopiero widzę, że są to niewypełnione legitymacje Armii Krajowej. Jestem wolna, ale przerażona. Zatrzymuje mnie posterunek akowskiego zgrupowania. Melduję oficerowi, że idę na Politechnikę, ale zabrano mi część przesyłki. Uspakają mnie. On idzie do swego dowództwa i odda te legitymacje. Ja mam odpocząć przed powrotem. Powrót bez przygód, tylko stojąc przed skokiem w Alejach patrzę na płonąca Warszawę

w nocnej scenerii i czuję, że kapią mi łzy. Nie miałam przykrości z powodu tego incydentu. Znacznie później dowiedziałam się, że w tym domu stacjonował oddział Armii Ludowej.



Żołnierze batalionu „Kiliński” na kwaterze w budynku liceum przy ul. Górskiego. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Stołecznego Warszawy.

Przerywnikiem w służbie było gospodarowanie. Specjalistką od gotowania była patrolowa Fela - „Wanda”. Do historii przeszła jej kłótnia z Renią. Na jednym z naszych podwórek była kuchnia kawiarni „Batawia”. One gotowały zupę w czasie ostrzału artyleryjskiego. Renia chciała się już schować, a Fela nie, bo kartofle jeszcze twarde. Na szczęście pocisk rąbnął w tę kuchnię, gdy garnek z zupą był już w bramie. Koniec gotowania. Kartofle też już się skończyły. Żyjemy dalej.

16 sierpnia – jedyna wyprawa zbiorowa. Idą dwa patrole łączniczek i dowódca. W gmachu PKO otrzymujemy rozkazy. Idziemy pod barykadą przy Świętokrzyskiej za Marszałkowską. Nie możemy trafić do celu. Błądzimy

wśród ruin getta i osuwamy z raketowym ostrzałem. W samotnej bramie, której zabrakło domu, podmuchy „krów” rzucają nami jak piłką, ale są to drobne urazy. Więc powrót do PKO, a potem już bezbłędnie na ulicę Krochmalną. Siedzimy w małym sklepiku przy barykadzie. Tu walczy robotnicza Wola. Żołnierze wpadają, coś krzyczą. Jeden zdobył ręczny karabin maszynowy i pas z amunicją- cały zakrwawiony, bo ściągnął go z zabitego Niemca. Wzbogacamy swoje słownictwo. Tylko jedna łączniczka wyszła z bliskim meldunkiem. Planowany atak w celu połączenia ze Starówką nie nastąpił. W powrotnej drodze obserwujemy alianckie zrzuty, większość na obszar niemiecki. Wróciliśmy bez strat. A Niemcy w Paście chyba spali. Jedenastoosobowa grupa przekroczyła Marszałkowską czterokrotnie bez obstrzału.

Z Londynu słyszę wiadomość, jakby nadaną dla mnie. 16 sierpnia Niemcy, nie mogąc zdobyć silnie bronionej powstańczej placówki przy ulicy Przejazd 1, wdarli się piwnicami od strony getta i wysadzili dom w powietrze. To był mój dom. Czy była w nim wtedy moja rodzina, nie powiedzieli.

Gdy byliśmy w tych piwnicach na Mazowieckiej, do sąsiedniego domu, gdzie była kwatera Radwana, wpadł jakiś dziwny pocisk. Wyniesiono na podwórze kilkanaście osób. To byli cywile. Wywołano mnie tam, ale stwierdziłam, że nie są to ranni. Nie oddychali, nie czułam tętna. Usiłowałam ich cucić, robiłam sztuczne oddychanie, bez rezultatu. To byli martwi ludzie. Ale wzywają mnie do naszej kwatery, bo przynieśli Zosię, która miała służbę u Radwana. Ona też nie ma oznak życia, pochylony nad nią ksiądz udziela ostatniej posługi. Czuję się bezsilna, ale sięgam do apteczki i robię zastrzyk z kofeiny, a może z adrenaliny? I następuje samoistny oddech. Nie wiem czy coś pomogłam. Może ona miała krótszy kontakt z nieznanym środkiem z tego pocisku, czy też wymodlił się za nią ten ksiądz. Fakt, że Zosia żyje do dziś i z ogromną przesadą głosi moją chwałę.

20 sierpnia powstańcy zdobyli Pastę na Zielnej. Świętokrzyską prowadzono dużą grupę jeńców i ludność wybiegła z piwnic, żeby to zobaczyć. Lecz my jesteśmy wojsko i spacerów nie uprawiamy. Ale... wyszłyśmy wszystkie, po kolei, po jednej na dach, aby zobaczyć białą flagę na tej zniechęconej Paście. Szczęśliwie snajper nie strzelał.

W czasie walk na Krakowskim Przedmieściu i w kościele Świętego Krzyża jeden z kolegów, sam lekko ranny, przeprowadził podkopem pod Mazowiecką dużą grupę rannych cywili. Opatrzyłam wszystkich. Moje ambulatorium działało.

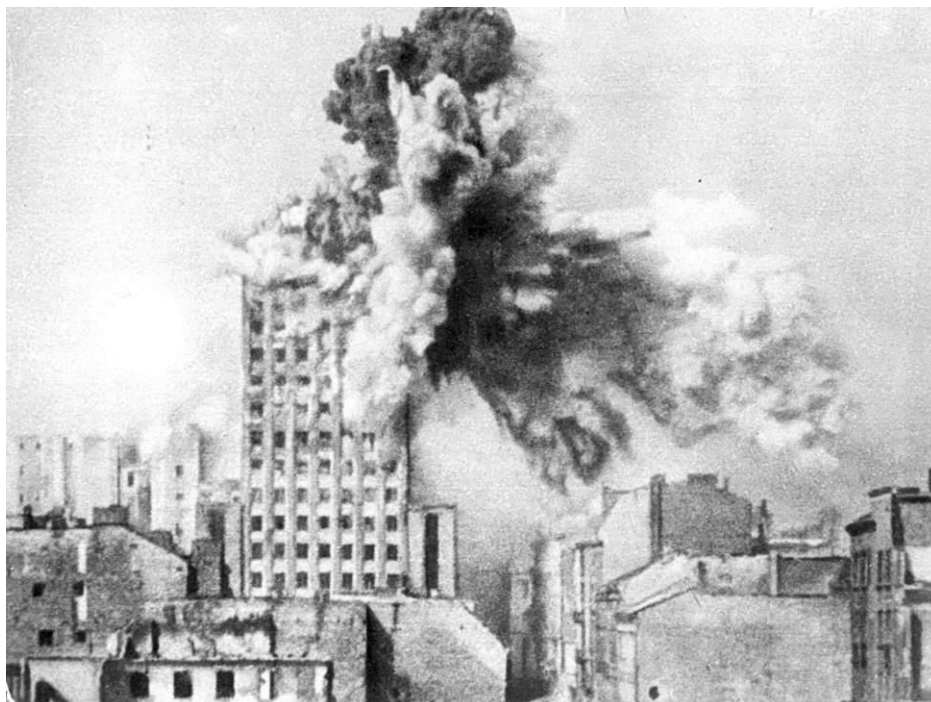
W początku września rozkaz niezwykle, bo mamy iść na Powiśle we dwie z Wirą. Meldunek jest ważny, a dojdzie niebezpieczne, więc chociaż jedna musi dojść. Ubierają nas w wiatrówki, mimo upału, a na głowy chustki kryjące włosy. Mamy przejść przez dom, w którym jest duży pożar. Barykada przez Nowy Świat jest przy Wareckiej, ale przez plac Napoleona można przejść tylko pod Prudentialem, trzeba krążyć, bo ostrzał od Mazowieckiej jest nie do przebycia. Cały plac Napoleona to gruzowisko i wertepy. Jest ostrzał artyleryjski z ciężkich dział. Ich świst i podmuch przygniata nas do ziemi. Z Prudentialu stale coś spada. Wołam do Wiry, że musimy iść prędzej, bo nie dojdziemy. Ona odpowiada: „nie mogę prędzej, bo mam wysokie obcasy”. To nie żart. Jej własne buty rozpadły się po przejściu kanałem ze Starówki. Wreszcie ulica Górskiego. Przez ten pożar udało się przebiec. Powiśle już mniej spokojne niż oglądałam poprzednio. Dojdzie do celu oryginalnie. Schody w budynku na Tamce, z nich przez okno na dach innego domu, a tam drabiną na skarpe. To ulica Bartoszewicza. Wróciliśmy całe.

Jestem stale silna i zdrowa, ale mam poczucie beznadziejności. I nagle, gdy słyszę, że jest meldunek, podrywam się z dziwną nadzieją, że coś się zmieni. Jakieś dziwne przeczucie. Myślę, że coś mnie trafi, ale czuję, że ten meldunek musi być mój. Idę za Marszałkowską i na Złotej przy zburzonym domu, tam gdzie był drugi zjazd PPS, spotykam znajomą. Tu zginął jej brat, przyjaciel mojego ojca. Ona mówi, że ojciec i Saba przeszli kanałem ze Starówki i są w kościele na Moniuszki. To jest to moje przeczucie- mam jeszcze rodzinę. Jest nalot i straszny obstrzał ulic, ale ja nie mogę czekać. Biegnę do tego kościoła. Już ich tam nie ma. W zakrystii wiedzą coś o ojcu. Zostawiam adres mojego postoj. Przekazą mu.

Odnalazłam ich wkrótce w prywatnym mieszkaniu na Kopernika. Ojca nie było, ale jest Saba, ranna w rękę i w nogę. Oberwała przy przenoszeniu rannego pod barykadą. W czasie mojej wizyty zjawia się mama. Przeszła dużym kanałem, burzowcem z placu Krasińskich. One odpoczną, tu taki spokój po Starówce. Ale byłam tam tylko raz. Powiśle to następna dzielnica do likwidacji.

Saba miała od dwóch tygodni odłamki z granatnika w stopie. Na Starym Mieście nie było warunków dla ich usunięcia. Poprosiłam docenta Zaorskiego i sam wykonał zabieg. Tylko uprzedził, że będzie piszczała. Ta operacja, wykonana przez protekcję, będzie bez znieczulenia – bo już zabrakło. W Śródmieściu szpitale też odmawiały wykonania drobnych zabiegów, z braku czasu. Łączniczka z K1 czekała tydzień na wyjęcie odłamka z kolana. Właśnie

te łączniczki miały zasługi dla sanitariatu. Przeprowadziły kilka grup rannych akowców kanałami ze Starówki.



Wybuch pocisku na Prudentialu. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Stołecznego Warszawy.

Warunki na naszej kwaterze coraz gorsze. Jest pożar na dachu i nie ma wody do gaszenia. Przenosi się więc na coraz niższe piętra. W ostatniej piwnicy jest tak gorąco, że można w niej gotować, wystarczy wsunąć garnek przez uchylone drzwi. Nie pomieszkamy tu długo. Gdy palił się już parter, przyszedł do nas ksiądz i udzielił wszystkim łączniczkom ostatniego sakramentu. Bez spowiedzi.

Czwartego września przyszła do nas łączniczka z K 1- Dasia. Gdy wracała, porucznik Rymkiewicz wysłał z nią naszą drużynową, Romę. Na Świętokrzyskiej pocisk artyleryjski uderzył w dom, zasypując obie rozżarzonymi gruzami. Dasia z rozległymi poparzeniami zmarła w szpitalu po tygodniu.

Romeę przyniesiono do naszej kwatery. Miała ranę wypaloną jakimś żelastwem wzdłuż całego podudzia. Miałam więc nową pacjentkę.

Nasz pobyt na Mazowieckiej stał się już niemożliwy. Chyba piątego września nocą przeprowadzka do piwnic na ulicę Górskiego. Chłopcy przenieśli Romeę. Rano nalot i jesteśmy zasypani. Nie mamy wyjścia. Odkopano nas. Wychodzimy na ulicę bardzo brudni. Myjemy ręce w pojemniku z wodą do gaszenia pożarów, która jest w ulicznym śmietniku.

Z Powiśla płynie fala uchodźców, a w tym tłumie moi rodzice i siostra. Los chce, żebyśmy się spotkali.

Nasz pluton nie ma lokum. Siedzimy w jakimś rozgałęzieniu piwnicy – to podziemna droga w kierunku barykady przez Aleje, a dalej już Śródmieście Południowe. Przed nami defiluje ludność Powiśla. Nasi palacze nie mają już papierosów. Ja nie palę, więc nie wstyd prosić. Uzbierałam trochę.

Nowa kwatery jest w parterowym mieszkaniu we frontowym budynku w Alejach. Ma tu być bezpiecznie, bo Niemcy chroniąc tunel, nie bombardują domów. Ale jest to linia frontu – nieustanna kanonada karabinów maszynowych. Trwa bitwa o dom przy Brackiej i sąsiednie kamienice w Alejach. Ktoś mówi, że Niemcy puszczały takie wybuchowe czołgi - „Goliaty”. Boję się. Nie ma nic do roboty, nawet centrala telefoniczna nie podłączona.

Ale gdy łączność milczy, to wkracza medycyna. Zawiadamiają mnie, że patrolowa Hala, ciężko ranna, jest w punkcie sanitarnym w gmachu Braci Jabłkowskich. Spotykam tam koleżankę ze studiów. Mówi, gdzie znaleźć Halę, ale mówi jeszcze, że Niemcy uderzą lada chwila. Oni przenoszą się za Aleje. Proponuje mi dołączenie do ich ekipy, bo tu już nic nie zdziałam. Odnajdujemy Halę w parterowym pokoju, z wejściem z podwórza Braci Jabłkowskich. To tymczasowy skład rannych. Na pryczy, wzdłuż ściany, leży siedem osób. Hala jest nieprzytomna, ma obandażowaną głowę. A leżący obok mężczyzna jest pobudzony. Siada i pada na nią, co chwila. Moje zajęcie polega na ciągłym układaniu go obok. Chłopcy poszli szukać noszy. Młody mężczyzna pyta, dlaczego nie czuje nóg. Jest ranny w plecy. Co mam powiedzieć? Mówię, że trzeba poczekać aż uraz minie. Koleżanka z punktu sanitarnego ponawia swoją propozycję. Oni już się przenoszą. Tu jest psychoza strachu. Spodziewają się, że Niemcy wkroczą i wymordują wszystkich. Nie wiem, dlaczego, ale właśnie wtedy się nie bałam. Miałam poczucie rezygnacji. Ale nie przyszli Niemcy, Tylko nasi niezawodni koledzy z noszami. Przenieśli Halę do szpitala za Aleje. Wróciła po kilku dniach do oddziału. Rana na czole goiła się przez ziarninowanie.

To mieszkanie przy Alejach nie było dobre. Znow przewadzka na Widok. Po przeciwnej stronie ulicy – sztab Radwana, a w nim nasza centrala telefoniczna „Sławomir”.

Już pod koniec września ranna jest najmłodsza łączniczka z mojego patrolu – szesnastoletnia „Mała Danusia”. Jest w szpitalu na Chmielnej. Spotykam tam znow koleżankę ze studiów. To była chyba „Pestka”. Zapada decyzja transportu Danusi do szpitala za Aleje. Przenosimy ją na krótki pobyt do naszej kwatery. Ona wymaga poważnej operacji czaszki. Potrzebny jest Rentgen. Leży nieprzytomna i mruczy coś monotonicznie bez słów. I znow zdobywanie tych cennych noszy i transport pod barykadą za Aleje. Mała Danusia została w szpitalu do kapitulacji.

Ostatnie dni września sygnalizują jakąś zmianę. Niemcy wysadzili już mosty na Wiśle, a Rosjanie zaczęli nocne zrzuty. To farsa. Kukuruźnik lata hałaśliwie nad dachami i zrzuca trochę sucharów i broń. Ale ta broń jest bez amunicji. Słyszę w sztabie, jak major Wola mówi, że lepiej mieć w ręku kij niż nienabity karabin, bo kijem łatwiej Szwaba w łeb rąbnąć.

Wracam z nocnego dyżu-ru przy centrali telefonicznej i chcę się przespać, ale Anita mówi, że idzie z meldunkiem i że z naszego patrolu tylko my dwie całe. Ona dziś coś oberwie. Rugam ją i mówię, żeby dziś nie szła, ale idzie. Budzą mnie wkrótce. Był telefon z Palladium, tam czeka na mnie ranna Anita. Siedzę na widowni kina, przez dziurę w suficie widać niebo. Anicie zakładają gips. Ma przestrzelone ramię. Ale łączniczka z gipsem na rękę jest sprawna. Po dwóch dniach idzie w tę samą trasę i wraca bardzo wesoła. Miała przygodę. Jakiś harcerz, czekając na przejście pod barykadą coś zagadał, przytulił się do tego gipsu i powiedział: „ale masz jędrne ciało”.

Moje pożegnalne wspomnienie jest typowe, bo na ochotnika – taka codzienność łączniczki. Szłam z meldunkiem do utrzymujących się stale pozycji Batalionu Kiliński, przy Kredytowej. Na Świętokrzyskiej przystanąłam w zagłębieniu przed wejściem opuszczonego już gmachu PKO. Ulicę zamykała barykada od strony Nowego Świata. Była niska, uszkodzona przez pociski granatnika. Tu była ranna mała Danusia. Przed barykadą leżał mężczyzna z rozrzuconymi rękami, a obok kubeł na wodę. Tak też się ginęło. Powrót był szybki, tylko jakiś pijany facet zaczepił mnie, pytając, czy nie boję się chodzić sama po takim pustkowiu. Pytanie dla łączniczki retoryczne.

Dokucza coraz większy głód i stały brak wody. Nie można nawet ugotować zupy z łupanego jęczmienia, bo nie ma czystych naczyń. Do jedzenia jest tylko to, co można wziąć w rękę. Lepimy wodą ten przysmak i pieczemy na kuchennej blasze – takie podpłomyki. Są resztki marmolady z buraków. Ratuje

nas cukier, czerwone wino i korzenie. Więc grzane słodkie wino pijemy wieczorami. To trzeba dawkować ostrożnie, ale to są kalorie.

Jest coraz zimniej, a my nie mamy ciepłego ubrania. Wyszliśmy z domów latem, na kilka dni. Jest zapas kiepskich męskich koszul i to ratuje przed brudem. O praniu nie ma mowy. Ktoś jednak o nas myśli. Przychodzi prawdziwa krawcowa i mierzy nas. Dostajemy uszyte na miarę spodnie i kurtki na watolinie. To skarb.

KAPITULACJA

Niemcy uznali Armię Krajową za część wojska polskiego, co pozwoliło na kapitulację. Więc dość zabijania. Wojsko idzie do niewoli. Pozwalają nam wybrać – iść do niewoli, czy jako cywile z ludnością miasta. Ja chcę iść z rodziną.

Jest zawieszenie broni. Chodzimy otwarcie ulicami i nikt nie strzela. Ostatni wieczór – 4 października. Cały pluton pije to ciepłe wino i śpiewa: „Więc pijmy wino, szwoleżerowie...” Ale smutno się rozstać.

Ojcu proponują wyjście w randze oficera, ale on nie chce ryzykować. On był w PPS i organizował w pierwszych dniach powstania oddział milicji robotniczej na Starówce. Dlatego mianowano go później kierownikiem PKB na obszar Warszawy. Do zadań tej organizacji należały problemy ludności cywilnej, ale podlegały jej również obozy jeńców wojennych. Niemcy szukali go po kapitulacji. Musimy się ukryć w tłumie cywili. Postanawiamy wyjść przed opuszczeniem miasta przez wojsko, ani godziny dłużej bez obrony. Ale szpitale zostają dłużej, bo potrzebny jest samochodowy transport rannych. Alika ma w szpitalu rannego brata i zostaje z nim. Dołączają do niej trzy łączniczki, w tym dwie z mojego patrolu. Drogo za to zapłacą.

Bilans strat w moim uzupełnionym patrolu wyglądał tak: Ogólny skład – 7, z tego 2 zabite i 4 ranne. Tylko ja nic nie oberwałam. W innych patrolach straty były mniejsze, ale to tylko przypadek, nie statystyka. Gdy hufiec uformowany w szeregu rusza – nasza mała grupa stoi na baczność bez rozkazu.

Idę do rodziców. Spotykam koleżankę ze studiów, Hankę T. Proponuje mi jakieś futro, bo ma dwa, to Niemcy jedno zabiorą. I dodaje: „jak się spotkamy, to mi oddasz.” Dziękuję, powstańcza kurtka jest moją własnością. Ale na ogół ludzie pomagali sobie. Dostałam nowe pantofle ze sklepu znajomych mojego ojca. Moje były wykończone.

Cywile i wojsko to dwie oddzielne grupy. W okolicy Politechniki spotykamy punkt składania broni, pilnowany jeszcze przez uzbrojonych i umundurowanych opaskami Akowców.

Kolumna cywili, objuczona resztkami dobytku, niezbędnymi na czas przetrwania, wlecze się wolno. Krótki przejazd pociągiem i obóz w Pruszkowie. Nasza grupa to 8 osób. Dodatkowo jest trzech kolegów ojca i jedna kobieta – to PPS. Hala fabryczna pusta, ale pełna ludzi. Siedzimy przez noc na własnych bagażach. Rano krótkie rozpoznanie sytuacji. Wiadomo, że Niemcy segregują Ludzi – na zdolnych do pracy, czyli na roboty i tych bezużytecznych, rannych, chorych i starych. Panowie dali jakiemuś Polakowi łapówkę za przeprowadze-

nie do hali niezdolnych do pracy. Kupiliśmy pierwszy chleb przez druty kolczaste.

Jestem uczesana w mini warkoczyki, aby wyglądać jak dzieciak i mam zdrową rękę na temblaku. Saba opiera się na lasce naprawdę. Przy wsiadaniu do wagonu pomaga mi troskliwie niemiecki żołnierz. Towarowy pociąg, z odkrytymi wagonami, wlecze się wolno, czasem przystaje. Chyba ktoś wyskakuje, nikt nie strzela. Jesteśmy coraz bliżej granicy Rzeszy. Gdy pociąg zatrzymuje się na stacji jakiegoś miasteczka, wysiadamy całą grupą. Nie ma reakcji, pociąg rusza dalej.

Jesteśmy w Tomaszowie Mazowieckim. Już wieczór. Polski kolejarz zgadza się przenocować nas, tuż przy stacji, w niewykończonym jeszcze własnym domu. Mamy być cicho i nie palić światła. Nocleg na czystej, drewnianej podłodze. Te deski były bardzo miękkie, a noc wspaniała. W małej gospodzie jemy śniadanie z jajecznicą. I wynajęta furka wiezie nas do folwarku Napiórkowskich. To przyjaciel męża Marychny. Oni powinni tam być, ale ich nie ma.

Dom pełen warszawiaków. Jemy wspólny obiad. Trudno nie zauważyć partyzanta z gipsem. Noc w małej komórce, a rano przeprowadzka.

To mała wioska Kobylinek. Stacja kolejowa w Rogowie. Chata dwuizbowa, my w pokoju, gospodarze z dziećmi w kuchni. Komfort za stodołą. Ojciec chodzi do naszych przyjaciół po wiadomości. Nie ma gazet, książek, radia. Jest tylko resztką nadziei.

Po kilku dniach oczekiwania rodzice wyruszają do Piastowa. Może nasi tam dotarli. Znaleźli Basię, siostrę mamy, ma tylko zranione oko. Ale reszty nie ma. Oni byli – to czas przeszły, nienawidzę go. Czas przeszły powinien być tylko dla ludzi starych. Zginęła moja babcia i to rozumiem. Ona doczekała się już prawnuków i miała dobre życie. Natychmiastowa śmierć bez cierpienia może być jego zakończeniem. Ale mówić o moim chrzestnym synku Jacku, że był przez 2 lata - nie mam na to słowa. Śmierć Marychny, która zmarła ostatnia w Wolskim szpitalu, była dla niej już tylko łaską. Straciła męża i dwoje dzieci. Egzekucja w szpitalu, w której zginął Ryszard i inni... tego zdania nie umiem skończyć. Ale my czworo jesteśmy w tym terazniejszym czasie.

Nie można całe dni nic nie robić. Gospodyni proponuje mi zabawę z najstarszą córką, bo to moja rówieśnica, ona ma 12 lat, a ja 23. Nie umie czytać, nie zna liter. Zaczynam ją uczyć, ale idzie ciężko. To, co ja czytam MAMA, ona czyta TATA.

W sąsiedniej chałupie chłopaka boli brzuch. Zbadałam go i coś mu dałam. Tu ludzie niby nic o nas nie wiedzą, ale jednak wieści rozchodzą się

szybko. W nocy jakaś kobieta przyszła prosić, żebym pomogła przy porodzie. Boże, ja porodu nawet nie widziałam. Mama poszła za mnie, tłumacząc, że jeszcze nie skończyłam tej szkoły. Czy moje wykształcenie kiedykolwiek się przyda? Ja już we wszystko wątpię.

Zima wlecze się leniwie. Ojciec chodzi do znajomych po wiadomości. Podobno ruszyła ruska ofensywa. U nas cisza. Ale słychać jakieś nowe odgłosy i gospodyni woła: „dziecioki nie stukajta!”. Otwieram drzwi i wiem – to niemiecka artyleria przeciwlotnicza. Wieczorem warkot samolotów, a daleko na niebie te oświetlające lampiony. Bombardują Łódź.

Rano obserwujemy z naszego okna odwrót niemieckich wojsk. Jadą piaszczystym traktem opodal wsi – jadą na zachód. I nagle wpada nasz gospodarz z okrzykiem: „to ruskie wojsko tak jedzie”. Nie do wiary! Biegniemy gromadą sprawdzić – tak, to Rosjanie weszli bez walk.

W nocy mamy gości. Najpierw kilku żołnierzy grzeje się przy piecyku, a potem oficer wygania ich do stodoły, bo tu będzie obradował sztab. To trzech oficerów i dużo bimbru. Czołówka. Szturmowy oddział wyborowy. Nie biorą jeńców, strzelają do każdego Niemca. Pijemy z nimi całą noc, to jest paskudne, ale nie można nie pić. Traktują nas jak sprzymierzeńców. Rano myją się pod studnią i wymarsz. A my chorujemy po tym bimbrze.

Wieczorem, ten chłopak, co go niby leczyłam, przychodzi z ostrzeżeniem. W stodole ukryło się trzech Niemców. Rozkaz – nie wychodzić z domu. Ma na ramieniu karabin, to Bataliony Chłopskie.

Po kilku dniach ojciec wędruje do Łodzi – to jego rodzinne miasto. Pakujemy nasz skromny dobytek i wędrujemy do szosy. Odprowadza nas gospodarz z najstarszą córką. Wojskowa ciężarówka wiezie nas za wódkę bez oporów.

Łódź – to Rzesza Niemiecka. Miasto prawie nietknięte przez wojnę. Niemcy, którzy nie zdążyli uciec, sprzątają ulice. Na rękawach opaski ze swastyką. Ale ci, co rządzą, zdążyli spalić twierdzę w Radogoszczy pod miastem. Spalili żywcem wszystkich polskich jeńców. Nie poszłam tego oglądać.

Jesteśmy u rodziny ojca, To robotniczy barak, jednoizbowe mieszkania bez kanalizacji. Na korytarzu rozrabiają wspólnie dzieciaki. Jest ciasno, ale serdecznie.

W mieście jest dużo wolnych mieszkań, ich przydział wymaga czasu. Ale gdy ma się tu rodzinę- wszystko idzie łatwiej. Ojciec dostał klucze do takiego lokalu. To tymczasowe, ustne pozwolenie. Trzeba przecież tych Warszawiaków gdzieś upchać. To centrum miasta, ulica Orla 3. Boże, to jakby w Warsza-

wie. Orla była blisko naszego ostatniego domu. Tam mieszkała Anita i u niej miałyśmy zebrania patrolu w lipcu, przed powstaniem.

To typowe mieszczańskie mieszkanie – trzy pokoje z kuchnią i łazienką. Jest woda w kranie. Zostały tylko meble i ślubny portret nad małżeńskim łóżkiem. Ani śladu jedzenia. A w mieście głodno. Saba znalazła w kuchni jajka w proszku, ale próba jajecznicy nie powiodła się.

Dni wloką się bez celu. Gdzieś daleko wojna trwa. Pewnego dnia znajdujemy w lokalnej gazecie wzmiankę, że w Warszawie na Grochowie, otwarto wydział lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. Jest w jakimś wojennym szpitalu. To koniec mojej kapitulacji. Mogę odzyskać cel w życiu, być lekarzem, pomagać chorym. Może tym razem się uda.

I ZNÓW WARSZAWA

Decyzję podejmuję bez wahania i uświadamiam sobie, że nie mam tylko jednego celu, ale dwa – powrót na studia i do Warszawy.

Saba znów mi pomaga, jedziemy razem. Ale pociągów do Warszawy stałe nie ma. Dojeżdżamy do Pruszkowa i piechotą do Leśnej Podkowy, na nocleg do znajomych. Rano powrót na linie pociągów i do najbliższej stacji przed stolicą. To Włochy. Znów byle jaki nocleg i marsz do celu. Tu w każdym domu jest bezpłatny hotel na jedną noc. Wystarczy powołać się na znajomych. To jest wędrówka ludów.



Warszawa cała w ruinach. Przy Halach Mirowskich martwy człowiek, przyprószony pyłem historii, ma zatkniętą biało-czerwoną chorągiewkę.

*Powrót do zburzonej Warszawy.
Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Historycznego Miasta Stołecznego Warszawy*

Odnajdujemy ostatnie miejsca naszego bytowania. Dom przy Przejazd 1 stoi. Zburzona jest tylko, wysadzona w powietrze przez Niemców, frontowa część. Wszystkie pokoje spalone, ocalała kuchnia i łazienka. Z kuchni jacyś ludzie wynoszą resztki mebli. W łazience jest mosiężna wypalona popielniczka. To jedyna pamiątka. Mam ją do dziś i stale widać na niej ten pożar.

W Alei Wojska czwarte piętro częściowo zburzone. Dziwny jest widok pokoju, w którym pianino stoi na trzech nogach, a czwarta jest w powietrzu. Strach wejść, ale ryzyko wpisano przecież w naszym życiorysie. I znalazłyśmy skarb. W uszkodzonej pociskiem szafie rozsypane fotografie. Przetrzywały swoich właścicieli. I mam je do dziś.

Znów marsz przez miasto. Niezapomniany widok – to figura z kościoła Świętego Krzyża. Leży na ulicy i Chrystus wyciąga rękę do nieba. To jakby symbol walki o Warszawę.



Uszkodzone zdjęcie ślubne Marychny z mężem Józefem Ponikiewskim znalezione w zburzonym mieszkaniu. Oboje zginęli w powstaniu.



W zburzonej Warszawie powraca życie. Zdjęcie ze zbiorów rodziny.

Przeprawa na Pragę trudna. Jest tylko jeden pontonowy most przy Karowej, wspólny dla wojska i ludności. Ruch w obie strony na zmianę. Gigantyczna kolejka.

Na dalekim Grochowie w budynku szkolnym jest szpital i ta medycyna. Ulica Boremlowska. Jest kancelaria uczelni i na dużej sali mieści się wszystko: sala wykładowa, jadalnia i akademik dla studentów. Podzielono to tylko parawanami. Takiego uniwerku jeszcze świat nie widział. Muszę zebrać dokumenty, ale już wiem, że przyjmą mnie na pewno.

To jest marzec 1945 roku. Zima nie ustępuje, silny mróz trzyma. W powrotnej drodze kupujemy na bazarze duży kawał wędzonej słoniny. To skarb - rodzice głodowali. A potem przemarsz przez Wisłę po lodzie. Tak szli wszyscy. I dalej wynajętą furką do tej Podkowy. Jechało kilka osób. Ale nas czekała przykra niespodzianka. Gdy wysiadł ostatni pasażer, gdzieś na granicy miasta, podróż się skończyła, furka dalej nie pojedzie. Mamy iść torem kolejki elektrycznej. Tu podobno rabują, a frajerów rzucają do rowu. Saba mówi, że dla

tej słońcy warto narażać życie. To był mój najdłuższy wojenny marsz. Ale w końcu dotarliśmy do Łodzi.

I szybko powtórna wyprawa. Cała rodzina zbierała dla mnie potrzebny ekwipunek. Miałam walizkę i poduszkę owiniętą kocem. W Koluszkach przesiadka. Zamieszanie. Bagaże spadają z półki i moja walizka ginie. Ta poduszka i koc to cały mój majątek. Saba znów jedzie ze mną. Wędrujemy przez Wolę do szpitala na Płockiej. Staram się nie myśleć, ale wiem, że na podwórzu we wspólnej mogile, jest moja siostra i dziewięcioletni Sławek.

Docent Roguski daje mi zaświadczenie o zaliczeniu stażu z interny. Przyjmują mnie ma czwarty rok studiów. Brak mi tylko egzaminu z farmakologii.

Wykładów jest mało, ale ich poziom dobry. Nie znam wszystkich studentów, część jest z mojej grupy. Jest Lalka Szymańska z interny na Płockiej i przychodzi Krysia Kwiecińska, wsparta o laskę. Ma uszkodzone mięśnie uda. Są też osoby bardziej poszkodowane.

Zaczynam się uczyć z Lalką tej brakującej farmakologii. Ale my mamy inny zwyczaj nauki, ona w nocy – a ja rano. Jednak przez ostatnią noc przed egzaminem powtarzamy cały materiał. To nauka przy świeczkach nagrobkowych, bo w mieszkaniu Lalki nie ma światła. W drodze na uczelnię spotykamy kolegę, to Edek Kowalski. On studiuje już na drugim wydziale. Przed wojną skończył farmację. Przepytuje nas i mówi, że zdamy. Egzamin w ogólnej sali, wszyscy słyszą. Lalka odpowiada dobrze, a ja wcale. Zamurowało mnie, nic nie dociera. Ten Edek stoi za mną i podpowiada, a on strasznie się jąka. Wszyscy to słyszą, tylko nie ja. Egzaminator jednak próbuje i w końcu pada dziwne pytanie: „jak działa alkohol na człowieka – no, czy ludzie są smutni czy weseli”? Odpowiadam genialnie: „jedni są smutni, a inni weseli”. Termin poprawki za 3 dni. Zdałam bez trudu.

Muszę się wziąć w garść, bo zwariuję. Mieszkam sama w wynajętym pokoiku. Gospodyni miała palić w piecu, ale jej nie ma. Zmarzną na sople i koniec. Akademicka stołówka i ta sala pełna gwaru ratują mnie.

Nowa atrakcja – to komisja wojskowa. Wojna trwa. Nasi sojusznicy potrzebują sanitariuszy. Oni już zdążyli powołać pseudo-polski rząd i to nie wzbudza naszego podziwu. W tej komisji jest dwóch lekarzy w mundurach. Jeden mówi po polsku, a drugi udaje, że rozumie. Jesteśmy wszyscy bardzo zdrowi. Ale jedna dziewczyna ma dwie blizny na klatce piersiowej. Wyraźnie wlot i wylot. Ten Polak waha się i pyta, jak to się stało. Ona stała z kubłem po wodę i strzelali. My wszyscy tylko wodę nosiliśmy w powstaniu. Polak daje

słuchawkę ruskiemu, a on oznajmia: „Dycha, zdolna do służby wojskowej”. Ale nie zmobilizowali nas.

Grono studentów wciąż rośnie. Zjawia się Zbyszek, pyta, co u mnie. Źle, zginęła większość rodziny. A Ryszard? Ryszard nie żyje. On też już tylko był. To czas przeszły.

Dwukrotnie wiosną wędruję do Warszawy, za Wisłę. Tu stale prowadzone są ekshumacje zwłok. To moja rodzina. Dwa pogrzeby, trzy trumny i pięć ofiar wojny.

Zwycięską noc zakończenia wojny ruscy obchodzili triumfalnie. Ja przepłakałam ją w samotności.

Rodzice wrócili do Warszawy. Zdobyli mieszkanie na Smulikowskiego. Ten kawałek Powiśla przetrwał. Miasto z trudem dźwiga się z ruin. Ale masowy powrót ludności wymusza decyzję odbudowy stolicy. W tym dziele uczestniczą studenci. Przez cały dzień wywoziłyśmy cegły z ruin w Alejach Jerozolimskich. To są zajęcia w przerwie wakacyjnej. Ta nasza ekipa – to grupa krasnoludków: ja, Róża Walcowa, Irka Gawęcka i Nelka Ślusarska. Wywoziłyśmy te cegły ciężarówką, gdzieś poza Wolę. Nie mogłam się domyć. Włosy trzeba było obciąć. Już w czasie zajęć była akcja odbudowy Anatomicum przy Nowogrodzkiej, ale była to już męska ekipa.

Nasza medycyna również się przeniosła, głównie do szpitala Dzieciątka Jezus. Remontują prowizorycznie poszczególne pawilony. A w klinice Dermatologii na Oczki powstaje prawdziwa sala wykładowa i akademicka stołówka. Jadam tam jeszcze obiady.

W tym ostatnim roku zaliczam ćwiczenia ze wszystkich przedmiotów klinicznych. Poziom tego przygotowania jest różny. Ten rok pracy w oddziale internistycznym na Woli – to była prawdziwa, praktyczna nauka na całe życie. Ale w końcu jest absolutorium. I tylko trzeba wszystko zdać, aby otrzymać dyplom. Uf – to nie będzie łatwe.

Uczę się dalej z Lalką Szymańską, bo ona blisko mieszka, na Kopernika. Pierwsze dwa egzaminy oblałyśmy, ale to była farsa. Nie martwiłyśmy się tym.

Internę zdawałyśmy u dr med. Michalskiego w szpitalu Przemienienia Pańskiego. On nas nigdy nie uczył. Podobno, żeby zdać, trzeba pokazać się na tych imprezach. Zlekceważyłyśmy to, bo umiemy. Lalka ma zaliczone 5 lat pracy u doc. Roguskiego i jest pewna siebie. Oblałam na pytaniu: „kiedy w szkarlatynie spada gorączka”? Powiedziałam: „w połowie pierwszego tygodnia” – to ma być źle, bo w czwartym dniu choroby. Jestem trup i mam dwóję. Lalkę

też oblał. Uczymy się więc ginekologii, ale poszliśmy na ten egzaminacyjny chórek i zdałyśmy po tym dobrze.

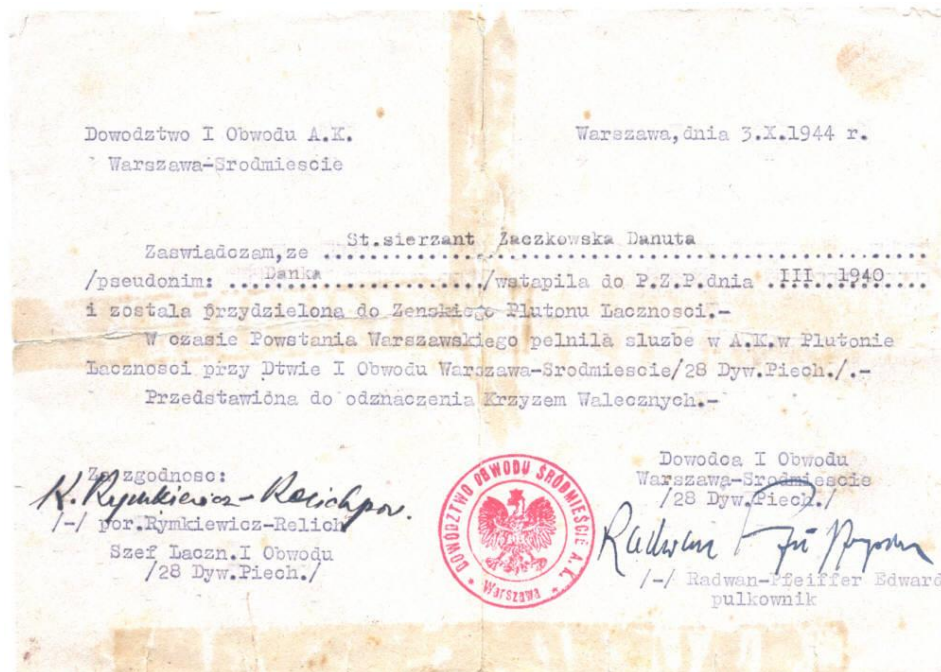
A w klinice Ginekologii w dniu egzaminu był popłoch, bo zginęła ulubiona kotka profesora. Tam wszystko było higienicznie, ale koty profesora uznane były za sterylne. Zdawała duża grupa, część przedwojennych studentów. Nie pomogły podpowiadania asystentów. Oblał wszystkich. Zdałam po dwóch tygodniach, a Lalka zrezygnowała. Więc dalej uczę się sama. A do profesora Czyżewicza nie miałam żalu. To był dobry człowiek i wspaniały wykładowca.

A potem szło już gładko prawie do końca.

Zapamiętałam egzamin z dermatologii u prof. Mariana Grzybowskiego. Nauka tego przedmiotu była trudna, bo myliły się wszystkie plamki, cętki i grudki, ale ja miałam notatki z wykładów profesora. On mówił o istotnych problemach, o etiologii – to było ciekawe. Ten egzamin miał złą sławę wśród studentów. Mówiono, że profesor milczy przez cały czas i tylko po tym pisze dwóję na egzaminacyjnym blankiecie. A było to tak: „proszę usiąść, patrzeć na mnie i mówić szybko, bo mam mało czasu”. Pytania i odpowiedzi bez komentarza. I w końcu ostatnie pytanie: „Jaka jest różnica między grzybicą a kiłą paznokci”? Milczę, a on się odzywa: „no, gdzie są zmiany, w płytce paznokcia, czy obok”? Pomyślałam, powiedziałam, a on podpisał protokół. Wychodziłam z poczuciem oblania, bo nawet się odezwał. Za drzwiami przeczytałam – celująco. Chyba ci oblani musieli nic nie umieć.

Powoli odnajduje się moje akowskie środowisko. Odszukałam Halę Morycińską dzień przed pogrzebem Janki. Jej matka i ja - to cała delegacja z Armii Krajowej. Większość nie wróciła jeszcze z niewoli. Pogrzeb bez nabożeństwa. Trumna z ruin budynku na Świętokrzyskiej jedzie wprost do grobu jej dawno zmarłego ojca. To był oficer, pochowany w Alei Zasłużonych. Przy tym grobie będzie się zbierał co roku pluton łączności, w rocznicę powstania.

Zaczynają się powroty. Na Nowogrodzkiej, tuż przy akademickim szpitalu, jest już pętla kolejki EKD. Z okna tego pociągu zobaczyła mnie Fela Bańkowska, gdy przyjechała pierwszy raz do miasta, po powrocie z niewoli. Fela przywiozła mi oryginalny dokument wystawiony 3.X.1944 r., w dniu kapitulacji powstania. Przechowała go w obozie jeńców. Dziś to już pożółkła, trochę zgnieciona kartka a na niej cenne informacje o mojej służbie wojskowej i jeszcze cenniejsze podpisy pułkownika Radwana i por. Rymkiewicza. To wielka pamiątka. Środowisko zaczyna odżywać, wbrew nowemu okupantowi. To Związek Radziecki. Tego państwa już nie ma, więc można to napisać.



Dokument wystawiony w dniu kapitulacji powstania, który otrzymałam już po wojnie: „...St. Sierżant Żaczkowska Danuta, pseudonim Danka, wstąpiła do PPZ, III 1940 i została przydzielona do Żeńskiego Plutonu Łączności. W czasie Powstania Warszawskiego pełniła służbę w AK w Plutonie Łączności przy Dtwie Obwodu Warszawa-Śródmieście (28 Dyw. Piech.). Przedstawiona do odznaczenia Krzyżem Walecznych”

Po absolutorium nie mam już innych zajęć poza nauką. Więc zaglądam do Lalki. Ona wie od roku, że Grzela, ten góral Jerzy Gromkowski, który nas uczył Interny, zginął w Oświęcimiu. Więc ma już nowego przyjaciela. Mieszka z nią Marian Bogusz – to malarz - też po tym obozie. Studiuje w Akademii Sztuk Pięknych. Tam gromadzi się środowisko artystyczne, ale nie tylko. Jest jakiś dziwny pułkownik w mundurze, ma samochód z szoferem. Ale to młody chłopak – skąd taka ranga? To szczęściarz. Dwa razy zaliczyli go do zabitych i go awansowali, to czterokrotny awans. W wojsku pomyłek nie ma, więc musi tak być. To Zbyszek Dłubak. Maluje, fotografuje i uwodzi, kogo się da. Jest też

inny oficer z Armii Berlinga - Janek Zelnik z żoną Haliną. Dostali na Syberii dobrze w kość, ale o tym się jeszcze nie mówi.

Jest również dwóch studentów architektury – Stasio Górski i Jurek Łoziński. Zarabiają malowaniem mieszkań. Podobno pomalowali jakiemś piosenkarzowi fortepian na fioletowo, ale może to plotka. Mieszkają na Dynasach. Idziemy całą paczką w odwiedziny. Wypalona kawalerka, ściany i sufit- to gołe cegły. Nie tylko one są czerwone. Alkova dużego pokoju zasłonięta jest czerwonym płótnem, takim od państwowych flag. Wisi tam również szlafrok Stasia, obszyty czarną tasiemką. Oni robili dekoracje na Politechnice i zostało im nieco tego materiału.

Przy teatrze Wojska Polskiego na placu Zwycięstwa otwarto Klub Młodych Artystów i Naukowców. Tam działa właśnie Janek Zelnik, a gromadzi się środowisko niespokojnej młodzieży. Z medycyny spotkałam tylko Edka Kowalskiego, który miał wtedy żonę malarkę. Panuje tam atmosfera moralnego niepokoju, to ma być komunistyczne, ale chyba nie całkiem tak jest. Są jakieś dyskusje, przygotowania do amatorskiego przedstawienia. Ildefons Gałczyński przybył z piękną żoną Natalią i recytuje swoje wiersze.

Wstrząsem było samobójstwo Tadeusza Borowskiego. To była tragiczna postać. Ale nasze środowisko podejrzewało w tym udział ówczesnej władzy, bo my im nie ufaliśmy.

Chodzę do tego klubu z paczką od Boguszów. Nadchodzi karnawał i byliśmy w klubie medyków na dwóch balach kostiumowych. Jechaliśmy konną dorożką, śpiewając Gałczyńskiego:

„I była sobie panienka, na imię miała Ina, gdy chciała powiedzieć kocham, mówiła kokaina.”

Trzeba odreagować tę wojnę. Ale najlepsza zabawa była przy szykowaniu kostiumów. Na balu plastyków wystąpiłam jako Balladyna. Ale to była stara Balladyna, bo grali ją w Teatrze Polskim w nieskończoność. Miałam na głowie siwą perukę, a na plecach plakat teatralny z zapowiedzią milionowego przedstawienia. Marian występował jako Teatrzyk Zielona Gęś. Niespodzianką była nagroda za kostium Jurka na balu medyków. On miał ciemny, granatowy garnitur, na który naszyliśmy zygzaki z białego płótna. To był Krętek Błady. Profesor Grzybowski bił brawo.

Odwiedzaliśmy również Teatr na Tarczyńskiej, w prywatnym mieszkaniu. Poeta Miron Białoszewski recytował swój utwór, bujając się na koniu na biegunach. Ale to była sztuka.

W takim nastroju uczyłam się i naprawdę bawiłam. Jurek zaczął przychodzić do mnie. Jedziemy całą paczką w góry do schroniska Bustryckiej



na Hali Gąsienicowej. Są Boguszowie - Lalka i Marian, brat Lalki Bogusław, Krysia Kwiecińska i ja z Jurkiem. Bogusław to sportowiec i zna góry. Chodzimy na wycieczki i zjeżdżamy z Kasprowego na Halę. Zaczyna się wiosna i niżej nie ma już śniegu.

Mój mąż, Jurek Łoziński

W Warszawie to towarzystwo nieźle popija. Jurek przynosi się do akademika. Ci niedokończeni architekci pracują w jakimś biurze projektowym prawie za darmo. Ale pieniądze są potrzebne. Kolega Mariana, Kajetan Sosnowski, ma kłopot, bo nie chcą mu zatwierdzić w KC profilu robotnika do jakiegoś plakatu. Marian dostał zamówienie na obraz Świętej Teresy z zakonu na Tamce. Siostry grymaszą, że jest za mało piękna i on ją ponoć upiększył kosmetykami żony. Ale nikomu tego obrazu nie pokazał, bo deklaruje areligijność.

Jurek wiezie mnie do Łowicza, do swoich rodziców, i przedstawia bez ceremonii – to jest moja żona. Chyba się spodobałam, ale jego matka powiedziała, że znajomi pokazali jej w jakiejś gazecie wzmiankę o tym krętku bładym z jego nazwiskiem. Dobrze, że nie wiedziałam tego wcześniej.

Odległość między nami – Powiśle i plac Narutowicza zaczyna być męcząca. Jurek wraca tam późnym wieczorem, gdy tramwaje już nie chodzą. Chce mieszkać ze mną. A ja mam stale wątpliwości, czy warto wiązać się z kimkolwiek.

Ale w końcu jest ślub, a dyplomu jeszcze nie ma. Klęczymy przed ołtarzem, ksiądz coś odprawia, a Jurek szepcze: „patrz, Tereska Mariana”.

Przed nami prawdziwy obraz świętej Teresy – to patronka kościoła. Oboje parsknęliśmy cichym śmiechem, ale ślub odbył się z właściwym ceremoniałem.

To było po przeszło trzech latach od kapitulacji powstania. Jestem znów prawie normalna, ale zapomnieć się nie da. W czerwcu 1948 roku otrzymałam dyplom lekarza medycyny. W miesiąc później urodził się mój syn, Krzysztof.

STAŻ I SPECJALIZACJA.

Zaczynam staż w szpitalu na Solcu na internie. Okazuje się, że jestem przydatna w szkoleniu studentów, bo umiem dobrze pokazać, jak badać chorego. Tu poza ordynatorem, jest tylko jeden doświadczony internista. Reszta przygodna i niedouczona. Gdy przechodzę na chirurgię, to wypożyczają mnie do tego szkolenia.

W czasie stażu na ginekologii dr Mężyński dał mi francuskie pismo z artykułem o konflikcie serologicznym, jakby przewidział moje późniejsze zainteresowania.

Ale spokojne życie trwa krótko. Gdy Krzyś ma 7 miesięcy aresztują mojego ojca. Nie możemy go znaleźć, żadnych informacji rodzinie się nie udziela. Jedyne obciążający dowód, jaki znaleźli w czasie rewizji, to paszport Józia, męża mojej siostry, który nie żyje. Nieznane nazwisko i odnotowany wyjazd do Szwecji, to musi być przestępstwo. Ale jest sposób na odszukanie więźnia. Trzeba zanosić paczkę do różnych więzień, jak ją przyjmą, to on tam jest. Przyjęli na Rakowieckiej. Przyjęta raz w miesiącu paczka – to znak, że więzień żyje. Tak będzie przez trzy lata - bez widzeń, listów i informacji.

W grudniu 1949 roku środowiskiem medycznym wstrząsnęła tragiczna wieść. Profesor Marian Grzybowski zmarł w czasie przesłuchania w areszcie śledczym na Koszykowej. Wezwano profesora Grzywo-Dąbrowskiego do ustalenia rozpoznania. Odmówił, bo nie wykonuje sekcji przyjaciół i nie fałszuje wyników badań. Ale tę sekcję widział.

Ten skandal przerósł komunę i zakłócił spokój w kołach medycznych. A klinikę Dermatologii objęła partyjna lekarka, Stefania Jabłońska, która nie zdążyła jeszcze odebrać doktoratu. W tej klinice było wówczas dwóch bezpartyjnych docentów. Ale ona zrobiła błyskawiczną karierę – trzy kolejne tytuły w ciągu trzech kolejnych lat. Od doktora do profesora.

Gdy otrzymałam prawo praktyki lekarskiej, Ministerstwo Zdrowia zawiadomiło mnie, że jestem nadliczbowym lekarzem w stolicy. Mam szukać pracy – najlepiej na wsi. Ale ja chcę zostać pediatrą, a tej pediatrii nie umiem. Profesor Rajmund Barański przyjął mnie życzliwie w klinice na Litewskiej, on potrzebuje lekarzy, ale może ich przyjąć tylko na polecenie ministerstwa. Nawet darmowy wolontariat nie istnieje. Złożyłam podanie w tym ministerstwie, ale moje tłumaczenie, że mąż jest architektem i pracy na wsi nie dostanie, nie poskutkowało. Więc mogę zostać w Warszawie i całe życie pracować w pogotowiu. Jestem wściekła. Moja przedwojenna znajoma jest pielęgniarką i pracuje w tym ministerstwie, więc poszłam się do niej pożalić. Spytała tylko,

gdzie to zostawiłam. Następnego dnia wręczyła mi skierowanie na specjalizację. Mam płatne stypendium, a ona jest w partii.

W styczniu 1950 roku zaczęłam specjalizację w klinice na Litewskiej. Moi wspaniali nauczyciele to: prof. Rajmund Barański, prof. Antoni Chróścicki, prof. Irena Kanabusowa i dr med. Zakrzewska. Nie mieli jeszcze wtedy tych wszystkich tytułów, ale wielkie doświadczenie i wiedzę. Była tam również klinika chirurgii dzieci, zakład radiologii i inne rodzaje się specjalności na miarę tamtych lat.

Prof. Mieczysław Michałowicz już nie pracował, ale mieszkał z żoną w klinice i był to lekarz filozof. Jego definicja dziecka zafascynowała mnie. To był rysunek schemat, kwadrat otoczony trzema pierścieniami. W środku napis KONSTITUCIO i otaczające go koła: CIRCUMSTANCIA MICROSCOPICA, MACROSKOPICA i COSMICA. Pediatria to ważna dziedzina, bo jakie będzie dziecko i otaczający go świat - taki będzie człowiek dorosły.

Ta pediatria była inna niż dziś. Przeważały infekcje, posocznica i różne choroby zakaźne, jak koklusz czy dyfteryt, prawie nie było szczepień. Choroby przewlekłe to reumatyzm, białaczki i dominująca nad wszystkim gruźlica. Był to okres przed wprowadzeniem szczepionki BCG, tej doustnej.

Było dużo drobnych zabiegów, jak kroplówki i transfuzje. W tej klinice przetaczania były dożylnie, a na Działdowskiej jeszcze do szpiku. Transfuzje z wyboru były od rodziców i wykonywano je strzykawkami, z pełnej krwi, często ze sterylnego słoika. Było dużo nakłuć do układu nerwowego, do rdzenia i tych wysokich podczaszkowych. Tu dominowało gruźlicze zapalenie opon i mózgu. Było nie wyleczalne. Antybiotyku na gruźlicę nie było.

Lekarz dyżurny musiał sam wykonywać niezbędne badania laboratoryjne, bo laboratorium pracowało do 15-ej. Zaistniała więc konieczność przeszkolenia lekarzy w oznaczaniu grup krwi i w próbach krzyżowych. Prof. Barański wydelegował mnie do Instytutu Higieny, gdzie serologię prowadziła prof. Lille-Szyszkiewicz. Szkoliłam więc wszystkich lekarzy, a w organizacji tych zajęć pomagała mi sekretarka prof. Michałowicza. Była to kulturalna starsza pani, która też mieszkała w klinice. Aresztowano ją pod koniec tej akcji, pod zarzutem handlu dolarami, co było oczywistą nieprawdą.

Ja też miałam zaskakującą przygodę. Gdy w niedzielę po dyżurze chciałam wyjść do domu, zastałam zapieczętowaną szafkę w szatni. Był napis, że nie wolno jej otwierać bez porozumienia z personalnym. Prof. Kanabusowa poradziła mi, żebym wyszła w kapciach i bez palta, a nie złamania tego zakazu. Pan personalny (nowa nominacja z windziarza – to był awans społeczny) oznajmił mi, że na półce mojej szafki są jakieś papiery, z nieznanym w klinice

nazwiskiem: Halina Zapaśnik – Kobierska. Ona odchodząc z kliniki, prosiła mnie o tymczasowe przechowanie jakichś związkowych dokumentów.

Nie będę opisywać swych politycznych przygód w szpitalu. Broniła mnie zawsze dr Staszka Krucowa - sekretarz partii. To była dobra kobieta, ale jej zawodowa wiedza była zadziwiająco skąpa. Chodziła nawet taka anegdota, że na pytanie, „gdzie jest kanał Hawersa” – odpowiedziała, że łączy Odrę z Nysą. Jak się po latach okazało, ona przyszła jako wracz z armią Berlinga, ale nigdy nie studiowała medycyny.

Miałam również dwie śmieszne przygody w dodatkowej pracy w żłobku. Kierowniczką żłobka wita mnie przerażona. Jakieś nieszczęście. Czy ktoś zmarł? Nie, tylko salowa ochrzciła żydowskie dziecko partyjnych rodziców. To była śliczna, roczna dziewczynka, którą ona przynosiła z domu i bardzo się do niej przywiązała. Ta mała miała urzędowe imię Kwadrat, aby to nie było z kalendarza świętych. Załatwiłam to. Spytałam ojca: „czy państwo są rodziną wierzącą w Boga”? Odpowiedź była – nie. Tłumaczyłam, że to dobrze, bo nie będzie problemu. Bo ta salowa ochrzciła dziecko świeconą wodą, bez księdza i dała jej imię Maria. Partyjny pan nie mógł się przyznać, że problem jest. Poradziłam mu jeszcze, żeby naprawił to imię, bo Marysia na to zasługuje.

Druga przygoda to inspekcja z Wydziału Zdrowia. Przyszła dr Rowińska i nie zastała mnie. Prosi o przyniesienie kart zdrowia dzieci. Idę do tego urzędu i widzę, że to moja bliska koleżanka – Irka Dąbkowska, ona też zmieniła nazwisko. Ale robi jakąś dziwną minę, wita mnie urzędowo i prowadzi do innego pokoju. Tam usłyszałam: „ta wredna Falkowa powiedziała mi, że masz opinię dobrego lekarza, ale twój ojciec siedzi i musisz tak tańczyć, jak ci zagrają.”

Profesor Barański powierzał mi często demonstracje przypadków na wykładach dla studentów i na zebraniach Towarzystwa Pediatrycznego. Na nich przesłałam swój chrzest wykładowcy. Zebrania PTP odbywały się bardziej kameralnie, na małej sali wykładowej w starym gmachu przy Litewskiej. Były zawsze po południu i dla nas obowiązkowe. W trzecim roku pracy profesor dał mi zestaw do badań hematokrytu u wybranej grupy niemowląt. Miała to być moja pierwsza praca naukowa. Lecz nadszedł dzień rozstania, bo nie mogłam dostać etatu. Ostatnią rozmowę w gabinecie profesora zapamiętałam dobrze. Pokazał mi pismo z Ministerstwa Zdrowia. Głosiło ono, że nie przyznaje się etatu lek. D. Łozińskiej, tylko lekarzowi XY. „Czy zna pani takiego lekarza?” – Nie. I ja też nie – podsumował szef kliniki. I powiedział, że wierzy, że dam sobie radę z tą pediatrią, bez względu na inne okoliczności. Było smutno. Pierwsza praca naukowa nie doczekała się realizacji.

A życie toczy się dalej. Staszek Staszewski gra na gitarze pod Syrenką na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Jest stara paczka. Koło przyjaciół architektów, polonistów, malarzy. Jest Henryk Sęczykowski. Zośka Stefanowska z mężem Stefanem Treuguttem. Przez nasz dom przewija się niespokojna inteligencja polska.

Z malarzy starszego pokolenia był dla mnie postacią niezwykle Władysław Strzemiński. On bywał u Boguszów. To była indywidualność. Okaleczony przez wojnę miał jedną nogę i chodził o kulach. Miał tylko jedną całą rękę, a malował. Jego malarstwo i grafikę pamiętam jako dzieła. Był kubistyczny obraz budynków Łodzi. Nie podobał się władzy, to nie był realizm socjalistyczny. I wymowne grafiki jedną kreską – „Góry i chmury” i „Deportacje”. To ślady stóp człowieka, od tych dorosłych do coraz mniejszych. To było przejmujące. Jego żoną była już nieżyjąca rzeźbiarka, Katarzyna Kobro. Nie znałam jej twórczości. Pojechaliśmy z Jurkiem do Łodzi obejrzeć to w muzeum. Formy abstrakcyjne bardzo piękne.

Nie ma stypendium i pracy. Bieda aż trzeszczy, ale kupiłam Krzysiovi czarne pończochy. Innych nie produkują. On ma trzy lata.

W okresie pracy w klinice były dwa ważne wydarzenia w moim życiu osobistym. W grudniu 1950 roku urodziła się moja córka Magda, a wkrótce po tym odbył się tajny proces mojego ojca. Wyrok 12 lat, za co – nie wyjaśniono. Była też konfiskata mienia. Do domu przyszła ekipa, która opieczętowała wszystkie meble, zarówno uszkodzoną pociskiem szafę z mieszkania mojej siostry, jak i zbiór starych gratów niewiadomego pochodzenia z ruin stolicy. Przylepili takie naklejki do zeszytów, ale z godłem państwowym. Moje małe dzieci lubiły wchodzić pod stół i je odklejać, bo to było zabronione.

Jest zjazd pediatrów poza Warszawą i cała starszyzna stolicy tam jedzie. Dostaję pracę na kilka dni, ale dobrze płatną. Mam zastąpić dr Kanabusową w Lecznicy Rządowej – w ambulatorium i na oddziale noworodków. Do tego zastępstwo w oddziale noworodków na Solcu za dr Glińską. To znakomity pediatra rodem z Litewskiej. Wzywają mnie tam dodatkowo, bo urodziło się bardzo żółte dziecko. Siostra oddziałowa mówi, że to konflikt Rh. Ona już takie widziała. I pokazuje mi w jakimś płynie, w słoiku, przezroczysty cewnik do transfuzji wymiennej. Zgroza. W szpitalnym laboratorium nie umiem tego zdiagnozować. Zabieram się za to sama, mam przecież przeszkolenie. Potwierdziłam rozpoznanie i przesłałam dziecko ze skrzyżowaną krwią do kliniki na Litewskiej. Niestety zmarło. To był obrzęk uogólniony.

Skierowano mnie do pracy na Pelcowiźnie – to za Bródnem. Ulicą Bródnowską jeździ tramwaj i tylko tam palą się latarnie. Na jej końcu są baraki dla bezdomnych. Tam jest straszna żulia. Na wizyty domowe chodzimy tylko w dzień i blisko. Dalej i po zmroku jeżdżę z szoferem, jeśli jest wolny samochód służbowy. Tu pogotowie jeździ zawsze z milicją.

Ambulatorium jest w jedynej murowanej kamienicy. Ma 3 piętra. Są gabinety lekarskie: internistyczny, pediatryczny i gruźliczy. W suterynie jest kuchnia mleczna, a na pierwszym piętrze kaplica. Tu się odprawia nabożeństwa. Kościoła w tej dzielnicy nie ma. I tu przyjmuje jedyny pediatra – tabliczka na drzwiach: „kierownik przychodni dr XY”. Ta lekarka wyjechała na 3 miesiące do sanatorium. Ale ja dostaję etat, bo ma tu być dwóch pediatrów.

Pracy jest dużo. Dzieci zaniedbane. Dużo ropni na skórze do nacięcia i wszystko – jak w pediatrii. Już po miesiącu mam kontrolę z wydziału zdrowia, ale wyprzedza ją delegacja, czyli naczelną siostra z ośrodka i kierowniczką kuchni mlecznej. Przepraszają mnie i tłumaczą, że ja taka młoda, muszę popełniać błędy. Ja zapisuję niemowlętom mieszankę drugą, a trzeba dawać pierwszą. Tego się już nie stosuje, jest mleko w proszku. Poradziłam konsultację z kuchnią mleczną kliniki.

Miałam kilka awantur z rodzicami dzieci, które nie wyzdrowiały natychmiast po mojej wizycie. Znam 50 % brzydkich słów, którymi mnie obdarzano, ale uczę się tego języka. Moja najlepsza pacjentka – matka, to garbuska z niesłubnym dzieckiem. Ona stosuje się do moich poleceń i to dziecko jest czyste. Ale część rodziców po moich wizytach udaje się do felczera, który króluje w dzielnicy. On ma ogromną praktykę. To ojciec tej kierowniczką przychodni – zapisuje wszystkim penicylinę, a ja nie.

W trzecim miesiącu pracy, gdy zaczynają mnie już akceptować, dostaję pomoc. Jest drugi etat. Koleżanka po dyplomie i stażu z Poznania. Nic nie umie, ale jest uczciwa. Przyznaje się, że przeciągnęła te studia i wyznaczono jej termin zaliczenia wszystkich egzaminów. Porażka groziła dyplomem felczera. Zdawała na wariata i udało się, ale teraz chce się naprawdę nauczyć. Przyjmujemy dzieci razem. Po tygodniu zaczyna jeździć na wizyty co drugi dzień. To zalecenie władz. Następnego dnia mam dodatkowo te wczorajsze. Władza pyta, czy ona może już przyjmować sama. Nie, skąd, specjalizacja przez miesiąc? A zaczynają mnie już akceptować. Przypadki bywają ciężkie, trzeba namawiać na hospitalizację.

Miałam śmieszne zdarzenie. Przyjmowałam dzieci w dużym pokoju, przedzielonym prowizorycznie deskami, ale nie do sufitu. Słysząc tu było rozmowy w poczekalni. I słyszę: „ona jednak coś umie. Mój syn miał sraczkę, a

ona kazała go karmić gotowaną marchwią. Nie daliśmy tego i sraczka nie przechodziła. W końcu powiedziałem - spróbujemy i to pomogło. Ona musi coś umieć”.

Z urlopu ma wrócić ta kierowniczką przychodni, a są tylko dwa etaty. Dowiaduję się, że moja umowa wygasa szybciej, więc to ja mam odejść. I tu był mój pierwszy zawodowy sukces, niestety zakończony fiaskiem. Mieszkańcy Bródna napisali petycję do władz, aby mnie zostawić. Nie pomogła, ale sprawiła mi radość.

Znów jestem bez pracy. Dla urozmaicenia dostaję wezwanie na przesłuchanie do Urzędu Bezpieczeństwa. Pytają, czy znam panią X. – jakieś nazwisko, które nic mi nie mówi. Ale ona zeznała w śledztwie, że znaleziony u niej przedmiot jest moją własnością. W końcu wykrztusił- książka. Jaka? Napisał ją jakiś Hirszfeld. Już wiem, to książka o grupach krwi. Pożyczyłam ją tej aresztowanej sekretarce profesora Michałowicza. Czy chcę ją odzyskać? Tak. To będzie wymagało jeszcze wielu przesłuchań. Mam się namyślić, czy tego chcę. Jest jeszcze inne wyjście - przekazać na cele społeczne. Napisałam, żeby ją przekazać do biblioteki kliniki na Litewskiej. Ale strachu się najadłam.

Wyszła ustawa o specjalizacji lekarzy. Wszyscy w klinice dostali drugi stopień, a ja pierwszy z pediatrii. Ale profesor Barański mnie nie opuścił. Zaliczył to, co było potrzebne do tej jedyńki i otworzył specjalizację na II-gi stopień, wpisując wszystko, co było ponad te wymagania. Podpisał to jako kierownik mojej specjalizacji.

Poszłam do kliniki na Działdowską, bo tam był specjalista krajowy. Zatwierdził moje dane. Spotkałam tę lekarkę- kierownika przychodni z Bródna. Była bardzo oburzona, bo nie dali jej żadnej specjalizacji, Spytałam, dlaczego i jak długo pracowała w szpitalu. Nie pracowała w żadnym szpitalu, ale długo samodzielnie. To wyjaśnia wszystko.

NOWORODKI

1 czerwca 1953 r. Po licznych zastępstwach w poradniach Śródmieścia mam stałą pracę. Jestem znów w szpitalu na Płockiej w Instytucie Gruźlicy. To oddział noworodków w klinice położnictwa SLD – Studium Doskonalenia Lekarzy. Klinikę prowadzi docent Małgorzata Serini-Bulska. Niezwykły człowiek, córka pastora, bardzo inteligentna i wszechstronna. Przed wojną reprezentowała Polskę na olimpiadzie – florecistka.

Mam więc stały etat, ale tylko pięciogodzinny. Mam sama prowadzić oddział noworodków. Tę pracę mogłam dostać, bo nikt się o nią nie starał. Nie było jeszcze słowa NEONATOLOGIA. Ale to nie był przypadek. Poleciała mnie dr Kanabusowa i powiedziała mi, że noworodki to dziedzina, która zaczyna się rozwijać i warto się tym zająć.

Tu są dwa oddziały – czysty i gruźliczy. Prowadziła je dotychczas doc. Szczepańska z kliniki na Działdowskiej. Oba szpitale sąsiadują z sobą, więc mogła to łączyć.

Na położnictwie czystym jest sala na 20 –25 łóżeczek i mała izolatka. Są dwa inkubatory czeskiej produkcji. Oddział gruźliczy ma tylko jeden pokój z ośmioma nieco większymi łózkami. Jak się wkrótce okazało, mieściło się w nich zwykle po dwoje dzieci. Tu większość matek nie karmi i dzieci trzeba izolować, bo matki prątkują. Moje pierwsze osiągnięcie – to powiększenie tego oddziału o dwie sale dla noworodków. Tu wiele dzieci czekało na miejsce w domu dziecka.

Nie było oczywiście dyżurów. Miałam kłopot z telefonem. Wyłączono go po aresztowaniu ojca. Złożyłam podanie z podpisem dyrektora Instytutu, ale nie spełniło to celu. Wróg ludu ma nie mieć telefonu. Obsada oddziału była dziwna. Mało pielęgniarek, przeważają położne, większość z nich nie ma fachowego wykształcenia. To tradycyjne babki-akuszerki, już dość stare.

Praca monotonna, ale powoli zaczynam trochę rozróżniać stan tych zdrowych dzieci. Jeśli matki mają mało pokarmu, to siostry robią podskórne infuzje z soli fizjologicznej. To bolesny zabieg. Zaczynam stosować dożylnie kroplówki, co wzbudza zdziwienie i nieufność. Ale personel jest posłuszny. Jak się to dzieje, że tu zawsze są zdrowe dzieci- rozszyfrowałam to szybko. Pani docent przychodziła tu przed pracą w klinice i po niej. Gdy miała jakieś zastrzeżenia, przenosiła dziecko do kliniki. Ale ja kliniką nie dysponuję, chyba że problem jest poważny.

Po miesiącu pracy dowiaduję się, że zbliża się kurs dla położników. Doc. Bulska mówi mi po prostu, że mam przygotować dwa wykłady:

Zamartwica i Konflikt Rh. O konflikcie mogę coś powiedzieć, bo czytałam ten francuski artykuł i widziałam jedno żółte dziecko. I umiem nawet wykonać badania serologiczne. Ale zamartwica, nic o niej nie wiem. Uzgodniłyśmy, że tym razem powie to położnik, a ja posłucham i obczytam ten temat.

Mój pierwszy wykład przeszedł do historii. Tu kończył się jakiś remont i kurs był w klinice na placu Starynkiewicza. Koledzy powiedzieli mi, że będą tam położnicy z Wołoskiej – to szpital Urzędu Bezpieczeństwa. Oni lubią się czepiać. Gdy doszło do dyskusji, jeden z tych Ubeków powiedział: „pani posłużyła się w wykładzie wsteczną teorią Mendla. To jest niedopuszczalne”. Struchlałam, ale wyrzut adrenaliny musiał być duży. Odpowiedziałam: „Tak, ta teoria jest wsteczna, ale dopóki u nas będzie obowiązywała przy ustalaniu ojcostwa, będę jej używać”. Zwyciężyłam. Dopiero później dowiedziałam się, że ci ginekolodzy ubecy byli zmobilizowani do wojska i skierowani do tego szpitala. Ale poczucie humoru mieli. Bez tego trudno byłoby przetrwać kilkadziesiąt lat komunizmu.

Po kilku miesiącach pracy miałam pierwszą inspekcję z Wydziału Zdrowia. Czepiali się do wszystkiego. I wreszcie padło pytanie: „czy to prawda, że pani myje noworodki spirytusem?” „To jest prawda, ale tylko częściowa, bo chłopcy pływają kraulem w spirytusie, ale dziewczynki kąpię tylko w oślim mleku”. Oddelegowali się szybko.

A ojciec stale siedzi, tylko przenieśli go do Rawicza- daleko. Był w celi, w której zmarł Pużak. I znów przenieśli go do Potulic. To niemiecki obóz koncentracyjny w pobliżu Torunia. Tu trzymają tych przeznaczonych na wymarcie.

Jesienią 1954 roku otrzymałam telegram z Grudziądza. Ojciec jest tam w miejskim szpitalu. Ma zapalenie otrzewnej po perforacji wyrostka robaczkowego. Stan ciężki. Ma roczny urlop. Muszę tam jechać, ale nie mam zastępstwa w szpitalu. Jedyne znajoma lekarka w klinice na Działdowskiej odmówiła mi. Ale profesor Bulska załatwiła zastępstwo - znów doc. Szczepańska. To dobry człowiek, więc nie ma problemu.

A szpital w Grudziądzu oczekiwał mnie. Ojciec przytomny, ale zapalenie otrzewnej to nie drobiazg. Dowiaduję się szczegółów. W Potulicach funkcję felczera pełnił jakiś robotnik i dał ojcu gorące okłady na bolesny brzuch i środki czyszczące. Po trzech dniach, gdy stan więźnia był już bardzo zły, przewieźli go do więziennego szpitala w Grudziądzu. Tam dobrzy chirurdzy też byli więźniami, ale zoperowali go. A władza uznała, że więzień umrze, więc dali roczny urlop.

WZGLĘDNIEM
NACZELNIK WYDZIAŁU D.P. KRAJOWEGO
M. S. P.
1- / Sorkowski, spik.
Warszawa, dnia 1950 r.

AKT OSKARZENIA

przeciwko:

ZACZKOWSKIEMU Leonardowi s. Szczepana osk. z art. 2 Dekretu z dn. 31.VIII.1944 r. /Oskarżony urodzony 24 lutego 1949 r./

.....

Zaczkowskiego Leonarda s. Szczepana i Bronisławy z d. Bronisławki wicz, ur. 5.IX.1892 r. w Warszawie pow. Młocławek, narodowości i obywatelstwa polskiego, buchaltera ze średnim wykształceniem, szeregowca rezerwy, samotnego, bez majątku, odznaczony nie posiada, ze słów nie wesołego, ostatnio zamieszkałego w Warszawie przy ul. Smilnowskiego 7a m.3

.....

w okresie od początku sierpnia 1944 r. do pierwszych dni października 1944 r. na terenie Warszawy idąc na rękę władzy państwa niemieckiego, działał na szkodę osób cywilnych wśród ludności polskiej ze względów politycznych przez to, że jako komendant profesjonalnej organizacji Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa na m.st. Warszawę, sadząc którego było rozpracowywanie i likwidowanie propozycji własnych komórek obserwacyjno-likwidacyjnych i sympatyków organizacji antyfaszystowskich z szczególnością członków Polskiej Organizacji Robotniczej i żołnierzy Armii Ludowej, kierował jego działalnością, przez co przyczynił się do

Akt oskarżenia mojego ojca. Ojciec wycinał z niego bibulki do papierosów, nie okazując szacunku dla tego „dokumentu”.

W miejskim szpitalu okazali mi życzliwość. Dali obiad i przyrzekli, że się postarają. Odwiedził go nawet komendant tego więzienia, jakiś oficer.

A chory zdrowiał powoli. Gdy jego stan znacznie się poprawił załatwiłam mu miejsce w klinice u profesora Manteuffela. Ludzie nam pomogli. Nasz ginekolog, Danka Sławińska, miała godziny ambulatoryjne dla pracowników Ministerstwa Zdrowia. I wystawili takie papiery z pieczęciami, że transport był komfortowy. Przewożyliśmy go z Sabą. Karetka pogotowia do Torunia, tam zarezerwowany przedział w warszawskim pociągu, a na peronie czekała znów karetka i na Płocką. Lekarz dyżurny nie zbierał wywiadu, nie wiem, co nagryzmolił. Tak społeczeństwo opiekowało się groźnym przestępcą.

Leczyli go dalej, rana goiła się i w wigilię Bożego Narodzenia przywiozłam go do domu. Stopniowo zaczął chodzić. Ale ten roczny urlop trwał tylko 12 miesięcy.

Pracowałam jeszcze w tym ambulatorium w Ubezpieczalni, a tam była komisja lekarska. Złożyłam podanie o zbadanie w domu i przedłużenie urlopu. Ojciec w łóżku, obstawiony lekami, a ja czekam na komisję. Przyszło ich dwóch. Internista z Przemienienia Pańskiego i bardzo semicki typ z Wydziału Zdrowia. Od progu zapytał – jaki wyrok i czy kryminalny, czy polityczny. Kazał koledze zbadać pacjenta a mnie do drugiego pokoju i pyta, gdzie pracuję. W Instytucie Gruźlicy. To świetnie. My przedłużymy urlop o 6 miesięcy, bo więcej nie można. Za pół roku kolejna komisja i ma tu być kilometr EKG, jakieś rentgeny i inne badania z tego instytutu. Wynik badania lekarskiego go nie interesował.

Ale potem poszło wszystko łatwo, bo reżim musiał osłabnąć. Przyszła amnestia, a w 57 roku sąd ojca uniewinnił, bo zarzuty były absurdalne. Przytoczę dwa fragmenty:

1. „Kierował profaszystowską organizacją, która smarowała szyny dla hitlerowskich transportów wojennych, zdążających na front przeciwko Związkowi Radzieckiemu.”

2. „Zastępca oskarżonego na placu Teatralnym w Warszawie osobiście zamordował kilku komunistów”.

A mój ojciec był komendantem PKB (Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa – formacji powstańczej policji w okresie Powstania Warszawskiego), nawet nie od początku powstania i tylko do jego zakończenia. Po skasowaniu wyroku dostał rentę i mieszkanie w nowym budynku na Polnej.

Praca w szpitalu trwała dalej i wzbogacałam swoje doświadczenie. Musiałam pokonywać coraz inne trudności. Gdy miałam pierwszy przypadek konfliktu Rh, nie umiałam wykonać transfuzji wymiennej. Poprosiłam

dyżurnego chirurga o przyniesienie kawałka tego cewnika, który mieli u Manteuffela i o pomoc przy zabiegu, bo nigdy nie widziałam cewnikowania naczyń. Odpowiedział: „a ja nigdy nie widziałem noworodka.” Transfuzja się udała. Te pierwsze transfuzje wykonywane były zmienianymi strzykawkami. Dopiero po pewnym czasie, gdy żona dyplomaty USA urodziła u nas wcześniaka z Chorobą Hemolityczną, poprawiło się nasze wyposażenie. To dziecko leżało u nas znacznie dłużej niż matka, ale według ówczesnych przepisów, szpital nie mógł wziąć kosztów leczenia. Noworodek nie figurował w budżecie, bo nic nie kosztował. Dostaliśmy więc dary w postaci drobnego sprzętu, według nieoficjalnego zapotrzebowania. Była w nich strzykawka Browna, pozwalająca na wykonanie transfuzji w układzie zamkniętym.

Neonatologia, jako wyodrębniona dziedzina pediatrii, rozwijała się w Polsce wolno i tworzyły ją rzesze lekarzy zdobywające mozolnie wiedzę i własne doświadczenie.

W tym czasie wiedza o noworodku poszerzała się. W 1955 roku Virginia Abgar przedstawiła ocenę stanu dziecka po urodzeniu, w oparciu o najważniejsze funkcje życiowe. Była to dziesięciopunktowa skala.

Silwerman w 1956 roku podał schemat oceny oddychania, ułatwiający diagnostykę niewydolności oddechowej noworodka.

Zacząto ulepszać metody resuscytacji noworodków. Anestezjolog z naszego szpitala, doktor Justyna, wykonał maskę do oddechu kontrolowanego, z nadciśnieniem przerywanym z niemowlęcej gruszki do lewatywy.

Przy bezdechach u wcześniaków zaczęłam podawać tlen do żołądka, przy pomocy dwóch związanych cewników. Jeden łączono z workiem wypełnionym tlenem, a koniec drugiego umieszczano w naczyniu z wodą, co zapobiegało nadmiernemu wzdęciu przewodu pokarmowego. Metoda ta dawała dobre wyniki i do dziś żyją tak leczone dzieci.

Taką wiedzę przekazywałam przez te lata na kursach położnikom i pediatrom w czasie stażu w ramach specjalizacji. Aparaty typu Ambu pojawiły się w Warszawie dopiero w czasie mojej pracy na Bielanach.

Po kilku latach przyjęto drugiego pediatrę. Była to również lekarka z Litewskiej, polecona przez dr Kanabusową - Elżbieta Woynicz Sianożęcka, ziemianka, czyli też niepewny element.

W dalszym ciągu nie było dyżurów, ale dzięki prywatnej znajomości włączono mi telefon w ciągu jednego dnia i to bez żadnego pisma. On stał na naszym biurku kilka lat bezużytecznie.

Nasze laboratorium nauczyło się już diagnostyki konfliktów serologicznych, ale miałam dziwny przypadek. W sobotę wysłałam krew na badania,

a wyniki otrzymałam w poniedziałek. A w surowicy matki są przeciwciała anty Rh i jest dodatni test Coombsa z krwinkami dziecka. Ale nie ma objawów choroby, nie ma żółtaczki. Wysyłam krew do Instytutu Higieny i telefonują, że potwierdzili rozpoznanie i mam natychmiast robić transfuzję wymienną. Mówię, że chcę poczekać, bo bez żółtaczki chyba nie ma wskazań. Pani profesor mówi, że dodatni bezpośredni test Coombsa, to już jest wskazanie. Grozi prokuratorem, jeśli jej nie posłucham. Dostaję wynik zakończony zdaniem: „konieczna natychmiastowa transfuzja wymienna”. I podpis z pieczętą profesora. A ja, pediatra z pierwszym stopniem specjalizacji, mam inne zdanie. Polecenia nie wykonałam. Wypisałam dziecko do domu bez żółtaczki, mieszkało szczęśliwie też na Płockiej. Chodziłam co tydzień z siostrą oddziałową pobierać krew na morfologię. Po miesiącu była nieznaczna niedokrwistość, która ustąpiła bez przetaczania krwi.

Doc. Bulska zgłosiła ten przypadek do przedstawienia na zebraniu warszawskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego. Ja bym na ten pomysł nie wpadła. Serolodzy z Instytutu Higieny obiecali, że nas zmiążdżą w dyskusji, ale się nie odezwali. Pediatrów na zebraniu nie było, a położnicy nie atakowali. Ordynator położnictwa ze szpitala na Solcu powiedział, że mieli zgon w czasie transfuzji wymiennej, chociaż dziecko było w dobrym stanie przed zabiegiem, więc należy ten problem rozważyć.

Zaczęłam więc w latach 56-57 zbierać dane o przebiegu choroby i wyniki badań laboratoryjnych w konfliktach serologicznych. Największe trudności były z kontrolą rozwoju dzieci. Był to stale Instytut Gruźlicy, w którym nie mogło być ambulatorium dla zdrowych dzieci. Ale pokonałam to, pracowałam jeszcze w poradni D na Solcu.

8 października 1959 r. wygłosiłam to opracowanie na zebraniu P. T. G. w Warszawie. Była to „Analiza wskazań do przetoczenia wymiennego konfliktu serologicznego, na podstawie własnych spostrzeżeń.” Autorzy D. Łozińska i E. Sianożęcka”. Pracę wydrukowano w Polskim Tygodniku Lekarskim 1960 nr 40.

Opracowanie to zostało uznane za najlepszą pracę wygłoszoną w 1959 roku na zebraniach warszawskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego i otrzymałyśmy nagrodę w wysokości 500 złotych. Podpisał to przewodniczący prof. Adam Czyżewicz i sekretarz dr Zbigniew Filar.

Najważniejszy wniosek z tej pracy głosił, że wskazaniem do przetoczenia wymiennego jest szybkie narastanie stężenia bilirubiny w surowicy noworodka. Pozwala to na rozpoczęcie leczenia przed wystąpieniem nasilonej żółtaczki. Objawy kliniczne choroby oraz wyniki badań serolo-

gicznych, w tym bezpośredni test Coombsa, potwierdzają rozpoznanie, ale nie stanowią wskazań do tego zabiegu. Takie postępowanie pozwala na bezpieczne zaniechanie TW w lekkich przypadkach choroby.

POLSKIE TOWARZYSTWO
GINEKOLOGICZNE
Oddział w Warszawie
ul. Starynkiewicza 3

Warszawa, 17 marca 1960 roku

L.dz. 30/1960

Szanowna Pani

Dr Danuta Łozińska

Warszawa, ul. Spasowskiego 7 a

Zarząd Warszawskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego powiadamia Panią Doktor, że praca Jej, wykonana wspólnie z dr Elżbietą Sianożęcką, pt. "Analiza wskazań do transfuzji wymiennej w konfliktach serologicznych na podstawie materiału własnego", przedstawiona na naszych posiedzeniach naukowych w roku 1959, została wyróżniona przez Komisję Ocen prac naukowych i nagrodzona nagrodą pieniężną w kwocie 500,00 złp.

W związku z powyższym Zarząd Oddziału składa Pani Doktor najserdeczniejsze gratulacje i życzy dalszych owocnych wyników na polu pracy naukowej.

Zbigniew Filar
Sekretarz

/dr Zbigniew Filar/

Prof. dr Adam Czyżewicz
Prezes

/prof. dr nauk med. A. Czyżewicz/

Nagroda za pracę naukową przyznana przez Polskie Towarzystwo Ginekologiczne.

Cenię tę pracę najbardziej ze wszystkich moich publikacji. Oparta ona była na logicznym myśleniu, z uwzględnieniem ryzyka i sprzeciwiała się obowiązującym w całym świecie wskazaniom do przetaczania wymiennego,

jakim był dodatni bezpośredni test Coombsa. Oczywiście panujące poglądy musiały się zmieniać w miarę napływu doświadczenia, jak wszystko w medycynie. W podręczniku Neonatologii, pod redakcją Jeżykowskiej Kuleszyny i Ireny Twarowskiej, podano podobne do moich wskazania amerykańskie, ogłoszone pół roku przed moją publikacją. Ale ja się na nich nie oparłam. W ogłoszonej mojej pracy były już obserwacje rozwoju dzieci w wieku od sześciu miesięcy do dwóch i pół roku. Na mojej pracy była podana data wygłoszenia referatu. To mi zaleciła prof. Bulska i to wskazuje na oryginalność tego opracowania. Nagroda ta cieszy mnie do dziś, a pismo z podpisem prof. Czyżewicza przechowuję jako cenną pamiątkę.

Muszę wspomnieć o pomocy mojego męża Jurka przy tym opracowaniu. On nie uczestniczył w rozważaniach medycznych, bo był architektem. Ale dla tej pracy wykonał dwa wykresy, które pokazywały wyraźnie różnice w natężeniu choroby, zależne od szybkości zwiększania się stężenia bilirubiny przed zabiegiem. To były dwie odrębne wiązki, jedna o tendencji pionowej, a druga bardziej płaska. To graficzne ujęcie było przekonujące.

Mój mąż pomagał mi w całym okresie pracy lekarskiej przy graficznym przedstawianiu wyników badań. To było jeszcze przed rozwojem ery komputerowej. Nie mogę o tym zapomnieć. W licznych publikacjach i podręcznikach są obok moich tekstów jego ryciny.

Mój mąż pracował przez pewien czas, na przełomie lat 50-60, w redakcji Przeglądu Kulturalnego, prowadzonego przez Jerzego Andrzejewskiego. Ale dział architektury prowadził partyjny profesor z Politechniki. Nazwiska nie pamiętam, choć wstawił się projektem zburzenia Zamku Królewskiego i postawienia w tym miejscu Domu Partii. Pod takim kierownictwem trudno było zamieścić dobry artykuł. Jurek robił to z zaskoczenia, gdy zdarzyło się niespodziewane wolne miejsce, tak zza węgła, ukradkiem.

Był bal sylwestrowy w Ministerstwie Kultury. To były czasy, gdy nie obowiązywały jeszcze stroje balowe, ale jakaś elegancja już istniała. Schodzimy po pałacowych schodach na salę balową i zaskoczył nas dziwny widok. Na półpiętrze kanapka, a na niej śpiąca dziewczyna, troskliwie przykryta kożuchem. Widać głowę miała zbyt słabą do tej kultury.

To był okres, gdy modny był amerykański taniec rock and roll, z podrzucaniem w tych rytmach tancerki. Jurek lubił tak tańczyć ze mną. A tu ostra krytyka. To pani Brandysowa, żona jednego z tych sławnych pisarzy Brandysów. Mówi: „po co ty tańczysz z własną żoną, tańcz ze mną i trzymaj się

mnie”. Ona ma 100 kg wagi. Ale robi nam wykład, jak swoich chłopców urządziła. Ci bracia Brandysowie obaj piszą dobrze, choć waga tej literatury jest różna. No i którego z nich lepiej urządziła, bo jeden został w kraju, a drugi wybrał Paryż. Ja się w tym gubię, ale już nam objaśniono, że z taką żoną jak ja, to daleko się nie zajedzie. Dla mnie też są rady – mam się rozejrzeć za chłopakami „tylko nie patrz na tych dwóch, bo to pedały”. Język w tym przybytku kultury dość swobodny. Ale zabawa była huczna. A żony pracujące w ministerstwach się przydawały.



Na nartach, na grani Rakonia w Tatrach. Od lewej: ja, Bogusław, Kicia, Przypadkowy turysta i Jurek.

I znów jedziemy w góry w podobnym starym składzie. Dzieci jeszcze małe, zostają z babcią. Jest z nami nowa żona Bogusława – Kicia. To specyficzna intelektualistka od rozwiązywania krzyżówek, przy dużej pomocy reszty zespołu. Jesteśmy w nowym schronisku na Hali Chochołowskiej. To turystyczny komfort w tych czasach. Tu są góry bez kolejek i wyciągów.

Wysokość trzeba pokonać na własnych nogach. Bogusław znów nas prowadzi. Wejście przy schronisku przez Przełęcz Bobrowiecką. Można nieść narty lub na nich wchodzić. Ale rozległy widok z grani na całe pasmo gór wynagradza wysiłek. I tę granią na nartach stale pod górę, ale już łatwiej, aż pod Wołowiec. To najwyższa góra w tym rejonie: 2064 m. Zjazd ze szczytu byłby dla nas szaleństwem. Mamy zjechać z Rakonia. Ta wysokość robi wrażenie. Widok podobny jak z Kasprowego w stronę Hali Gąsienicowej. Brak tylko turystów i nie ma przetartych szlaków zjazdu.

Jestem dość przerażona. Bogusław pojedzie pierwszy i uwzględni nasze umiejętności. Jedzie i widać, jak pęd szarpie mu nogawki spodni. Naradzam się z Kicią. My tak nie zjedziemy. Musimy zrobić większy zakos. Dobrały się dwie głupie. Obie własną drogą wjechałyśmy w cień pod Wołowcem. To istny lód, tu słońce nigdy nie dociera. O manewrowaniu nartami nie ma mowy. Lecimy na złamanie karku i lądujemy w kosówce. Leżę z twarzą między nartami, złożona jak scyzoryk, żyję. I słyszę dialog Bogusława z żoną: „Kicia, co z tobą?” Ona: „myśleć nie mogę”. On tryumfalnie: „nie szkodzi”. A do schroniska daleko, ale wróciłyśmy o własnych siłach.

Z okresem pracy na Płockiej wiąże się początek mojej praktyki prywatnej. Było to rzadko spotykane zajęcie wśród młodych lekarzy. Oboje Bulscy mieli dużą praktykę prywatną, a część ich pacjentów stanowili pracownicy zachodnich ambasad. Jedyne miejscem, gdzie odbywały się prywatne porody, była lecznica dr Szczodrowskiej, na ulicy Goszczyńskiego, po drugiej stronie szpitala Elżbietanek. Dr Szczodrowska była już wtedy starym lekarzem i nie operowała. Jedynymi lekarzami, którzy przyjmowali tam porody lub wykonywali operacje ginekologiczne, byli Bulscy. Pediatry tam nie było. Nikt nie był na etacie, płacili pacjenci. Ale czasem pediatra był potrzebny. Bulska prosiła mnie o opiekę nad różnymi dziećmi swoich pacjentek. Dlatego musiałam zarejestrować praktykę w domu. To było wtedy dozwolone, nikt nie sprawdzał warunków takiego gabinetu, aby tylko płacić podatki. Gdy zaczęłam bywać w tej lecznicy, dr Szczodrowska pytała matki, czy chcą pediatrycznego badania dziecka i dzwoniła do mnie. Za jedną wizytę dostawałam ¼ miesięcznej pasji, ale tych wizyt było mało.

Raz było nagłe wezwanie, bo salowa opiekująca się dziećmi zauważyła wczesną żółtaczkę. Wyglądało to jak konflikt serologiczny. Zrobiłam badania w Instytucie Hematologii, część w szpitalu Elżbietanek. Tam też przygotowano krew do transfuzji wymiennej. Ale były dodatkowe problemy. U nas był remont i nie mogłam przyjąć dziecka na swój oddział, a lekarz ambasady angielskiej nie zgadzał się na transfuzję, bo nie było anemii. Doc. Janina Kozłowska

załatwiła tę zgodę w ambasadzie. Ale był i trzeci problem. Zauważyłam u tego dziecka wadliwą budowę oczu. Źrenice nie były okrągłe, a gwiazdkowate. Pokazałam je ojcu dziecka. Mogło to zapowiadać obecność innych wad, a interpretacja tych zaburzeń mogła nasuwać myśl o spóźnionej transfuzji wymiennej. Zrobiłam tę transfuzję w asyście pielęgniarki z mojego oddziału i zorganizowałam opiekę pielęgniarską nad dzieckiem. Były jeszcze transfuzje uzupełniające. To dziecko było pod moją opieką przez 2 lata. Rozwijało się z niewielkim opóźnieniem jako niemowlę było bardzo wiotkie i miało mniej siły. Ale było inteligentne, jak nie mogło postawić zabawki na wysoką półkę swojej szafki, to stawiało po kolei na pierwszą, drugą i wyżej. Rodzice zawieźli chłopca do specjalistycznej kliniki w Nowym Yorku. Ale poza potwierdzeniem opóźnienia rozwoju, rozpoznania nie ustalono.

Musiałam wystawić rachunki dla ambasady za opiekę lekarską i pielęgniarską. Profesor Bulska i ja podałyśmy dla siebie małe sumy. Rodzice przyszli, aby nam dopłacić według cen przyjętych w Anglii. Wyjechali do Indii.

Minęło chyba 10 lat, gdy odwiedził mnie niespodziewanie w domu jakiś elegancki pan. Nie poznałam go. Gdy powiedział nazwisko, już wiedziałam. Ten Anglik wracał do swego kraju i był w Warszawie bez rodziny. Ale przyszedł, aby opowiedzieć mi o chłopcu. Pokazał jego zdjęcie na rowerze, a więc fizycznie jest dobrze. Uczy się w szkole z małym opóźnieniem, czyta, pisze i jest bardzo muzykalny. Wzruszyła mnie ta wizyta. Pamiętać po tylu latach o mojej opiece i przyjściu bez żadnej własnej korzyści – to świadczyło o dużej kulturze tych ludzi i dobrej ocenie naszego działania.

Miałam również jedną przygodę polityczną. Profesor Bulska powiedziała mi w pracy, że musimy jechać do domu dyplomaty jugosłowiańskiego. Jego żona, lekarka, urodziła wcześniaka i trzeba go obejrzeć. To oczywiście gratis. Ale ja mam inny problem. Była zima i miałam na nogach takie okropne wojłokowe buty. Na skórzane nie zarabiałam. Jak iść do eleganckiego domu w takich buciorach. Ona machnęła ręką. Pojedziemy samochodem, buty będą suche, a podadzą pewno kawę i buty schowam pod stół. I tak się stało. Dziecko było ładne, taki dwukilowy wcześniak. I kawę też dali, tylko ten stolik miał blat z grubego, przezroczystego szkła. Byłam tam jeszcze raz. A tu bomba. Przez radio i w gazetach donoszą, że jugosłowiański attaché wojskowy - ten właśnie - jest szpiegiem. Wydalono go. A w domu zastałam koszyk wspaniałych trunków od szpiega. I był jeszcze jeden dobry skutek tej afery. Jedna z bocznic Nowego Świata - ulica Socjalistycznej Młodzieży Jugosłowiańskiej, odzyskała swoją skromną, przedwojenną nazwę.

Tak więc cudzoziemcy płacili, a wśród znajomych miałam ogromną darmową praktykę prywatną. Przytoczę przykład. Jestem w szpitalu na Płockiej i przychodzi Zbyszek Dłubak, żeby mnie zawieźć do siebie, bo jego żona wróciła ze szpitala z dzieckiem. I co zastaję? W jednym pokoju pierwsza żona Zbyszka z kilkuletnim jego synem i drugim mężem. W drugim pokoju druga żona Zbyszka z całkiem nową córeczką. A w kuchni Zbyszek, pozbywszy się mojego towarzystwa, kontynuuje dyskusję z historykiem sztuki, Czartoryską.

To taki mały przerywnik w miejskiej podróży, moja rodzina może poczekać. A to dziecko nie wymagało badania.

Za zaszczyt uważałam zawsze leczenie lekarskich dzieci. Muszę przyznać, że ja i moja rodzina również korzystaliśmy z pomocy kolegów. Udzielałyśmy sobie wzajemnie pomocy z Różą Walcową. Ale moi dawni pacjenci są już dorośli i nikogo już nie leczę. A Róża opiekuje się stale starszami, ze mną włącznie.



Ze szpitalem na Płockiej łączyły się również moje tragiczne wspomnienia. W 1959 r. zmarła moja matka. Zmarła w naszym oddziale ginekologicznym z powodu przerzutów raka z przewodu pokarmowego. Wykluczono go pół roku wcześniej. Diagnostyka lekarska nie była bezbłędna. A mój schorowany ojciec przeżył żonę o 7 lat.

*Mój ojciec, Leonard Żaczkowski.
Zdjęcie z 1963 roku.*

W ostatnich latach pracy na Płockiej, korzystając z luksusu dwuosobowej obsady, zaczęłyśmy na zmianę z Elżbietą Sianożęcką chodzić do innych klinik. Uzupełniałyśmy staże specjalizacyjne, ja na dwójkę, ona na

jedynkę z pediatrii. Byłam w klinice na Litewskiej i na Działdowskiej oraz w klinice Chorób Zakaźnych i na ortopedii u dr Lotha.

Nadchodził czas przeprowadzki i podziału kliniki położniczej. Położnictwo czyste przechodziło na Bielany z profesorem Bulską i z docentem Dipontem, a tu zostawała gruźlica. Ja miałam przejść, a Elżbieta zostać. Potrzebna do tego była formalnie zaliczona odpowiednia specjalizacja. Skierowanie na egzamin wydawał Wydział Zdrowia.

Poszłam więc do dr Falkowej i dowiedziałam się, że nie może dopuścić mnie do egzaminu, bo nie odbyłam stażu na noworodkach. Miałam podpisany przez prof. Bulską dokument stwierdzający, że prowadziłam w jej klinice oddział noworodków przez 7 lat. Ale to się nie liczy. Nie, to chyba żart. Inne lekarki odrabiały u mnie staże i wydział zdrowia to akceptował. Tak, dla innych, ale nie - dla mnie. Nikt nie specjalizuje się u siebie. Uparłam się, nie wyjdę z tego urzędu bez skierowania na egzamin. Mój kierownik specjalizacji zaliczył to. I padło pytanie – kto jest tym kierownikiem? Profesor Rajmund Barański – Minister Zdrowia. Tym ją pokonałam. Egzamin zdałam bez trudu, był łatwy.

Ale jest jeszcze problem. Tu zostają pracownicy Instytutu Gruźlicy, a do nowego szpitala przechodzą lekarze z etatami Studium Doskonalenia Lekarzy. Ja do tej grupy nie należę. Prof. Bulska ustaliła ze mną sposób postępowania – udawać, że przechodzę automatycznie. To była nasza tajemnica. Gdy ją ktoś pytał, co będzie z noworodkami – odpowiadała: tam będzie Łozińska, ma etat naukowy. Ona wiedziała, że konkursu na ordynatora nie wygram, że wpakują jej jakiegoś partyjniaka. A my miałyśmy współpracę, która dawała dobre wyniki.

Z tę tajemniczą rozgrywką przetrwałyśmy długo. Miesiąc przed otwarciem szpitala Bielańskiego, moja szefowa umówiła nas na roboczą rozmowę w Wydziale Zdrowia. Dr Falkowa, uśmiechnięta obłudnie, pyta mnie o sprzęt i o personel lekarski. Spis potrzebnego sprzętu złożyłam już w tym wydziale, mam upatrzonych niektórych lekarzy, ale nie mogę ich angażować. Bulska mówi, że najwyższy czas, aby Wydział Zdrowia wręczył mi nominację na ordynatora. I tu wybuchła bomba. Władza nie sprawdziła, jaki mam etat, a na ogłoszenie konkursu jest już za późno. Przegapiła to i to jest kompromitacja. Napisała nominację, a my milczałyśmy i nie było problemu.

Szpital Bielański to nowy szpital. Duży oddział położniczy składa się czterech zespołów sal dla 50 matek i dzieci. Sale noworodków, przeszklone od korytarza, pozwalają obserwować ich pielęgnację. Matki mają wejścia do noworodków z obu sal.

Niestety słaba znajomość problemów neonatologii u naszych organizatorów służby zdrowia spowodowała nieodwracalne straty. Zaprzepaszczone możliwości utworzenia oddziału patologii i intensywnej terapii noworodków, co było w projekcie. Ma tam być tylko zwykły oddział niemowlęcy. Dlatego zabrakło na położnictwie czystym instalacji dla tlenu. Stawiamy więc butle z tlenem w ściennej szafie przy pierwszej sali dzieci i zakładamy tam dwa stanowiska z tlenem.

Ratuje nas jednak położnictwo septyczne. Jest tu 15 łóżek dla noworodków, częściowo lub całkowicie od siebie oddzielonych, i tlen z centralnej tlenowni. Tu można przyjąć dziecko ponownie i można tu leczyć.

W pierwszych dniach stycznia 1961 roku odbyło się otwarcie Kliniki Położnictwa CMKP. Na uroczystości były władze uczelni i miasta. Dr Falkowa pyta mnie, kogo bym chciała widzieć jako ordynatora sąsiadującego z nami oddziału pediatrii. Wymienia trzy nazwiska. Ale ja odpowiadam inaczej: „Myślę, że egzamin konkursowy wygra dr X., ale ordynatorem zostanie dr Karłowiczowa”. I tak się stało.

A ja po cichu, bez konkursu, jestem ordynatorem najbardziej nowoczesnego oddziału noworodków w stolicy. Zawdzięczam to profesor Bulskiej.

Gdy piszę o konkursach, przypomina mi się jeszcze jeden, związany z moimi zawodowymi losami. To był jedyny konkurs na bielański oddział noworodków. Był taki krótki okres, w którym obowiązywały konkursy na asystentów. To było już po kilku latach naszej działalności. Zgłosiły się dwie lekarki, obie z zagranicznym życiorysem. Jedna, z polskim dyplomem po dwóch latach pracy w angielskim oddziale noworodków. Druga, z dyplomem z Moskwy i wieloletnią już pracą w kraju. Ale ona zaczęła studia w Krakowie i po roku posłano ją na stypendium do Moskwy. Chyba wiedzieli, co robią. Dla ułatwienia decyzji zadałam dwa jednakowe pytania po kolei każdej z nich. W komisji tylko ja byłam pediatrą, reszta to przedstawiciele dyrekcji i partii. Ta lekarka z Londynu mówiła dobrym polskim językiem i znała problemy, o których mówiła. Była dobrze ubrana, uczesana i sympatyczna. A ta z Moskwy mówiła bez sensu, złą polszczyzną. Była rozczochrana i jakaś dziwna.

Wybór dla wszystkich był oczywisty.

Ale dla porządku personalny odczytał ich życiorysy zawodowe. Ta z Moskwy pracowała w bardzo wielu miejscach i kierunkach. Wszyscy wystawiali jej dobre oceny, więc dlaczego musi tak często zmieniać pracę? Zaczęła pracę w klinice na Litewskiej i raptem przypomniałam to sobie, nawet jej nazwisko. To ona dostała etat, o który Barański prosił ministerstwo dla mnie. Szybko się jej pozbył, bo to był głośny skandal. W czasie jej dyżuru jakiś oficer

przywiózł karetką pogotowia swoje dziecko. To było niemowlę z kokluszem. I ona odesłała je do szpitala zakaźnego, bez zbadania. Zmarło w tej karetce. Fortuna kołem się toczy. Ona była tylko przypadkową przyczyną przerwania mojej specjalizacji. I myślę, że ona bardziej niż ja stała się ofiarą ustroju, bo trzeba najpierw skończyć podstawówkę, a później uniwersytet.

A ja po raz pierwszy mam mały ordynatorski gabinet, ale bez sekretarki. O wszystko trzeba będzie walczyć. Sprzęt w oddziale jest bardzo skromny. Z Płockiej zabrałam tylko strzykawkę Browna, bo ona nie była własnością szpitala, dostałam ją w prezencie. A neonatologia rozwijała się szybko. Doganianie Zachodu w zdobywaniu wiedzy i jej stosowaniu stanowiło trudny cel.

Po kilku latach udało się zorganizować poradnię D dla dzieci wymagających dalszej obserwacji. I tyle uwag ogólnych. Nasza praca składała się w dalszym ciągu z czynności lekarskich i z dydaktyki. Rozwijala się też szeroko zakrojona praca naukowa. Nie można tych elementów oddzielić i opisać chronologicznie. A w szpitalu Bielańskim pracowałam przez 20 lat. Następne rozdziały dotyczyć będą tego okresu i tego szpitala.

ZMIANY POLITYCZNE, NASZE ŻYCIE I PRACA

Powolne zmiany polityczne i społeczne wpływały na nasze życie. Opisywany już klub Młodych Artystów i Naukowców zakończył działalność. Miasto odbudowywało się i zmieniały się nazwy i położenie ulic. Właśnie ten wspomniany klub był na placu o stale zmieniającej się nazwie: plac Saski, Piłsudskiego, Hitlera i Zwycięstwa, pomimo przegranej wojny.

W 1956 roku powstała galeria i klub Krzywe Koło na Starym Mieście. Malarstwo prowadził Bogusz, architekturę mój mąż. I tam miał prelekcję o sytuacji mieszkaniowej w kraju, nie bardzo pochlebną dla władz, więc wyłączono światło. Dokończył po ciemku i nikt nie wyszedł. Maciej Krasieński mówił, że te baraki dla bezdomnych, które przedstawił Jurek, były pod wiślaną skarpią takie same przed wojną, gdy on mieszkał w Królikarni. One tam były zawsze.

Marian Bogusz był przesłuchiwany w UB. Pokazali mu album z fotografiami, pytając czy zna tych ludzi. „Tak, to są członkowie klubu Krzywe Koło. A ta brakująca fotografia była na pewno moja.” Klub został zamknięty w 1965 roku.

Jak już wspomniałam, zmiany nazw przedwojennych ulic były częste, co fałszowało historię miasta. Dla mnie bardzo ważny był plac Napoleona. Przez niego chodziłam do szkoły. Tu był grób mojej przełożonej gimnazjum, Haliny Gepnerówny, w 39-tym roku. Z tym placem wiążą się wspomnienia z powstania.

Na placu Napoleona jest gmach największego banku, projektowany przez profesora Bohdana Pniewskiego. Autor zmarł przed zakończeniem budowy. Dlatego pod koniec lat siedemdziesiątych ogłoszono konkurs na projekt frontowej elewacji. Mój mąż, wraz asystentem ASP (Akademia Sztuk Pięknych), ten konkurs wygrali. Ta frontowa ściana ma już znamiona nowoczesnej architektury. A godło państwa z napisem NBP przy głównym wejściu przypomina mi zawsze męża.

Nie pamiętam, w którym to było roku, gdy komuniści pozornie łagodzili władzę, zmieniono nazwę tego centralnego placu i powstał plac Powstańców Warszawy. I powstał tam pomnik – grobowiec Batalionu Kiliński. To było zgrupowanie, które walczyło w rejonie naszego plutonu. Toteż na uroczystość odsłonięcia poszłyśmy całą grupą – my Radwanki. To żeńskie zgrupowanie irytowało władzę, widać przeżyło nas zbyt wiele. Milicjant kazał nam się rozejść. Powiedział, że trzeba zrobić miejsce, bo tędy będzie

przechodził Karkoszka – prezydent Warszawy. A na to Zosia: „proszę pana, nas drób nie interesuje”. Tym zwyciężyłyśmy komunistyczną władzę.

A praca lekarska trwała stale. Kursy dla położników były jak dawniej, rozszerzała się tylko ich tematyka. Ale mają być również kursy dla pediatrów. Otrzymuję dodatkowo pół etatu starszego wykładowcy w SDL (Studium Doskonalenia Lekarzy) w klinice Pediatrii profesora Edwarda Wilkoszewskiego. Lekarze specjalizujący się w tej klinice będą przychodzić również do mnie na wykłady i demonstracje przypadków. Mogę to robić, bo w neonatologii jestem od nich mądrzejsza. Ale profesor zaprojektował również kursy dla ordynatorów oddziałów noworodkowych. To mnie zaskoczyło. Czym oni różnią się ode mnie, mogą być nawet lepsi... Mam więc nowy pomysł. Ustaliłam najważniejsze tematy i zażądałam listy kursantów z wyprzedzeniem. Rozdzieliłam i przesłałam tematy do wstępnego referowania i oczywiście przygotowałam wersję własną. Pierwszy tydzień prowadziłam seminaryjnie i chyba się udało. Następnie wysłałam całą grupę z jednym swoim asystentem do różnych szpitali. Było to oczywiście uzgodnione z ordynatorami. Ja poszłam w piątym dniu na Czerniakowską, gdzie oddział prowadziła dr Krystyna Buchar, znana mi z kliniki na Litewskiej. Relacje moich asystentek były dość krytyczne, ale ja przeżyłam szok, to była zupełna klapa, chaotyczne mówienie o niczym. Dowiedzieliśmy się tylko, że jak była w Szwecji, to tam profesor przychodził do noworodków dwa razy dziennie. To był główny nurt jej wykładu. Ona nie miała wprawy w wygłaszaniu jasno sformułowanych myśli.

W ostatnim dniu w klinice pediatrii miało być podsumowanie kursu. Profesor zagaił dyskusję, pytał jak oceniają ten rodzaj szkolenia i co zaplanować na przyszłość. Odpowiedział starosta kursu, jedyny mężczyzna. Zaczął przyjaźnie, że atmosfera dobra, że witałam ich promiennym uśmiechem itp. Podziwiali moją wiedzę. Ale gdy poszli na inne oddziały, to okazało się, że ich zawiodłam, nie podzielano tam moich poglądów, a więc uczyłam ich źle.

Zapadła cisza. Profesor ma zafrasowaną minę, ja się chyba roześmiałam. A potem wszystkie panie chwaliły kurs. Ja powiedziałam tylko, że wydawało mi się, że taki przegląd różnych oddziałów może być ciekawy, ale trzeba to będzie rozważyć.

Ten kurs był przed jakimiś świętami i dostałam życzenia świąteczne od wszystkich, z wyjątkiem starosty. Zrobiłam prywatny wywiad w Olsztynie i dowiedziałam się, że pan doktor ma nominację na ordynatora, ale szpital jest w remoncie, więc jeszcze pracy nie zaczął. Ale nauczkę dostałam. Już nigdy nie powtórzyłam tak zorganizowanego kursu.

Ale zacieśniała się moja współpraca z kliniką pediatrii. Ich kursanci przychodzili do mnie w dalszym ciągu, a ja uczestniczyłam w końcowym kolokwium. Był zwykle jeden temat piśmienny, a potem egzamin ustny. Był też formularz ocen, stanowiący promocję do specjalizacji. Na jednym z kursów była moja dawna szefowa z przychodni na Bródnie. Prowadziła już tylko poradnię przeciwgruźliczą dla dzieci. Tematem piśmiennym była chyba gospodarka wodno elektrolitowa. Jej referatu nie dało się czytać, ale czy można żądać trudnych referatów od lekarza z wąską specjalnością? Zadałam jej tylko pytanie z pulmonologii. Profesor podsumował i ją i mnie. Powiedział, że jak widzę słabo przygotowanego lekarza, to stawiam tylko łatwe i praktyczne pytania. I była dyskusja. Zrezygnowano z tych piśmiennych tematów. W praktyce lekarskiej przede wszystkim nie należy robić podstawowych błędów.

W 1972 roku Studium Doskonalenia Lekarzy Akademii Medycznej zostało zamknięte. Powstała samodzielna placówka naukowa o statucie akademickim – Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego. CMKP. Zlikwidowano wszystkie podstawowe kliniki, w tym położnictwo i pediatrię. Zostały zawieszony kursy z tych dziedzin. Ważne były tylko specjalności, których w Akademii Medycznej nie było. Część uratowała się zmianą nazwy. Zamiast interny np. kardiologia, endokrynologia. Zamiast chirurgii chirurgia plastyczna lub urazowa. Specjalizacji z neonatologii jeszcze nie było.

PRACA NAUKOWA I POSTĘP MEDYCyny

Praca badawcza wiązała się z praktyczną medycyną usługową. Jej tematyka została jakby podpowiedziana przez profesor Burską, która zleciła mi pierwsze wykłady. Ja wcześniej zetknęłam się z niewydolnością oddechową wcześniaków niż z patologiczną żółtaczką. Z okresu studiów i ze studenckiej praktyki w klinice położnictwa, pamiętałam te przestarzałe metody. Położnik trzymał dziecko za nogi, głową w dół, aby wypłynęły wody płodowe. A jak nie oddychało, to dawał mu klapsa w pupę lub huśtał, stale w takiej pozycji. To musiało się zmienić. Te kilka zdań, powiedzianych już o postępach w cuceniu noworodków i ocenie stopnia niewydolności oddechowej, demonstrowało rozwój powstającej Neonatologii. Toteż planowa, zespołowa praca musiała zająć się procesem oddychania. Matka i dziecko to była wspólna jakość, wzajemna zależność. Rozwiązywać ich problemy musieli razem położnik i pediatra.

Pierwsze prace skupiały się na dwóch problemach:

- 1) zamartwica i zaburzenia oddychania
- 2) hematologia, a zwłaszcza konflikt serologiczny. Erytoblastoza płodowa była wtedy częstym powikłaniem. No i była już ta pierwsza udana praca.

Nie będę przytaczać wszystkich moich opracowań i publikacji, bo nie jest to moim celem. Chcę pokazać klimat tamtych czasów, wspólne wysiłki i przeszkody. Bez zaangażowania życzliwych i mądrych ludzi nie miałabym żadnych osiągnięć.

W szpitalu Bielańskim była katedra diagnostyki profesora Krawczyńskiego (SDL), co stanowiło zaplecze do badań naukowych. Ale wyposażenie tej placówki miało braki. Nie można było wykonać badań gazometrycznych, będących podstawą oceny najważniejszych funkcji życiowych. Pierwszy, dostępny nam aparat, był produkcji polskiej. Był cały ze szkła. Można w nim było badać płyn mający kilka mililitrów objętości. Nie nadawał się do badania krwi noworodków. Badaną ciecz wprowadzało się do pojemnika pod warstwą rtęci, co zabezpieczało przed dostępem powietrza. Dr Irena Herbst, położnik, badała w nim krew ciężarnych i płyn owodniowy. Pozwalało to na ocenę zagrożenia płodu w czasie porodu. Gdy zakupiono aparat Astrupa, można już było stosować mikrometody, czyli oznaczenia z małej objętości krwi z rurki włosowatej obleczonej heparyną.

Pierwsze prace trzech zespołów: położnictwa, pediatrii i laboratorium - to referat wygłoszony na sympozjum w Pradze w 1966 roku: „Anaerobic Met-

habolism In Asphyxia”, wydrukowany w Excerpta Media Monograph, i „Metabolizm glukozy w porodzie fizjologicznym”, ogłoszony w Ginekologii Polskiej w 1967 roku. Trzecią pracę z tej tematyki, wykonaną z dr Herbstową, wygłosiłam na Białostockim Sympozjum Pediatrów i Położników w Augustowie też w 1967 roku. Była to „Kwasica płodu, a stan noworodka urodzonego w zamartwicy.” Takie były początki planowanych badań naukowych.

W okresie tych zmagania z aparaturą diagnostyczną, próbowałam wykonać pracę doktorską na podstawie spektrofotometrycznego oznaczania hemoglobiny utlenowanej i zredukowanej. Było to trudne zadanie, gdyż należało próbki krwi noworodków w rurkach włosowatych zamrażać do -30 stopni, a potem je rozcierać w celu wywołania hemolizy. One często w tej fazie pękały. Odmroziłam sobie palce, a praca posuwała się zbyt wolno. Oznajmiłam więc profesor Bulskiej, że chcę zmienić tezę mojego doktoratu. Na jaką? Ta nowa brzmi: „najwyższy czas, aby zrobić doktorat”. Usłyszałam: „zaczyna pani rozumować właściwie”.

W 1968 roku obroniłam doktorat. Temat: Losy Noworodków z Wadami Wrodzonymi.

W tym okresie działało już nasze ambulatorium i prowadziłyśmy poradnię D dla dzieci urodzonych z różną patologią. Moim promotorem był prof. Wilkoszewski, a recenzentami prof. Bulska i prof. Paradowska –chirurg z Instytutu Matki i Dziecka.

Chciałam nie tylko sprawdzić rozwój tych dzieci, ale również szukać u nich kolejnych wad w dalszym okresie życia. Prof. Wilkoszewski, po przeczytaniu wstępnej wersji pracy, nie zaakceptował jej. Uważał, że niepotrzebnie zajmuję się drobiazgami, jak brak jednego palca, czy skórny wyrostek przed uchem. To nie ma znaczenia. Trzeba skupić się na ciężkich wadach. A ja wiedziałam, że w tym okresie rozwoju medycyny, większość dzieci z takimi wadami umiera w pierwszych dniach lub miesiącach życia. Ich los był bardzo krótki.

Jak przekonać profesora. Poszłyśmy do niego razem. Dyskusja była burzliwa. I w końcu moja niezastąpiona opiekunka powiedziała: „A ja tę pracę rozumiem. Tadeusz (jej mąż) miał takiego przyjaciela, jeszcze ze szkoły, który też skończył medycynę. Był inteligentny, ale wszystko mu nie wychodziło. Ja go spotkałam na plaży i zobaczyłam, że ma zrośnięte palce u nóg. Wtedy zrozumiałam, że coś z nim nie tak. Ja rozumiem koncepcję tej pracy.” Zgodził się.

Było to opracowanie wykonane na materiale 6300 żywo urodzonych dzieci i 139 martwych płodach, z masą ciała powyżej 600 g. Wady wrodzone stwierdzono u 179 żywych noworodków i 51 martwych płodów.

Wnioski:

1. Wady wrodzone, wcześniactwo i dystrofia wewnątrzmaciczna mogą mieć wspólną patogenezę. Świadczy o tym czterokrotnie częstsze występowanie wad wśród dzieci urodzonych z wagą od 1001 g do 2500 g niż z wyższą wagą urodzeniową oraz stwierdzenie u 6,5 % dzieci obok wady również dystrofii wewnątrzmacicznej.

2. Największa śmiertelność w pierwszym kwartale świadczy o małej zdolności do życia dzieci dotkniętych ciężkimi wadami. Wśród dzieci pozostałych dłużej przy życiu nie stwierdza się dużej śmiertelności.

3. Zaburzenia rozwoju fizycznego lub psychicznego, stwierdzone u 13% dzieci z wadami, wskazują na znaczne upośledzenie ich nie tylko w zakresie narządu dotkniętego bezpośrednio wadą.

4. Duża liczba wad mnogich oraz częste późniejsze ujawnianie się wad dodatkowych są wskazaniem do poszukiwania dalszych anomalii rozwojowych, u wszystkich dzieci, u których stwierdzono jakąś wadę wrodzoną.

Obroniałam tę pracę, ale nie byłam z niej zadowolona. Dużym mankamentem było zmniejszanie się liczby dzieci objętych opieką, w miarę upływu czasu. Dawało to rosnącą strefę niewiadomych. Gdy rodzice nie reagowali na korespondencję, los dziecka nie był sprawdzony. Dlatego nie ogłosiłam tej pracy w piśmie lekarskim, zostawiając ją tylko w ograniczonej liczbie oprawionych egzemplarzy. Ale doktorat miałam, cel został osiągnięty.

Ale jak można pracować naukowo, gdy zaczął się burzliwy okres walk politycznych? Jest rok 1968. Moje dzieci zbierały podpisy pod listem do Sejmu, protestującym przeciw zdjęciu przedstawienia „Dziadów” Mickiewicza w Teatrze Narodowym. A po wiecu na Uniwersytecie Warszawskim były liczne aresztowania i represje. Toteż na obronie mojego doktoratu nie było Krzysztofa, bo zgarnęli go do wojska w ramach represyjnego poboru.

Ale pracować trzeba. Zajął się więc drugim tematem, hematologią.

Badania serologiczne prowadził Instytut Hematologii, a ja tam nikogo nie znałam. Dowiedziałam się telefonicznie, kto prowadzi ten dział. Była to doc. Halina Seyfriedowa, osoba w moim wieku, z Poznania. Dlatego się nie znałyśmy. Na pierwszą rozmowę zaprosiła dr Krystynę Frankowską, zajmującą się tematem konfliktów. Obie były zdziwione, że w Warszawie ktoś się tym interesuje. I tak zaczęła się nasza współpraca, która przetrwała nawet moją emeryturę w wieku 70 lat.

Z literatury światowej dowiedziałam się, że zaczęto leczyć krwią płody z ChHN. To była pionierska praca Liley z Brazylii. On wstrzykiwał masę erytrocytarną do jamy otrzewnowej płodu. Koncepcja zaczerpnięta była z

historii medycyny. Gdy niemowlętom nie wykonywano jeszcze przetoczeń dożylnych, tylko do szpiku kostnego, a jeszcze wcześniej do jamy otrzewnej, stwierdzono, że krwinki dobrze się wchłaniały. Liley opisał technikę zabiegów u płodu i własne wyniki. Natomiast Bevis opracował badanie stężenia bilirubiny w wodach płodowych metodą spektrofotometryczną. I znów Liley wykonał tabelę prognostyczną, w oparciu o gęstość optyczną płynu owodniowego.

Ale nasze laboratorium było bardzo zapracowane i nie mogło szybko wprowadzić nowych metod diagnostycznych. A mnie się śpieszyło, bo widziałam martwe płody i te trudne do uratowania noworodki z obrzękiem uogólnionym. Zaproponowano mi, abym robiła to sama, u nich. Metoda nie była trudna.

Pierwsze próbne oznaczenia robiłam z wód płodowych odpływających w czasie porodu u zdrowych kobiet. Położnicy zaczęli pobierać je w konfliktach, nakłuwając jajo płodowe. Poprzedzone to było izotopową placentografią, aby nie nakłuwać łożyska. Ale położnicy znudzili się tym zabiegiem i zalecili, abym robiła to sama. A ja miałam poczucie przekroczenia kompetencji. Płód i rodząca – to nie jest dziedzina pediatrii. Pilnowałam więc, aby przy tych nakłuciach położnik był. To było za zgodą i w obecności.

W pierwszym przypadku, w którym ta diagnostyka wskazywała na zagrożenie życia płodu, wykonano cięcie cesarskie przed terminem porodu. Dziecko z ciężką niedokrwistością leczono dwukrotną transfuzją wymienną. Wyszło do domu w dobrym stanie.

Moja praca "Rokowanie w Konflikcie Serologicznym na Podstawie Badania Wód Płodowych", ogłoszona w Ginekologii Polskiej w 1967 roku, nie wzbudziła zainteresowania szerszego grona położników poza naszym zespołem. Zaczęłam robić przygotowania do leczenia płodów.

Nasz szef od RTG, dr Janusz Bowkiewicz, był dobrym fachowcem, ale trudno się z nim rozmawiało. Był bardzo zamknięty, sztywny. Bulska poszła ze mną na tę rozmowę. Przyniosłam literaturę fachową i mówiłam, a on słuchał. Powiedział tylko: „odpowiem za tydzień”. Przyniósł wtedy kilka pism z opisem zabiegu i stwierdził – możemy zrobić.

Drobny sprzęt do tego zabiegu kupiła mi znajoma lekarka w Londynie. To była specjalna igła i cewniki. Oficjalnie w kraju nie mogłam tego kupić.

W tym czasie profesor Bulska, po śmierci męża, objęła po nim klinikę na Starynkiewicza, a u nas szefem został doc. Marian Dipont. Ale Bulska zawiadomiła mnie, że przyjeżdża z Londynu profesor Karnicka, jej koleżanka ze studiów. Ona jest tam szefem kliniki i znam jej prace z literatury. Ma

wyłosić w Gdańsku referat o leczeniu płodów krwią. Bulska nie może tam jechać, ale uważa, że ja powinnam – bo to mój temat.

Referat był dobry, omawiał zarówno doniesienia Liley, jak i jej własne. Dyskusja była długa i żenująco słaba. Oni nic nie wiedzieli na ten temat, a było to Towarzystwo Ginekologiczne. Długo czekałam na udzielenie mi głosu – bez skutku, aż padło pytanie: „czy ta metoda może trafić pod strzechy?” Przewodniczący zamyka dyskusję. Nie poddałam się. Wstałam i powiedziałam, że jednak proszę o głos. „Czy ma pani coś ważnego do powiedzenia?” Odparłam: „dla pana profesora nie, ale dla mnie tak, bo zajmuję się tym problemem”. Pozwolił.

Mówię więc, że znam literaturę i prace pani profesor na ten temat, ale chcę zapytać o problemy techniczne, bo tego się zwykle nie podaje. Mój szpital jest przygotowany do tego zabiegu. Mamy dobrą zgodność badania wód płodowych ze stanem płodu i uratowaliśmy już płód z ciężką anemią, wykonując cięcie cesarskie przed terminem porodu. Chcę zapytać, co operator wyczuwa w czasie zabiegu. Ta japońska igła jest gruba i zaokrąglona. Nietrudno naciąć powłoki matki, ale czy czuje się dotyk igłą do brzucha płodu i czy trzeba ją popychać wtedy ostrożnie, czy jest duży opór? Czy warto upuszczać płyn owodniowy, aby zmniejszyć ruchomość płodu? I czy stosuje pani dodatkowy przyrząd do unieruchamiania płodu, bo to mi się nie podoba. Odpowiedziała na wszystko i zachęciła do działania. Zebranie zakończono. Pediatriów nie było, bo nikt mnie nie rozpoznał. Sekretarz zapytał mnie o nazwisko i miejsce pracy. Czy te strzechy też będą w protokole?

W marcu 1969 roku wykonaliśmy pierwszą transfuzję dopłodową. Ta kobieta, która bez wahania zgodziła się na zabieg, ufała mi bezgranicznie. Nie przerażał jej fakt, że w Polsce jeszcze tego nikt nie robił, że ja nie wiem, czy to się uda. Poroniła pierwszą ciążę, a potem urodziła troje chorych dzieci, które zmarły w szpitalu powiatowym w województwie Białostockim. W piątej ciąży ktoś skierował ją do nas, bo to był konflikt Rh. Były przeciwciała, ale badanie płynu owodniowego wykazywało małe zagrożenie. Doprowadziliśmy ciążę do terminu porodu. Dziecko leczone jedną transfuzją wymienną rozwijało się dobrze. Ale teraz zagrożenie było już duże. Przypadek ten opisaliśmy w Ginekologii Polskiej i tam podano szczegóły.

Problemem do uzgodnienia było, kto ma ten zabieg wykonać. Dr Herbstowa, która współpracowała ze mną, nie chciała. Była inteligentna, ale nie był to chirurg o złotych rękach. Uważała, że jestem bardziej sprawna manualnie i ja to wszystko zorganizowałam, więc powinnam to zrobić. Ona będzie mi

asystować, biorąc ciężar odpowiedzialności jako położnik, na siebie. Jestem jej za to wdzięczna.

Współpraca z radiologami przy zabiegu była bardzo dobra. Telewizja radiologiczna włączała się na konieczny czas. Wszystko było pod kontrolą. Byłam bardzo napięta, ale zabieg przebiegał planowo. Gdy ujrzałam, jak kontrast wlewa się do jamy otrzewnowej płodu, przez wprowadzony tam cewnik, wrażenie było ogromne. Udało się. Przetaczanie koncentratu krwinek czerwonych trwało godzinę, ale wtedy napięcie już spadło. Przy zabiegu był również obecny szef położnictwa docent Dipont, bez żadnych widzów.

Pediatrzy obrazili się, bo chcieli patrzeć. Ale na próby, zwłaszcza takie z ludzkim życiem, się nie patrzy. To nie jest kino. Ja jeszcze tego nie mogłam uczyć. Gdy wróciłam na oddział, mój zastępca, dr Kwiecińska, powiedziała mi, że szykuje się transfuzja wymienna u jakiegoś dziecka w oddziale, a dyżur ma nowa lekarka, która tego nie robiła. Mam nie myśleć, że ktoś dodatkowo zostanie, bo to ja odpowiadam za oddział. Byłam bardzo zmęczona i było mi przykro. Moje asystentki nie zdały tego egzaminu. Natomiast kursanci położnicy powitali mnie lampką wina. Dziwny jest ten świat.

Ale wracam do mojej pacjentki. Była u nas przez 5 dni, po których oznajmiła, że wypisuje się na własne żądanie. Nie pomogły żadne perswazje. Zbliżały się święta wielkanocne i ona musiała je przygotować. To były pierwsze święta z dzieckiem w domu. Miała już roczną córeczkę. Chcieliśmy zamówić jej karetkę pogotowia, ale się nie zgodziła. Jej mąż jest kierowcą autobusu na linii Warszawa-Białystok i dla niej miejsce obok kierowcy zawsze się znajdzie. Pojechała tym autobusem. Dipont powiedział, że jestem głupia, bo ją puściłam. Ale to był wolny człowiek. Wróciła tym autobusem w wyznaczonym terminie. Płód żył.

Wywołano poród. Dziecko miało 3 700 000 erytrocytów, w tym tylko połowę krwinek własnych. Były 4 transfuzje wymienne i 4 uzupełniające.

Ciekawy był fakt znacznego zmniejszenia gęstości optycznej wód płodowych w 18 dni po transfuzji dopłodowej. Mogło to być spowodowane zmniejszeniem anemii, co hamowało nadmierną erytropoezę. Takie zjawisko obserwowałam później w niektórych przypadkach.

Dipont podał do prasy notkę, że w szpitalu Bielańskim w Warszawie wykonano pierwszą w kraju transfuzję dopłodową, bez szczegółów. Zainteresowania położników z innych szpitali nie było, mówiono nawet, że to plotka. Ale wiedziała o tym dr Irena Twarowska z Poznania, bo spotykałyśmy się z powodu planowanego wyjazdu z referatami do Finlandii. Gdy powiedziała

o tym w Poznaniu, reakcja położników była znamienna: „ci noworodkarze stają się coraz bardziej bezczelni”. Amen.

Aby zakończyć historię tej konfliktowej rodziny, muszę wspomnieć, że nasza pacjentka zjawiała się ponownie po 10 latach w następnej ciąży, mając już dwoje zdrowych dzieci. Zdziwiłam się, że chce znowu ryzykować. Odparła – bo syna jeszcze nie ma. I o dziwo, to też było konfliktowe dziecko, ale przebieg choroby był łżejszy i obyło się bez leczenia płodu. I był syn.

ZJAZDY MIĘDZYNARODOWE

Mogłam to pominąć, ale fakt, że pracując naukowo i prowadząc zajęcia dydaktyczne dla lekarzy nie uczestniczyłam w życiu naukowym współczesnego świata, też jest znamieny.

W 1966 r. pojechałam z dr Herbstową i mgr Gurdą na sympozjum do Pragi. Pomógł nam w tym prof. Hartwig, który miał kontakt z czeskim Instytutem Szkolenia Podyplomowego. Miałyśmy do wygłoszenia pracę i poparcie uczelni (SDL), mogłyśmy więc dostać jednorazowe niby paszporty. Ale nie stać nas było na opłacenie całej imprezy. Mogłyśmy brać udział w obradach, ale żywić się na własny koszt. Otrzymałyśmy bezpłatny pokój w Domu Lekarza, bez utrzymania. Wymiana pieniędzy była bardzo ograniczona, a wystawiania w różnych urzędach tyle, jakbyśmy organizowały wyprawę na księżyc. Zwiedzałyśmy Pragę indywidualnie. Tam, w muzeum, zobaczyłam po raz pierwszy oryginalnego Van Gogha. Ten blask złotego zboża był urzekający.

Obrady były w kilku językach. Irka słuchała po angielsku, ja po francusku. Nasza praca „Anaerobic Metabolism In Asphyxia” wzbudziła zainteresowanie i poradziłyśmy sobie z dyskusją. Zaproszono nas nawet na zebranie w praskiej piwiarni. Czesi byli gościnni, a my trochę głodne. Żałowałyśmy sobie nawet picia soku pomarańczowego w zjazdowym bufecie. Uważałyśmy go za zbyt drogi, bo u nas w sklepach dla zwykłych ludzi takich specjalów nie było. Piłyśmy tylko herbatę jako najtańszą, ale naprawdę najtańszy okazał się sok.

Praga była pięknym miastem, natomiast ich kliniczny szpital był jeszcze bardzo socjalistyczny. My miałyśmy nowocześniejszą klinikę.

W 1969 r. pojechałam do Finlandii. Wybrał mnie na ten zjazd prof. Chrapowicki, po wysłuchaniu mojego referatu w Towarzystwie Pediatrycznym. Nie uzgodnił tego ze mną. Było to Polsko-Fińskie Sympozjum Neonatologiczne. Jechała Irena Twarowska z Poznania ze swoją asystentką, Krystyna Buchar i ja, oraz profesor z towarzyszącą mu żoną.

Ja czytałam bez trudu anglojęzyczną literaturę medyczną, ale wprawy w mówieniu nie miałam. Moje towarzyszki pocieszały mnie, że rozmawiać można w różnych językach.

Mój nowy referat zatwierdzono w Ministerstwie Zdrowia. Potem ćwiczyłam wymowę z lektorką. Zawsze myślałam, że przy cichym czytaniu nie używam dźwięku. Okazało się, że tak nie jest. Najbardziej kaleczyłam najczęściej używane słowo: blood – krew. Muszę bardzo uważać na tę wymowę.

Jechałyśmy na tydzień, więc spotkań towarzyskich było bardzo dużo. Jeśli miałam francuskojęzycznych rozmówców, było dobrze. Z angielskim kłapa. Aby prowadzić rozmowy na dobrym poziomie, potrzebna jest większa wprawa w mówieniu niż przy praktyce lekarskiej.

Finlandia to piękny kraj, pełen ogromnych jezior. Wozili nas daleko na północ samochodami, pontonami i łodziami. Helsinki piękne, to miasto pełne zieleni, ale europejskie. Sklepy niewyobrażalnie pełne wszystkiego. Inny świat.

Szpital też taki jasny, nie zatłoczony. Na dużej sali jedno dziecko w czasie kroplowej transfuzji. To choroba hemolityczna noworodków. Pytam, czy tu zawsze tak mało dzieci na salach – lekarz odpowiada: „a po co ma być więcej”. U nas byłoby tu 10 – 20 noworodków. Dostałyśmy jednorazowe zestawy do transfuzji wymiennej. Nawet nie wiedziałam, że takie są.

W dniu naszego sympozjum mamy długą podróż samochodami do Turku. Nie powtarzam tekstu, bo znam go na pamięć. Ale Krysia Buchar dopiero go pisze i pyta co chwila o jakiś słowo – jak będzie po angielsku. Przed obradami demonstrują nam nowoczesną aparaturę do badań. Jestem bardzo zmęczona.

I wreszcie te referaty. Pierwsza mówi Twarowska, coś z neurologii, po tym jej asystentka o infekcjach i w końcu Buchar. Przedstawia wyniki pracy swojego oddziału. Ale to było żałosne. Irka jęczy mi nad uchem, jest przerażona. I w końcu ja. Przedstawiam wyniki badań chemicznych i serologicznych w krwi matek, noworodków i w wodach płodowych i ich znaczenie w ChHN. Poszło dobrze. Irka ściska mi rękę: „Danusia świetnie.”

Finowie już wiedzieli, że mój angielski szwankuje i pytali mnie w węższym gronie. I zapytali, czy miałam tylko jeden przypadek transfuzji u płodu. W tym materiale tak – to moja odpowiedź. Oni mieli już 20, a jest ich tylko 5 milionów. Ale to wolny, otwarty świat. Wydają podręczniki medyczne po angielsku.

Następnego dnia na obiedzie jakiś elegancki pan zaprasza nas na bal w zamku. Zaprosił ponad 100 osób, bo w tym czasie był tu zjazd reumatologów. Pytamy – kto to? To bardzo bogaty człowiek. Nie jest lekarzem. Ma fabrykę leków i fabrykę czekolady i jeszcze coś. Leki eksportuje do całej Europy. Tu jest kapitalizm i nie ma biedy.

Na tym balu w zamku, gdzie królowała kiedyś polska księżna, miałam szczęśliwie rozmówców z językiem francuskim. Poprosił mnie do tańca francuski lekarz, który tak się przedstawił: „byłem Zakopane, umiem psia krew”. Ale najważniejszą osobą był stuletni prof. Ylpe. Powiedział: „Jestem tu najstarszy i najmniejszy”. I to była prawda. Dobrze, że nie wiedziałam przed

tym referatem, że on mnie słucha, bo bym umarła ze strachu. To była światowa sława.

Staralam się potem w CMKP o wyjazd do Londynu, do prof. Karnickiej. Poduczałam się w angielskim gadaniu. Ale mi odmówili. W tym czasie inna lekarka, neonatolog, która nie umiała zrobić zwykłej transfuzji wymiennej, dostała państwowe stypendium na półroczny pobyt w Paryżu i w Londynie. I właśnie ona, po powrocie, słysząc, że szykuję się do kolejnego zabiegu u płodu, poprosiła, aby mogły go zobaczyć jej asystentki. Tego nie wytrzymałam nerwowo. Powiedziałam, że mam inny pomysł – niech ona wykona pokazowo ten zabieg, a ja się będę przyglądać z jej asystentkami. Nie przyszły.

Czwarty Europejski Kongres Medycyny Perinatalnej odbył się w Pradze w 1974 r. Na ten zjazd przygotowałyśmy z dr Frankowską pracę hematologiczną. Gdy cały materiał był już zebrany i wymagał ostatniej korekty, pani Krystyna wiozła go do domu w oddzielnej siatce i zgubiła bez śladu. Nie było czasu i sił na odtworzenie materiału. Jechałyśmy więc do Pragi bez referatu.

Ale to już były lepsze czasy. Miałyśmy opłacony cały zjazd. Oprócz słuchania obrad, zwiedzałyśmy zabytki Pragi i pojechałyśmy na objazd Słowackich zamków. Byłyśmy na bankiecie i nawet robiłyśmy zakupy. Kupiłam francuskie pantofle ze skórnej plecionki. Piękne. Była jedna para bardzo mała i pasowała tylko na moje nogi. Tym pantoflowym zwycięstwem zamykam mój wkład w neonatologię światową. Powracam do kraju. Warto zauważyć, że krajowego sympozjum neonatologicznego u nas jeszcze nie było.

PIERWSZE SYMPOZJA NEONATOLOGICZNE

Wkrótce po naszym powrocie z Helsinek zarząd Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego zwołał w Warszawie zebranie neonatologów z największych ośrodków w kraju. Prowadziła je przewodnicząca towarzystwa, prof. Zofia Leimbach. Tematem było kształcenie i praca naukowa w tej nowej dziedzinie. Niespodziewanie zostałam zaatakowana przez dr I. Norską, którą poznałam już w Pradze. Stwierdziła, że prace naukowe muszą być dobre, nie takie jak przedstawia Łozińska – przypadek leczenia płodu krwią. To jest bez wartości. Reakcja zebranych była burzliwa. Ocenili dobrze wprowadzenie tej metody w kraju. Ja stwierdziłam, że warto było przybliżyć wykonanie tego zabiegu naszym położnikom, ale nie uważam tego za własne odkrycie.

Pokazałam również sposób wykonania tej transfuzji na zjeździe ginekologów w Poznaniu. Był to plakat ze zdjęciami kolejnych etapów zabiegu. Zdjęcia powiększone i wyretuszowane przez dobrego fotografa w pracowni architektonicznej były bardzo dobre. Nie zainteresowały jednak położników. Jedyną osobą, która zatrzymała się przed nimi i pytała o szczegóły, była doc. Jeżykowska-Kuleszyna, emerytowany poprzedni kierownik Kliniki Neonatologii w Poznaniu. Jej objaśniłam szczegóły. Przerost ambicji – to nie wygasająca cecha niektórych ludzi. Jeśli nie umieją zrobić tego, co robią inni, najlepiej tego nie zauważyć.

Pierwsze Ogólnopolskie Sympozjum Neonatologiczne odbyło się w Krakowie w 1970 r. Tematem była statystyka w oddziałach noworodkowych i intensywne terapia noworodka. Prowadziła to doc. Barbara Kańska. Była członkiem partii i chyba powierzono jej jakiś nadzór nad tę dziedziną pediatrii. Ona też przedstawiła godzinny referat o sprawozdawczości. Rozdano kilkustronicowe ankiety i zapadła cisza. Zdecydowałam się na protest. Nie jestem w stanie prowadzić tak wielkiej statystyki. Nie mam na to czasu. A w wielu oddziałach obsada lekarska jest jeszcze mniejsza. Trzeba wybrać między opieką lekarską a tymi sprawozdaniami. Sala poparła mnie. Chwilowo wstrzymano zalecenia tej nowej władzy.

Potem był referat Irki Twarowskiej, przeładowany. Mówiła o wszystkim od neurologii do krążenia i oddychania. Poprawnie, ale nie do strawienia na raz.

Na koniec moja krótka prelekcja „Intensywna terapia w ChHN”, która odbyła się przy połowie znużonych słuchaczy. To było kiepskie sympozjum.

Natomiast udane było II Ogólnopolskie w Poznaniu w 1972 r. Była znów intensywne terapia, okrągły stół prowadził dr P. Szreter.

Nasza praca „Ocena kliniczna jako podstawa postępowania leczniczego w niewydolności oddechowej noworodków” została wygłoszona przez moją asystentkę, Helenę Kidawę. Było to zestawienie objawów klinicznych zaburzeń oddechowych z wynikami badań gazometrycznych. Mogło to pomóc w ocenie stopnia kwasicy noworodków, w oddziałach nie posiadających jeszcze aparatury pomiarowej dla tej równowagi. Mogło to przyspieszyć rozpoczęcie leczenia. Klinika poznańska była dobrze wyposażona i oni nie docenili wartości tej pracy. Ale ja, mając szeroki kontakt z małymi oddziałami, wiedziałam, jak były ubogie w zakresie zagranicznej, drogiej aparatury.

III Ogólnopolskie Sympozjum Neonatologiczne odbyło się w październiku 1974 r. w Warszawie. Tematem były „Żółtaczki Okresu Noworodkowego”. Organizowałam go z dużą grupą pomagających mi osób i była to ciężka praca.

Było wiele oryginalnych doniesień i żywa dyskusja. Ale przede wszystkim była już wyraźnie kształtująca się kadra kierownicza, chcąca razem stworzyć neonatologię polską, w tamtych trudnych, ubogich czasach.

Przytaczam nazwiska bez tytułów, według kolejności prac w pamiętniku zjazdu:

Lucyna Bieńkiewicz – Łódź

Jerzy Szczapa – Poznań

Marcella Komraus-Gatniejewska – Siemianowice Śląskie

Elżbieta Gajewska – Wrocław

Czesław Bryniak- Kraków

Walentyna Iwaszko- Krawczuk – Białystok

Irena Norska – Zabrze

Krystyna Buchar-Hałoń - Warszawa

Waldemar Maszkiewicz – Wrocław

Maria Miecznikowska – Kraków

Zofia Sławek – Rzeszów

Ludwika Radomska – Gliwice

Do nazwisk tych dopiszę jeszcze Irenę Twarowską, chociaż jej na zjeździe nie było. Była ona pierwszą przewodniczącą sekcji Neonatologii w PTP. No i moje nazwisko musi się w tej grupie znaleźć. A losy każdego z nas były różne, bo życie polega na przemijaniu.

Na wyróżnienie zasługiwały dwa opracowania, wprowadzające postęp w omawianych problemach:

1/ Leczenie żółtaczek fototerapią – Gadomska i współpracownicy.

2/ Profilaktyczne stosowanie immunoglobuliny anty-Rh-D- Woytoń, Gajewska i współpracownicy. Doc. Janusz Woytoń był jednym z nielicznych położników zajmujących się konfliktem serologicznym.

My pokazaliśmy dwoje pięknych dzieci w wieku 3 i 4 lat, po leczeniu krwią w życiu płodowym. Omówiliśmy w dyskusji to postępowanie.

Dyskusja okrągłego stołu była ciekawa i urozmaicona. Prof. Roszkowski machał mi przed nosem odbitkami z prac Karnickiej, jakby to on odkrył potrzebę ratowania konfliktowych płodów. Poza mną nikt nie wiedział, że przed zjazdem miał przeciwne zdanie. Ale jego poparcie było pożądane.

Muszę wspomnieć, że koleżanka Miecznikowska z Krakowa, pomogła mi w wystroju graficznym zjazdu. Jej syn Wojciech, student architektury, zaprojektował symbol Neonatologii. Był on na zjazdowym plakacie i na okładce pamiętnika. Ten symbol do dziś figuruje jako godło Polskiego Towarzystwa Neonatologicznego.

W czasie tego sympozjum uświadomiłam sobie, że dwa problemy natury organizacyjnej i etycznej, warte są omówienia:

1/ Bezkrytyczne drukowanie i odbiór błędnych wystąpień.

2/ Wzajemne stosunki między pediatrami i położnikami – współpraca czy konkurencja.

BŁĘDNE REFERATY NA ZJAZDACH

Na opisanym już III symposium neonatologicznym pojawił się nieznan mi dr S. Przedstawił mechanizm występowania żółtaczki u noworodków. Było to podane bardzo syntetycznie, z użyciem symboli i wzorów, ale ja niezbyt dobrze to rozumiałam. Miał wspaniałą dokumentację graficzną, kolorową, wykonaną bardzo starannie. Jej poziom przewyższał nasze ówczesne możliwości. Chyba była zrobiona za granicą. Podnosiło to oczywiście ocenę wypowiedzi. I on jedyny został nagrodzony brawami.

Pamiętnik przygotowywałam do druku po zjeździe. I okazało się, że to są jakieś głupoty. Były to wzory matematyczne bez liczb, tylko z symbolami. I o ile można było sobie wyobrazić, że takie wartości jak bilirubina czy eryocyty, można podać w liczbach i odpowiednich jednostkach, to błona komórkowa podniesiona do kwadratu – powodowała zawrót głowy. Aby tę pracę odrzucić, musiałam mieć dwie negatywne recenzje, które otrzymałam bez trudu. Nieoficjalnym recenzentem był również mój syn, aktualnie student fizyki. On też pierwszy powiedział, że to trzeba leczyć.

Nie pamiętam, w którym to było roku, ale na pewno w Poznaniu. Chyba znów medycyna perinatalna, bo byli położnicy i pediatrzy. Była dr Herbstowa, moje asystentki i Krystyna Frankowska z Hematologii.

Przewodniczący ogłosił, że dopuszczono dodatkowo referat, nie zgłoszony przed zjazdem, ze względu na jego wyjątkową wagę. I był to właśnie pan S. Nie skojarzyłam sobie tego nazwiska. Podał na ekranie swoje nazwisko i tytuł pracy. Ja tak nigdy nie robiłam przed referatem, tylko na pracach składanych do druku. Była to koncepcja mechanizmu powstawania konfliktu w układzie ABO. Mówił w sposób przekonujący, ale nie całkiem to rozumiałam. Frankowska mi szepcze, że on myli używane terminy.

Twierdził, że antygeny A nie wywołują konfliktu serologicznego, a powodują go kompleksy krwinek z przeciwciałami. I znów burza oklasków. Na przerwie moja asystentka, dr Grodzicka, całkiem normalna, mówi, że to wspaniała praca. Frankowska kręci głową, więc zaczęliśmy autora. Ona pyta, jak on wytwarza te kompleksy. Obiecał zademonstrować swój eksperyment w Instytucie Hematologii.

Okazało się, że dodawał do krwinek z antygenem A surowicę grupy O i tak wytwarzał te kompleksy. To zwykła aglutynacja, która występuje przy badaniu grup krwi, a nie żadne odkrycie. W chorobie hemolitycznej noworodka niszczenie krwinek płodu spowodowane jest przeniknięciem przeciwciał odpornościowych matki do jego krążenia.

Ale to wystąpienie nie było groźne, tylko głupie i kompromitowało organizatorów zjazdu i słuchaczy bijących brawa. Ktoś te brawa zawsze zaczynał i ktoś tę pracę promował.

I znów na sympozjum perinatalnym we Wrocławiu, przeglądając pamiętnik wydrukowany przed obradami, natrafiłam na pracę dr S. Współautorami jest dwóch profesorów położnictwa. Tytuł: Profilaktyka konfliktu Serologicznego w układzie ABO. Eksperyment polega na szczepieniu kobiet, niezgodnymi antygenowo krwinkami ich mężów. Po kilku takich iniekcjach konflikt nie występuje. Taki konflikt w ogóle rzadko występuje, ale tu popełniony jest groźny błąd. Takie postępowanie nie blokuje wytwarzania odpornościowych przeciwciał, tylko je pobudza.

Poszłam na tę sesję. Prowadzona była przez położnika i docenta pediatrii z Lublina, którą znałam. Sala znów biła brawo. A ja, pierwszy raz w życiu, wystąpiłam jak nastroszony paw, ale tak musiałam. Przedstawiłam się jako członek Krajowego Komitetu do Spraw Transfuzjologii (zgodnie z prawdą) i powiedziałam, że to, co autor przedstawił, jest namawianiem łatwowiernych lekarzy do popełnienia błędu w sztuce lekarskiej. Takie szczepienie krwinkami czerwonymi stosuje się u dawców surowicy anty Rh D. I dopiero ona chroni przed konfliktem. Szczepi się tylko mężczyzn, bo oni nie zachodzą w ciążę i to nie zagraża ich dzieciom. I dzieje się to we Wrocławiu, siedzibie komitetu PAN do spraw immunologii. A lekarze są chyba naiwni, bo znów sala biła brawo. Poprosiłam o zapis mojego głosu w protokóle sesji. Przewodniczący coś szeptem z tą pediatrą, pewnie pyta o mnie. On chce ustalić, kto zwariował – ja czy pan dr S.

Oddałam ten pamiętnik prof. Seyfriedowej i w Ministerstwie Zdrowia była rozprawa w sądzie lekarskim. Zabroniono panu S. stosować tę metodę. Ale okazało się, że współpracownicy nie przyznali się do udziału w tych eksperymentach. Również pediatrzy nie spotkali noworodków urodzonych po tej „profilaktyce”. Chyba to była tylko fantazja.

Opisuję to, aby pokazać, jak łatwowierni są lekarze, gdy głupstwo przedstawi się na zjeździe i w naukowym piśmie. Zwłaszcza, gdy towarzyszy mu efektowna oprawa graficzna i nagrodzi się mówcę brawami.

Ale to nie było jeszcze pożegnanie z dr S.

Mieliśmy potem roboczą naradę w jakimś zameczku pod Krakowem. Był to zespół z planu węzłowego PAN. Nikt nie był zaproszony. Był tylko prof. Ptak i jego pracownicy, serolodzy Instytutu Hematologii, i ja, z Ośrodka Konfliktów Serologicznych. I zjawił się znów pan dr S. Zabrał głos, pisał jakies

wzory na tablicy. Prof. Seyfriedowa podała przewodniczącemu kartkę – „to jest chory człowiek”.

Pomijam celowo nazwisko lekarza, o którym piszę. Jeśli jest on chory, to obowiązuje tajemnica lekarska.

Ale ta sprawa nie była odosobniona, zdarzały się i inne. Taką inną, bolesną dla mnie, opiszę w dalszym rozdziale. Niestety, to nie była tym razem choroba autorów, tylko brak wystarczającej wiedzy, pycha i arogancja, poparta tytułami naukowymi i pracą w znanym ośrodku medycznym.

NEONATOŁODZY A POŁOŹNICY I WŁADZE MIASTA

Ten problem pojawił się w czasie organizowania III Sympozjum Neonatologicznego w Warszawie. Profesorowie położnictwa to była potęga wobec doktorów pediatrów. A do okrągłego stołu musiałam ich zaprosić. Doc. Marian Dipond musiał przy nim być - to przecież kierownik naszej kliniki położniczej i w czasie jego kadencji rozpoczęliśmy leczenie płodów krwią. Ale w tym czasie w stolicy panował prof. Ireneusz Roszkowski. Bulskiej już zabrakło.

A właśnie prof. Roszkowski był pierwszym lekarzem położnictwa, którego poznałam. W czasie ostatniego roku studiów miałam tygodniowy staż w klinice położnictwa w szpitalu Dzieciątka Jezus. Klinika na placu Starynkiewicza nie była jeszcze odbudowana i mieściła się w jednym z pawilonów tego szpitala. Sala porodowa łączyła się z werandą, oddzielona tylko wahadłowymi drzwiami i tam stały łóżka dla studentów. Przez tydzień nie wolno nam było wychodzić poza ten pawilon. Przyszedł do nas dr Roszkowski, postawił taki fantom- niby kawałek rodzącej kobiety i umieścił w nim szmacianą lalkę pośladkami do przodu. I kazał mi urodzić to dziecko. Nie miałam o tym pojęcia, więc wyciągnęłam go, a on mnie strasznie wyśmiał. Powiedział, że połamalam dziecku nogi i uszkodziłam matkę. Potem pokazał, jak się przyjmuje pośladkowy poród. Gdy poszedł, to nasz kolega, bardzo sympatyczny przyszedł profesor neurochirurgii, przyjaźnie się ze mnie podśmiewał, że mnie tak zrobił na szaro. A ja na to, że jasnowidzem nie jestem, nie widziałam i nie czytałam – to nie wiedziałam. A ten asystent nie nadaje się do szkolenia studentów, bo powinien uczyć, a nie wyśmiewać.

Ale po chwili stwierdziliśmy, że doktor jest na porodówce i musiał wszystko słyszeć. Poszliśmy do niego, a on pokazał, jak badać rodzącą. I od tej pory, przez cały czas stażu, objaśniał mi wszystko. I, jak się okazało, zapamiętał mnie.

Po kilku latach, gdy pracowałam na Płockiej, prof. Bulska miała w klinice gości – kilku położników. A my z Sianożęcką byłyśmy w pokoju lekarskim. I w drzwiach ukazał się prof. Roszkowski. Poznał mnie. Gdy wyszli, Elżbieta zawołała z oburzeniem: „co to znaczy, profesor zrobił do pani oko”. Zgroza.

Gdy organizowałam sympozjum, musiałam zaprosić kilka osób do dyskusji. I był to właśnie prof. Roszkowski. Prosiłam dr Lamers, która prowadziła noworodki na Karowej, o wstępną rozmowę z profesorem. Odmówił jej stanowczo. Uparłam się i sama poszłam. Rozmowa była trudna. Mówił, że

leczenie płodów krwią jest bez sensu. On udowodnił, że najważniejsze jest, żeby matka nie miała anemii, wtedy dziecko będzie zdrowe. Oznajmiłam mu, że powiem na zjeździe, że odmówił udziału, bo go noworodki nie interesują. Szantaż też się czasem przyda. Profesor Roszkowski brał udział w okrągłym stole i wyraźnie uzupełnił swą wiedzę.



Z prof. Małgorzatą Burską przeglądamy prace do publikacji.

Ale ten zjazd to nie był koniec naszej współpracy. Prof. Roszkowski prowadził na Karowej zebrania omawiające śmiertelność okołoporodową. I było takie zebranie w okresie, gdy na Bielanach ordynatorem położnictwa był już doc. Longin Marianowski. Ze sprawozdań wynikało, że najlepszy oddział położniczo- noworodkowy był w Otwocku. Tam noworodki w ogóle nie umierały. Któryś z dowcipnych położników zaproponował, żeby nas wszystkich przeszkolić w tym oddziale. Było dużo śmiechu, bo wszyscy wiedzieli, jak można oczyścić statystykę, zawyżając liczbę dzieci niezdolnych do życia i

odsyłając noworodki na pediatrię. W tej atmosferze, prof. Roszkowski, który często wypowiadał się bez wahania rzekł: „A jeśli chodzi o Bielany, to kolego, Marianowski, niech się pan nie gniewa, ale najpierw jest Łozińska i jej Ośrodek Konfliktów i dopiero potem pan.” To usłyszało pół Polski. Od tej pory miałam układowego wroga jako współpracownika. Los tak chciał.

Najwięcej zawdzięczałam w swoim życiu neonatologa prof. Bulskiej. To się przewija w moich wspomnieniach z okresu pracy na Płockiej i na Bielanach. Gdy ona odeszła do kliniki na Starynkiewicza – nasze kontakty trwały dalej.

Z doc. Marianem Dipontem można było żyć, choć miał różne humory. Niestety chorował na serce i zmarł nagle. Zastąpił go właśnie doc. Longin Marianowski.

Z tymi położnikami łączyły mnie problemy zawodowe.

Prof. Bulska to była moja starsza, mądrzejsza opiekunka i przyjaciółka. Nie robiłyśmy razem prac naukowych. Robiłam je z jej asystentkami. Ona nigdy nie dopisywała swojego nazwiska do tych publikacji. Prace były z jej kliniki, przez nią nadzorowane. A mnie zachęcała do pracy.

Prof. Małgorzata Serini-Bulska zmarła niespodziewanie w 1973 r. Kilka dni przed tę tragedią dzwoniła do mnie w jakiejś sprawie. Skarżyła się wtedy, że bolą ją stawy rąk i boi się, że nie będzie mogła operować. „Ale najgorsze pani Danusiu jest to, że jest mi już trudniej stawać na rękach.” To była ona, olimpijska florecistka, cała ona przez duże O.

Wróciła z kongresu w Indiach. I była to piorunująca infekcja. Poczuli się źle w klinice, odwieziono ją do domu. Wieczorem była już w szpitalu. I śmierć nadeszła szybko. Nikt mi jej nie zastąpił. To był wspaniały człowiek.

Gdy organizowałam Klinikę Neonatologii CMKP, moim współpracownikiem był prof. Janusz Kretowicz. To była dobra współpraca, wzajemne zrozumienie. Ale na pewno było mi łatwiej, bo miałam już znaczący tytuł naukowy. Prof. Kretowicz wyjechał z kraju, a ja dobrnęłam do emerytury z prof. Miedzińską, też w zgodzie.

Współpraca z komunistyczną władzą medyczną stolicy była trudna. W Instytucie Gruźlicy przeżyłam epidemię posocznicy u noworodków. Prosiłam o zamknięcie i dezynfekcję oddziału, bez rezultatu. Klinika na Działdowskiej przyjmowała chore dzieci i u nas nie było zgonów. Ale gdy wypisywałam je wcześniej, to ginęły w domu. Z moim zdaniem Wydział Zdrowia się nie liczył. Poprosiłam o oficjalną konsultację prof. Kanabusową i pozwolono mi zamknąć tylko czyste położnictwo. Gruźlica może umierać. Dopiero interwencja prof.

Kanabusowej w Ministerstwie Zdrowia dała rezultat. Minister prof. Barański kazał zamknąć i czyścić całą klinikę.

Mniej boleśnie przeżyłam brak epidemii na Bielanach.

W 1974 r. władza przypomniała sobie o mnie. Inspekcja wydziału Sanitarno-Epidemicznego. Pobrali wymazy z różnych mebli na salach dzieci i skandal – wyhodowano gronkowca złocistego. Ale dzieci były zdrowe, epidemii nie było. Pobrano wymazy z gardła i nosa całego personelu (tylko pediatrycznego). Pracownicy wstrzymali oddech z przerażenia. Krysia, mój zastępca, która miewała czasem dziwne pomysły, oznajmiła: „Jeśli ktoś będzie nosicielem, zwolnimy go, bo nie ma innego wyjścia”. Wyrosło z posiewu od niej, ale tylko raz. Dopiero trzy dodatnie posiewy wskazują nosiciela. Nie znaleziono go.

Ale na mój domowy adres przysłano mandat – do zapłacenia 1000 zł. Zapłaciłam.

10 II w Służbie Zdrowia ukazał się artykuł „Sanepid na Bielanach”. Obsmarowali mnie strasznie, a w mieście zawrzało. Z Towarzystwa Chirurgicznego zawiadomiono mnie o terminie zebrania na temat zakażeń wewnątrzszpitalnych. Ktoś przysłał mi jakąś książkę i wiele osób wyrażało solidarność z naszym zespołem.

Przystąpiłam do działania. Wysłałam pismo do ministra zdrowia, z kopią do Sanepidu. To był referat o gronkowcu, o tym, że od dawna wiadomo, że noworodki kolonizują go w gardle w pierwszych dniach życia. Istnieje nawet termin „dziecko chmurka” – to taki noworodek, który przy każdym wydechu bucha tymi bakteriami. Poszłam z tym do ministerstwa. Przyjął mnie dr Magdzik. Nie wiedział o tej aferze, ale obiecał pertraktować z władzą. A podsekretarz stanu, dr Brzozowski, przyznał mi rację i uchylił mandat. Jego żona prowadziła oddział noworodków w MSW na Wołoskiej. Sanepid miał problem, bo mandaty są bezzwrotne, ale odesłali mi pieniądze do domu.

Po kilku latach byłam na zebraniu w stołecznym Sanepidzie, gdzie omawiano problemy epidemiczne. Nie pamiętam już nazwiska, ale mgr biologii powiedziała publicznie, że niektóre dane czerpała z tego mojego obronnego pisma. Przeglądając bieżące piśmiennictwo (2004 r.) napotkałam pracę na temat kolonizacji gronkowca przez noworodki. Ten problem przetrwał do dziś. Myślę, że obecna tendencja do wczesnego wypisywania matki z dzieckiem do domu, zmniejsza ryzyko epidemii w oddziałach noworodkowych.

Ale zachodzą jakieś zmiany polityczne i nasz oddział zauważają w ministerstwie Zdrowia. Zaczynają przysyłać obcokrajowców na wizyty, często

bez uprzedzenia. Niespodziewana lekarka z Czechosłowacji przyszła w najbardziej zajęтым moim czasie i opiekuje się nią Krysia.

Przysyłają lekarkę, ginekologa z Leningradu. Jest inteligentna i można z nią rozmawiać. Mówi mi na ucho, że gdyby u nich ktoś zrobił taki numer z tę transfuzją do płodu bez pozwolenia władz, to by go zamknęli. Ale druga lekarka z Moskwy, podobno serolog, jest jej przeciwnikiem. Była w Instytucie Hematologii i nie mogą z nią już wytrzymać, więc przysłali ją do nas na tydzień. To był ciężki tydzień. Mamy wykonać badanie USG, a przy aparacie nie ma parafiny, więc czekamy aż ją przyniosą. A ta uczona woła tryumfalnie: „a u nas parafiny, wazeliny mnogo.” Nawet nie wie, z czego się śmiejemy. Pytam, dlaczego nie robią transfuzji płodom. „Bo mają lepszą metodę. Przeszczepy skóry”. Mówię, że to zarzucono, bo nie działa i w skórze nie ma antygenów Rh. Ona: „A u nas są”.

Była również wizyta ministra zdrowia ZSRR, ale to był inteligentny człowiek i tylko zwiedzał klinikę. A wizyta zespołu ministra zdrowia USA była bez sensu. Minister był u naszego ministra, a jego ekipa nic się na medycynie nie znała. To była żona ministra i kilka osób z ich ambasady.

Dla mnie ważny był pobyt profesora z Indii. Kończył on roczną podróż po Europie i miał zorganizować neonatologię w kraju. Ministerstwo skierowało go do Instytutu Matki i Dziecka, ale nie znalazł tam nic ciekawego i poprosił o lepszy oddział. O dziwo – przysłali go tu. Był przez dwa tygodnie i chodził ze mną na wszystkie obchody, nawet w niedzielę. Gdy poznaliśmy się już trochę, spytałam go, po co tu jest. Przecież widział przodujące kliniki, przyjechał prosto z Uppsali. A u nas socjalistyczna bieda, braki w wyposażeniu. I tu ciekawa odpowiedź. On z tego pobytu korzysta, bo spotkał pierwszy taki oddział w czasie swojej podróży, z ograniczonymi możliwościami i wiedzą na światowym poziomie. On taki wzorowy oddział może stworzyć jeden, a kraj wielki. Więc będzie dążył do utworzenia oddziałów początkowo biednych, ale rozumnie prowadzonych. I to byłoby jego zwycięskie osiągnięcie. Trochę podtrzymał mnie na duchu.

OŚRODEK KONFLIKTÓW SEROLOGICZNYCH

Współpraca z Zakładem Serologii Instytutu Hematologii była bardzo owocna. W 1977 r. powstał ośrodek konfliktów. Zostałam jego kierownikiem i otrzymałam 3 dodatkowe etaty, dla sekretarki i dwóch laborantek, które pracowały w instytucie pod kierunkiem dr Frankowskiej. Zbiegło się to z rozpoczęciem produkcji immunoglobuliny anty Rh-D, nadzorowanej przez prof. H. Seyfriedową. Nasz ośrodek propagował i rozdzielał ten preparat w województwie warszawskim, bezpłatnie. Była to właściwa droga do zmniejszenia częstości występowania ChHN. Surowicę tę mógł dostać u nas każdy ginekolog, bez konieczności podania osobistych danych ciężarnej. Trzeba było objąć tę profilaktyką kobiety po przerwaniu ciąży, rezygnując z dokumentacji.

Mogliśmy przyjmować do porodu ciężarne niezależnie od miejsca zamieszkania oraz leczyć płody i noworodki praktycznie z całej Polski. Lekarze oddziału noworodków otrzymali wyższe stawki dyżurowe jako oddział zabiegowy.

Prowadziłyśmy z dr Frankowską szeroko zakrojoną pracę dydaktyczną, nie tylko dla lekarzy. Według naszego scenariusza zrealizowano film o konfliktach dla pacjentek. Organizował i finansował to Polski Czerwony Krzyż. Nie wszystko poszło dobrze, była kiepska animacja niszczenia erytrocytów, bo był kiepski rysownik. Wyświetlano to w kinach, przed filmami fabularnymi.

Trwały stale prace badawcze. Wspomnę tu o wprowadzeniu przeze mnie modyfikacji prognostycznej tabeli Liley. Wykazałam, że jednoczesna ocena gęstości optycznej płynu owodniowego oraz stopnia immunizacji matki wzbogaca diagnostykę. Im większa jest rozbieżność stężenia przeciwciał i tych wartości w wodach płodowych, tym większe prawdopodobieństwo, że płód ma grupę krwi Rh(-).

Na uwagę zasługuje również praca badająca wielkość przecieku krwinek płodu do krążenia matki, po diagnostycznym pobieraniu wód. Małe przecieki zdarzały się często, ale dwukrotnie był przeciek duży.

Szokujący dla mnie był następujący przypadek. Czwarta ciąża i dwoje dzieci urodzonych w naszej klinice miało ChHN o lekkim przebiegu. Rutynowo pobrano płyn owodniowy do badania, a następnego dnia jest telefon z Hematologii. To Frankowska pyta: „czy pani siedzi?” Nie, stoję. „To proszę usiąść – jest przeciek powyżej 100 ml. krwinek płodu w krążeniu matki. I proszę trzymać się krzesła. Ten płód ma grupę Rh(-)”. Niestety, ta diagnostyka obarczona była ryzykiem, jak każdy zabieg medyczny. Ale świadomość, że

uszkodziłam zdrowe dziecko była przykra. Na szczęście ciąża była już tak duża, że można było wywołać przedwczesny poród. Dziecko z dużą niedokrwistością wymagało przetoczenia masy erytrocytarnej, ale wyszło do domu w dobrym stanie. Ciekawa była reakcja matki, gdy powiedziałam jej prawdę o tym przecieku. Nie miała do mnie pretensji. Ona mi stale ufała, a mieszkała na Bielanach i miała przy domu ogródek. Codziennie dostawałam te ogródkowe kwiatki. To była prosta kobieta.

A lekarze nie okazywali łatwo zaufania. Przytoczę znów przypadek. Dr Danuta Bujalska, wyśmienity ginekolog, prowadziła w przychodni szpitalnej ciężarną learkę z konfliktem Rh. Gdy po niskim stężeniu przeciwciał stwierdziła duży ich wzrost, wezwała ją telefonicznie na oddział szpitalny. Ale ona nie przyszła. Był telefon od jej matki, przepraszający i tłumaczący, że lekarze zawsze wybierają to, co najlepsze. I ona już jest w klinice na Karowej. A Bujalska знаła dobrze warszawskie szpitale i mówi mi, że oni wywołały przedwczesny poród i będzie po wszystkim. Po trzech dniach wiemy, chory wcześniak zmarł.

A ci lekarze rodzice, oboje pracowali w różnych specjalnościach, ale tuż, tuż za miedzą na Bielanach. I potem zaczęły się konsultacje, od razu u mnie. Oni chcą mieć dziecko i ja mam wróżyć, jakie będzie. Ja nie jestem jasnowidzem i to nie jest moje ryzyko. Ale okazało się, że ono właśnie było. Jest więc następna ciąża. Przeciwciała stwierdzono wcześniej i rosną. W pierwszym i drugim badaniu wody nie wykazują zmian. W trzecim też ich nie ma, a przeciwciała coraz wyższe. Stosuję tę zmodyfikowaną tabelę Liley i podejmuję ryzyko. To będzie Rh(-) płód. Poród w terminie i zgadza się. Ale kosztowało to mnie wiele nerwów. Ten zdrowy dzieciak był wspaniałym podziękowaniem.

Praca naukowa też nabrała formalnego charakteru. Weszliśmy w skład zespołu Instytutu Hematologii. Była to praca finansowana przez PAN. Problem węzłowy zatytułowany był: „Badanie i wykorzystywanie immunologicznego zróżnicowania ustrojów żywych”.

Wymagało to składania sprawozdań w Instytucie Immunologii PAN we Wrocławiu. Prof. Ślopek, który te zebrania prowadził, był bardzo wymagający. Gdy jechałam pierwszy raz na taką sesję, miałam złożyć nasz raport. Dr Frankowska uprzedziła mnie, że nie będę nic rozumieć, bo tam są referowane prace z wąskiej dziedziny genetyki i klinicyście trudno to pojąć. Słyszę też, jak Halina Seyfriedowa mówi, czytając jakieś notatki, że nic nie wie o receptorze. Ja w to nie wierze, bo ona jest bardzo wykształcona.

Ta sesja zaczęła się bardzo nerwowo. Prof. Śłopek przywoływał prelegentów do istoty tematu, kazał się streszczać i nie wolno było przekraczać czasu. Lekarce ze znanej warszawskiej kliniki interny przerwał i tak ją podsumował: „Reasumując, wycięła pani psu obie nerki i on był po tym zdrowszy.” Byłam przerażona, chyba nic nie powiem. Nie zauważyłam nawet, że podziękował mi za zwięzłe i rzeczowe sprawozdanie. Dowiedziałam się o tym w Warszawie.

I była jakaś praca z genetyki, w której autor określał masę końcówki receptora, przy którymś tam węglu. Nie wiedziałam, po co. I z sali padło pytanie: „czy może mi kolega powiedzieć, co to właściwie jest receptor?” Chwila ciszy i: „myślę, że receptor jest miarą naszej niewiedzy”. Wybuch śmiechu, a potem dyskusja.

Ale po wielu latach okazało się, jak ważna jest końcówka receptora w chorobie hemolitycznej. Diagnostyka konfliktu w układzie ABO nie była całkiem ścisła. Z naszej pracy z Frankowską wynikało, że największe znaczenie mają przeciwciała podklasy IgG3. W pracy Lenkiewicz i Radomskiej w 1997 r. stwierdzono, że ważne są tylko przeciwciała IgG1 i IgG3. One powodują hemolizę w tym konflikcie. Natomiast immunoglobuliny klasy IgG2 są zawsze obecne, łączą się z erytrocytami, ale nie wywołują reakcji. Wiadomo już, dlaczego tak się dzieje. Ta podklasa ma inną końcówkę receptora i dlatego nie dochodzi do fagocytozy, krwinki nie rozpadają się. Tak po latach niewiedza przeszła w wiedzę.

A u nas zaszły poważne zmiany personalne. Wyjechała do Szwecji doc. Herbstowa (w ramach kampanii antysemitycznej). I zmarł nagle doc. Marian Dipond. Szefem położnictwa został doc. Longin Marianowski z kliniki na Starynkiewicza.

Ale praca Ośrodka Konfliktów trwała bez zakłóceń. Transfuzje dopłodowe robiła ze mną dr Elżbieta Łukasiewicz- położnik. Najwięcej zmian było w wykonywaniu placentografii. Nasi fizycy zmieniali kilkakrotnie radioaktywny izotop, aby skracać czas połowicznego rozpadu. To przecież działało na płód. A gdy poprawiła się technika ultrasonograficzna, to zastąpiono nią całkowicie poprzednią procedurę.

Doc. Marianowski nie znał zespołu serologów w Instytucie Hematologii. Pojechałam do prof. Seyfriedowej, aby go przedstawić. W drodze zapytał, czy zamierzam się habilitować. Powiedziałam, że mam już gotową pracę. Złożył mi propozycję, że może szybko to załatwić. On jest w drugim wydziale Akademii Medycznej i tam nie ma tłoku z pracami naukowymi. Prof. Seyfriedowa uznała, że można tak zrobić, ona może być recenzentem. Dałam

mu więc ten maszynopis i potem zapadła cisza. Nie powiedział nawet, czy przeczytał.

A więc w kwietniu 1978 r. złożyłam pracę w Instytucie Hematologii. Tytuł był: „Analiza Czynn timerów Wpływających Na Przebieg Choroby Hemolitycznej Noworodków w Konflikcie Rh.” Była wykonana na materiale 300 przypadków konfliktu matczyno–płodowego.

Wyniki tego opracowania ułatwiały podejmowanie decyzji do leczenia płodów lub prowokowania porodów przedwczesnych oraz do uściślenia wskazań do przetoczeń wymiennych u noworodków.

Gdy nadszedł czas ponownego składania sprawozdań z naszych opracowań, we Wrocławiu, była już tam nasza duża grupa. A sesja była dwudniowa. Doc. Marianowski chodził dumny, z miną „moi ludzie referują”. Prof. Seyfriedowa powiedziała mi wtedy, że instytut przyjął moją pracę do habilitacji. Powiedział, że wie i że mu tej pracy nie dałam. Trzymał ją przez rok w biurku.

Moje sprawozdanie było w drugim dniu sesji i nie w kolejności, długo czekałam na udzielenie mi głosu. Okazało się, że spóźnia się delegacja ministerstwa zdrowia, a oni decydowali o finansach i mało się znali na genetyce. Nasza kliniczna wypowiedź mogła ich przekonać, że to jest coś pożytecznego.

A z habilitacją nie było kłopotów. Streszczenie tej pracy wydrukowano w trzech częściach:

- 1) Prognosis In Rh Incompability.
- 2) The Course of Hemolytic Disease of The Newborn In Rh Incompatibility.
- 3) Treatment In Rh Incompatibility.

Ukazały się w *Archivum Immunologiae et Therapiae Experimentalis* 1976, 26. (1111, 1117, 1121.)

Ale w tamtych czasach spokojne życie nie trwało długo. Jak grom z jasnego nieba buchnęła wieść, że do nas przychodzi z Mokotowa lekarz Zofia Czerniawska. Ma być dyrektorem ZOZ Bielany. Podobno cała służba zdrowia na Mokotowie jest pijana, naprawdę i w przenośni, ze szczęścia.

Problem jest w tym, że była to jedyna moja asystentka zwolniona z pracy, z powodu fikcyjnych chorób w okresie urlopów. Obciążało to resztę zespołu dodatkowymi dyżurami. Ale ta Zosia była mądra. Zapisala się do partii i szybko awansowała. Plotki roznoszą się szybko i stale ktoś pyta, dlaczego ją wylałam.

I nadszedł dzień jej tryumfu. Dyrektor Wydziału Zdrowia przedstawia ją zespołowi ordynatorów w sali konferencyjnej. Wychwała zdolności organizacyjne tej Zosi i w końcu mówi: „Ale nie myślcie państwo, patrząc na tę drobną postać, że ona nie potrafi sprawować twardych rządów. Bo tak w życiu bywa, że mniejszy może zwyciężyć większego.” Ordynator Chirurgii dr Wiechno wstał, wyciągnął do mnie rękę prowokując również do wstania i powiedział: „Pani doktor Łozińska – gratuluję zwycięstwa”. Ja byłam znacznie mniejsza od niej.

I tak się to zaczęło. Jakaś pielęgniarka z awansu złożyła na mnie skargę. Podobno matki nie są zadowolone z opieki nad dziećmi. Lekarzom oddziału noworodków cofnięto zabiegowe stawki za dyżury, bo nie są chirurgami. Moje asystentki zaczynają szukać innej pracy, bo atmosfera coraz mniej do wytrzymania.

Idę z Marianowskim do dyrekcji. Trzeba zrobić jakiś ruch, aby tę grę przerwać. Liczę na jego poparcie. Mówię, że leczymy dzieci ciężko chore i musi tu być wyszkolony personel. Dwie nowe stażystki nie poprawią tej sytuacji, gdy inni odejdą. Ja nie mogę odpowiadać za tak ciężki oddział z niewyszkolonym personelem. No i on mnie poparł. Powiedział: „ordynator, który nie może odpowiadać za oddział, musi odejść.”

Więc już wiem. On przejmie Ośrodek Konfliktów i o to mu chodzi.

I stało się, odchodzę. W okresie wymówienia mam urlop, a kilka dni przed powrotem do pracy mam wyznaczone kolokwium habilitacyjne. Nigdy nie znałam dobrze urzędowych przepisów dotyczących tytułów naukowych. Gdy przyszłam na ten ostatni mój egzamin, powitała mnie bardzo zdenerwowana sekretarka. Okazuje się, że nie napisałam podania o rozpoczęcie tej habilitacji, a od tego zaczyna się cała procedura. Ona już to napisała z wcześniejszą datą i czeka na mój podpis, podsunie to jeszcze dyrektorowi instytutu. Innych problemów po tym nie było. Zdałam i powracam do pracy na ostatnie tygodnie. A mój zastępca, dr Kwiecińska, jedzie do sanatorium. Po tym będzie miała zwolnienie lekarskie, gdy mnie już zabraknie.

Urządzam pożegnalną kawę dla naszego zespołu. Jest smutno. Ostatniego dnia żegna mnie po dwudziestu latach cały szpital. To było bardzo uroczyste pożegnanie, wszyscy ordynatorzy i różni kierownicy, nie było tylko dyrektor Czerniawskiej i jej zastępcy. Były kwiaty i przemówienia, książki z dedykacjami i piękny serwis do kawy, który mam do tej pory. Ale najważniejsze było to, że przychodzili różni pracownicy, sami i w grupach, abym zapamiętała jak wielu mam tu przyjaciół.

Załatwiłam z dyrekcją szpitala, że oddam mój pokój z trzydniowym opóźnieniem. Przejrzeć tyle papierów, książek, co jest moje, co jest ważne- to się nie dało szybciej.

Ale pierwszego dnia po oficjalnym zwolnieniu, gdy nie muszę zajmować się dziećmi, widzę niesłychany bałagan w oddziale. Wiem, że w czasie tego pożegnania, za ścianą obradowała partia, związki zawodowe, no i ta dyrekcja. Szukali nowego ordynatora w innych oddziałach warszawskich. Ale głupich nie ma zbyt wielu. Ten pasztet jest trudny do strawienia.

Widzę, że te dwie stażystki, od dziś na asystenckich etatach, badają dzieci, a jakieś wścibskie baby nimi dyrygują. To ordynator z sąsiedniego oddziału, bardzo kiepski lekarz i podobno gwiazda neonatologii, wypożyczona ze szpitala na Madalińskiego. One tylko poganiają te normalne dziewczyny.

Wieczorem muszę to wszystko odreagować. Idziemy do kina. Film Bergmana, musi być dobry. I był – o eksperymentach medycznych na ludziach w hitlerowskich Niemczech. Mój mążzonek, intelektualista, nie obejrzał fotosów przed kinem.

Wracam wściekła. I dzwoni telefon – to Marianowski stęsknił się za mną. Przepraszam, ale jest jakiś żółty wcześniak i ta lekarka z Mokotowa kazała rano poczekać. Ale ta nowa od dziś asystent uważa, że są wskazania do transfuzji wymiennej. Ona umie to zrobić, ale nie chce podjąć decyzji. O nie, nie zrobię mnie. Nie widziałam dziecka ani badań i nie pracuję już w tym szpitalu. Nie podpiszę niczego. Marianowski mówi, że ma na sali operacyjnej prokuratora i podejmą komisyjną decyzję. Ich sprawa.

A ta gwiazda neonatologii, co rano kazała poczekać, to właśnie odleciała do Paryża. Wybrała wolność.

W trzecim dniu pakowania moje rzeczy jadą do domu szpitalnym samochodem. A pani Cielica, nasza salowa, sprząta mój gabinet i płacze. Lekarze odeszli, a salowa płacze. To mnie pociesza.

I co dalej? Dalej będzie następny rozdział z neonatologii i mojego życia.

CMKP DZIEKANÓW LEŚNY

Od 1 kwietnia 1980 r. jestem pracownikiem CMKP w Klinice Pediatrii w Dziekanowie Leśnym.

Gdy moje losy na Bielanach były już prawie przesądzone, niespodziewanie zwróciła się do mnie o zawodową pomoc koleżanka ze studiów, prof. Janina Niżnikowska. Problem polegał na tym, że z niewiadomych powodów, lekarze oddziałów noworodkowych w otaczających Warszawę powiatach nie wykonywali transfuzji wymiennych. Odsyłali wszystkie ciężkie żółtaczki do szpitala na Czerniakowskiej. Władze Centrum uważały, że wystarczy im jedna klinika pediatrii, zwłaszcza że opinia o tym oddziale nie była dobra. Był to oczywisty błąd organizacyjny, ale świadczyło to również o słabej neonatologii w regionie. A region podlegał nadzorowi prof. Niżnikowskiej.

Ale w tym okresie nie mogłam pomóc nikomu. Moje losy ważyły się. Nie podjęłam jeszcze decyzji. Może przejdę na emeryturę. Gdy w końcu złożyłam wypowiedzenie, skontaktowałam się z Janką. Otrzymałam propozycję pracy w nieistniejącym jeszcze oddziale Patologii Noworodka w jej klinice. Mogłam wybrać stanowisko ordynatora w tym szpitalu lub etat lekarski w klinice. Wybrałam tę drugą propozycję. Dwie mądre głowy to więcej niż jedna, a konkurencji się nie boję. Jak się jeszcze czegoś nauczę, też się przyda.

Te noworodki musiały być wydzielone z kliniki, bo było w niej oczywiście dużo infekcji. Wygospodarowano na ten cel kilka małych pokoi z oddziału, który miał wolne łóżka. Zarówno lokal, jak i wyposażenie, były bardzo skromne. Otrzymałam monitor rejestrujący tylko pracę serca, co miało zastępować nadzór lekarski przy zabiegach.

Jestem więc pracownikiem CMKP w Klinice Pediatrii. Ale sytuacja tego nowego oddziału jest z góry zaplanowana do szybkiej likwidacji.

A działo się to w okresie, gdy powstawało CMKP (Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego) na miejsce rozwiązanego już SDL (Studium Doskonalenia Lekarzy) i niszczenie podstawowych klinik dobiegało końca. Centrum leczyło rany po wojnie z Akademią Medyczną. Ale Kliniki Położnictwa jeszcze nie było. Zaproponowałam więc we wstępnych rozmowach, że mogłabym poprowadzić Klinikę Neonatologii. Janka obiecała, że poprze moją koncepcję i dotrzymała słowa.

Otwarcie oddziału jest bardzo przyjemne. Poznaje zespół ordynatorów. Pijemy kawę i już jest pierwsze telefoniczne zgłoszenie. Jedzie żółty

noworodek. Bardzo ważną osobą w tej początkowej pracy była doświadczona siostra oddziałowa, którą oddelegowała klinika.

Przez pierwsze trzy doby większość czasu, w tym wszystkie noce, spędziłam w szpitalu. Ale zaczyna się organizacja tej pracy. Do kliniki przyjęto dr Ewę Kordiasz, która umie wykonywać wymienne transfuzje i jest dobrym pediatrą. Dyżurujemy pod telefonem co drugą dobę. Mam jedną asystentkę, sympatyczną Rosjankę. Zaczynam szkolić lekarzy z kliniki, aby stworzyć zespół dyżurantów. Szkolenie lekarzy z regionu – to będzie następny etap.

W okresie tej początkowej pracy, na prośbę Marianowskiego, a głównie, dr Łukaszewicz zgodziłam się asystować przy pierwszej transfuzji dopłodowej po moim odejściu. I dobrze się stało, bo nie mogła trafić i ja skończyłam zabieg. Ale później ona wykonywała te przetoczenia samodzielnie.

Był tam również kompromitujący skandal, bo noworodek po leczeniu krwią w okresie płodowym, miał grupę krwi Rh(-). Pani ordynator zrobiła wielką awanturę, że niepotrzebnie uszkodzono dziecko i ono wyraźnie jest chore. A ono miało po prostu wyłącznie krwinki przetoczone, czego biedny ordynator nie wiedział. Ja jej proponowałam rozmowę przed objęciem oddziału, bo chciałam przekazać pewne specyficzne dane z jego pracy. Ale ta uczona z propozycji nie skorzystała. To była lekarka z oddziału noworodków na Czerniakowskiej.

A wszystkie te zmiany w mojej pracy dzieją się w okresie napięć politycznych w kraju. Znowu jakieś protesty robotników, ale również ruch w środowisku studenckim i włącza się do tego politycznie zaangażowana dorosła inteligencja. W sierpniu dobiegają końca strajki w Szczecinie i Gdańsku i przygotowana przez świątłych ludzi umowa z rządem zostaje podpisana. Powstaje Solidarność – związek zawodowy z politycznym zabarwieniem. I zapisuje się do niego cała Polska, bez różnic klasowych, z wyjątkiem proruskich komunistów. Są w nim wspaniali ludzie i kombinatorzy - to zwykła rzecz.

W dziekanowskim szpitalu też zapisała się większość. I to nie był tylko bunt, nie tylko żądania. To wiara w wyzwolenie narodu. I jest zapał do pracy.

Jeździmy z Janką do powiatowych szpitali, do oddziałów pediatrii i noworodków. Te noworodki wszystkie zdrowe, więc muszą chore gdzieś upychać. Poznają neonatologów, poziom ich wiedzy jest bardzo różny i różne warunki oddziałów. Najgorszy pod każdym względem jest oddział w Pułtusk. W tym zabytkowym miasteczku było przed wojną znane gimnazjum z Internatem i uczyła się tam polska inteligencja z prowincji. Przebudowują to na centrum kulturalne dla znakomitych gości z kraju i ze świata.

A oddział położniczy mieści się w zabytkowym klasztorze, który zapadł się prawie pod ziemię. To splot korytarzy i cel klasztornych, małych, z okienkami w grubym murze, tuż nad ziemią. Tu nie można przewieźć wózkiem kobiety po cięciu cesarskim. Trzeba ją przenieść na rękach. Wózek po tych zakrętach i schodkach nie przejedzie. Poziom podłogi stale się zmienia, ale ciągle niski. A poziom neonatologii właśnie taki sam. Te moje skromne noworodki na Płockiej – to był luksus. Buduje się nowe szpitale, ale te budowy ciągną się latami, nie ma powodu do pośpiechu.

A ja, poza pracą zawodową, uczestniczę w działalności Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego. W tym środowisku też się gotuje. Powstała komisja postulatowa, do której mnie wybrano i jestem członkiem zarządu oddziału warszawskiego. Przewodniczącą jest prof. Blaimowa, od lat w partii, ale ona nie szkodzi nikomu i toleruje nasze postulaty.

Są oczywiście zebrania naukowe. Przewodniczyłam na sesji wyjazdowej w szpitalu w Dziekanowie Leśnym. Nie pamiętam już tematu zebrania, ale pamiętam, że składałam życzenia świąteczne w imieniu zarządu. Była to sobota 12 grudnia 1981 roku.

W pamiętną niedzielę zasiadłam rano do pisania jakiegoś referatu, bo zbliżał się zjazd PTP. I przerwał mi to mąż. „Zostaw to, żadnego zjazdu nie będzie, jest stan wojenny. Całą górę ‘Solidarności’ internowano”.

Rano jadę do szpitala. Autobus do pętli nie dochodzi, bo na wprost szpitalnej bramy stoi wóz pancerny i żołnierze z bronią wymierzoną w ten pediatryczny obiekt. Zagrażdza dostęp do Kampinosu.

Są wojenne zarządzenia. Trzeba opróżnić część szpitala, przygotować łóżka dla rannych – jest wojna. Nasza klinika i noworodki zostają. Przy okazji rozszerzamy prowizorycznie nasz oddział. Na razie bez odnawiania i użytkowania.

Po kilku dniach straszego bałaganu dostajemy polecenie od prof. Bożkowej - to partyjna władza. Mamy jechać obie z Janką na inspekcję szpitali powiatowych. Trzeba sprawdzić, czy wszędzie działają agregaty, bo mogą być wyłączenia prądu. Tylko jeden szpital miał agregat, ale go sprzedał przed dwoma laty, bo był nie używany. A najeżdżyliśmy się za wszystkie czasy.

Powoli rozszerzamy oddział, ale te wojenne zmiany odsuwają cel naszego działania, bo są ograniczenia w komunikacji. Wygospodarowano więc pokój w internacie dla pielęgniarek i mieszkają w nim kolejni neonatolodzy, ze wszystkich oddziałów, nawet spoza województwa, jeśli były objęte opieką pediatrów z Czerniakowskiej.

Zadanie postawione przed tym dziwnym oddziałem zostaje zrealizowane. A w szpitalu na Czerniakowskiej powstaje Klinika Położnictwa CMKP. Kierować nią będzie prof. Kretowicz.

KLINIKA NEONATOLOGII CMKP I STAN WOJENNY W TLE

Dyrekcja Centrum decyduje się otworzyć Klinikę Neonatologii i powierzyć mi jej prowadzenie. Położnictwo prowadzić będzie prof. Janusz Kretowicz z Karowej. Dr Krystyna Buchar idzie na emeryturę. Planowany jest remont przed otwarciem tej placówki. W innych miastach akademickich takie kliniki już istnieją, tylko Warszawa się spóźnia.



Otwarcie Kliniki Położnictwa i Neonatologii CMKP. W środku prof. Janusz Kresowicz i ja wśród gości.

Niespodziewanie dowiaduję się, że dr Buchar ma do mnie żal, że się z nią nie porozumiałam. Dzwonię do niej i wyjaśniam, że mnie zawiadomiono, że ona kończy już pracę. Potwierdza tę decyzję i proponuje mi pokazanie oddziału. Jadę tam w jakieś popołudnie, w czasie jej dyżuru. I wtedy słyszę prośbę,

żebym była bezimiennie, jako jej gość. Ona to dobrze załatwi. Gdy weszliśmy na salę porodową, powitał mnie z radością dr Garwoliński, który szkolił się u nas w diagnostyce przedporodowej konfliktów. Prosi o jakąś radę w konkretnym przypadku. Incognito diabli wzięli, ale to nie moja wina.

Jednak z Centrum dają mi znać, że dr Buchar zmieniła zdanie i chce zostać. Planują zebranie uczelni i szpitala, w którym mamy obie uczestniczyć. W wypowiedziach szpitalnych lekarzy czuje się brak zrozumienia i życzliwości. To jest oczywiste. Ja byłam w „Solidarności”, a ona jest w partii. Padają nierealne propozycje podziału oddziału – nie do przyjęcia. Mówię, że widzę tylko jeden problem do rozstrzygnięcia, czy ma to być klinika, czy oddział szpitalny. Na oddział nie reflektuję. Ma być klinika. Ja jestem docentem, a Krysia nie ma doktoratu – tego nie omawiamy. Proponuję więc, aby pozwolono nam uzgodnić szczegóły współpracy i ona to przyjmuje. Koniec burzy, kropka.

Jestem więc kierownikiem kliniki. Lokal jest ciasny. Na położnictwie czystym bardzo duża sala i dla kilku łóżeczek mniejsze pomieszczenie. Ten dom to dawny biurowiec. Znową będą butle z tlenem. Więcej miejsca i możliwości podziałów na oddziale septycznym, ale do komfortu daleko. Brak koniecznego wyposażenia. Jest tylko dobre laboratorium analityczne i bakteriologia. Praktycznie jednak znową zaczynam organizować wszystko od początku.

Przychodzę pilnować remontu i niespodziewanie przed zamkniętymi drzwiami ze starym napisem Oddział Noworodków, zastaję kobietę z kilkuletnim chłopcem i bukietem kwiatów. To moja dawna pacjentka, jeszcze z Bielan. Nareszcie mnie znalazła. Jest w ciąży i tylko ja mam leczyć to następne dziecko. Żaden Ośrodek Konfliktów jej nie interesuje.

Dla wyrównania nastrojów jakaś głośna awantura na sepsie. Zbiegowisko personelu na korytarzu i lekarz położnik wymyśla naszej siostrze oddziałowej. Ta lekarka zajęła nasze pomieszczenie na swój gabinet, a ja zamknęłam drzwi na klucz. Załatwiam ten spór z prof. Kretowiczem – oboje nie będziemy tolerować kłótni, a nasze uzgodnienia będą obowiązujące.

Dr Buchar chce jeszcze dyżurować i ma jakieś obowiązki w dyrekcji szpitala. Mamy wspólny pokój ordynatorski. Jakoś to będzie.

I wreszcie poznaję zespół lekarzy. Nikogo nie będę zwalniać. Wszyscy mają drugi stopień specjalizacji z pediatrii, a więc sami fachowcy. Musimy tylko się poznać i przyzwycząić. Uzgadniamy, że przez dwa tygodnie będę chodzić na obchody i tylko obserwować. Dyskusja jest zawsze możliwa.

Ale raz musiałam się wtrącić, bo w tym oddziale jest wyraźny komunizm. Każdemu dziecku opieki po równo. Więc leży w kolejnym łóżeczku

noworodek, który miał w nocy transfuzję wymienną. Wskazania były i dziecko jest w dobrym stanie. Ale czy nie należy mu się więcej uwagi? Gdyby odsunąć go poza szereg, to może pielęgniarka podeszłaby trochę częściej, mogłaby zauważyć, że nie ma opatrunku na pępownie, której kikut zieje niepodkłutymi naczyniami, a pościel nie sterylna. W tym tłumie można było nie zauważyć nawet dużego krwawienia. Na ogół jednak zespół jest kompetentny, a organizacyjne sprawy powoli się załatwi.

CMKP musi mieć asystentów w klinice. Przyjęłam trzy znane mi osoby. Kasia Samborska znana od urodzenia, moja pacjentka z Płockiej. To córka lekarki, która prosiła mnie o etat stażystki dla niej. Izabella Radomska pracowała na Bielanach, odeszła na urlop macierzyński. W Instytucie Matki i Dziecka uzyskała II-gi stopień z pediatrii. Przychodziła na dyżury w Dziekanowie Leśnym. Elżbieta Niedzička też pracowała na Bielanach i w Dziekanowie, gdzie ukończyła specjalizację II stopnia i wróciła na noworodki.

Miałam więc dobrych asystentów, ale ich dorobek naukowy był zerowy. Radomska przez kilka lat pracy, w Instytucie Matki i Dziecka nie ogłosiła nawet żadnego przypadku. Nie było tam chyba dbałości o rozwój naukowy lekarzy.

Zapowiadało się wszystko dobrze, ale niestety w dwa tygodnie po otwarciu kliniki zaczyna się powtórka z historii. Aresztują mi syna. W Komitecie Prymasowskim przy kościele Świętego Marcina tłum ludzi. Aresztowali pół Warszawy i wszystkich za uwolnienie Narożnika (działacz podziemia Jan Narożniak, postrzelony przez ZOMO i uwięziony, został uwolniony przez podziemie). Ale my wiemy, że to było planowane. Po trzech dniach poszukiwań Krzysztof znalazł się w Pałacu Mostowskich. To nie internowanie, to SB.

Proszę wszystkich asystentów do gabinetu i mówię im to. Chcę, żeby dowiedzieli się ode mnie. W partii jest jedna lekarka i siostra oddziałowa – jak wszystkie w szpitalu.

Nie mogę się skupić na pracy. Zamiast do domu, jeżdżę na Usynów. Tam jest dwoje moich wnuków z matką. Grześ ma cztery lata, Romek tylko kilka miesięcy. Grześ przez kilka dni nie pyta o ojca i nagle mówi: „tatus jest głupi, bo nie ma go”. Jak to wyjaśnić? Mówimy mu, że on nie może przyjść, a to niczego nie tłumaczy.

Ale solidarność w społeczeństwie istnieje. Kasjer z opery daje synowej pensję męża. To koledzy się złożyli. Nieznajoma straganiarka przyniosła koszyk jarzyn i tłumaczy, że może to dać, bo nie kupuje, ona to ma. A Krzysztof na Rakowieckiej, jakie to znajome.

Zabieram Grzesia na spacer. Tam jest piaskownica, która gromadzi maluchy. Trochę starsze dzieciaki bawią się w dziwny berek, czy w chowanego. Hasłem jest okrzyk „wrona jedzie” i wszyscy biegną się schować (WRON - Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego). Tego się malec nasłuchał.

Któregoś dnia zastaję w tym ursynowkim domu milicjanta. Coś notuje. Ucieszył się na mój widok, zaraz zapisze moje dane. Ale ja nie będę z nim rozmawiać. A Grześ prosi – babciu, na spacer. Zaraz pójdziemy, mówię, bo pan już wychodzi. A Grześ na to: „pan milicjant jest głupi”. „Nie mów tak, to jest niegrzecznie”. I padają historyczne słowa „Pan milicjant jest głupi, on się ożenił z Wroną”. Taka orientacja polityczna, w tak młodym wieku – no, no. Milicjant zmył się szybko.

Planuję jakieś kursy z neonatologii. W klinice nic się ważnego nie dzieje. Nawiązuję kontakt z serologami w Instytucie Hematologii. Mój dawny zespół pracuje dla Marianowskiego. Brak mi dr Frankowskiej, ona chorowała i poszła na emeryturę. Mam z nią tylko kontakty osobiste, najczęściej telefoniczne. Ona nie wykazywała chęci do spotkań, ale to ja w tym politycznym zagonieniu zaniedbałam tę przyjaźń i jest mi przykro.

Brak mi impulsu do pracy. Niepokój o Krzyśka dominuje w moim obecnym życiu. Mój mąż, oficjalnie bezrobotny (tylko nieliczne prace zlecane), ma kontakt z adwokatem.

Dzień przed wigilią wiozę paczkę do więzienia. Tam tłum ludzi – to inteligencja polska. Załatwiają wszystkich sprawnie i życzliwie. Można nawet uzyskać widzenie. Ale ja nie chcę widzieć syna w więzieniu, dość się napatrzyłam na ojca. Ta paczka to sygnał, że o nim pamiętamy.

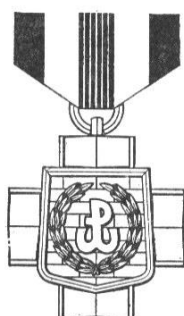
Wkrótce dostajemy wiadomość, że Krzysztof jest w Łodzi w szpitalu. Prowadzi go jakaś kobieta, oczywiście partyjna. Jadę do Łodzi. Znowu dają mi obiad w szpitalu. Krzysztof nie jest zamknięty, chodzi po całym terenie i dbają o niego. Rozmowa z tą lekarką życzliwa. Mówię jej, że Grześ stale pyta, czy tatuś jest pod ziemią. On myli więzienie ze śmiercią. Tu się dzieci nie wprowadza, ale ona sama proponuje, żeby z nim przyjechać w niedzielę. Zostawi klucz do swego gabinetu. I pojechali. Dzieciak początkowo nieufny, jakoś się pozbierał. Niech ta wzmianka we wspomnieniach będzie podziękowaniem dla tej lekarki.

I odbył się proces – farsa. Bo o co? O to, że jeden pacjent bez wypisu opuścił szpital (Jan Narożniak został wywieziony przez podziemie ze szpitala, gdzie umieszczono go po postrzeleniu). To była ich kompromitacja. Pięciu zdrowych byków z ZOMO, nie upilnowało jednego postrzelonego po operacji,

który nie mógł chodzić. A wywiad w tym szpitalu też chłopcy z podziemia mieli lepszy niż milicja.

Dup.

**LEGITYMACJA
KRZYŻA ARMII KRAJOWEJ**



Nr. 15916.....

Nazwisko ŁOZIŃSKA-ZACZKOWSKA.....

Imię Danuta.....

Pseudonim "Danka".....

Przydział SANITAR.ŁACZN.I.OBW.

POWSTANIE WARSZAWA.....

Odnaczony został

KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ

ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku przez dowódcę A. K. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku Żołnierza Polski Podziemnej w latach

1939 — 1945

Przewodniczący

Podpis:

Komisji Krzyża

M. Mandziara "Słwy"

Londyn, dnia 17.2.76.....

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

LEGITYMACJA Nr 31021.....

Stopień imię, nazwiskoSZER.....

ŁOZIŃSKA-ZACZKOWSKA DANUTA
ps. "DANKA"

Oddział AK.....

Odnaczony został po raz 1,2,3 i 4

Medalem Wojska

Podstawa: Zarządzenie Szefa Sztabu
Głównego
z dnia 1 lipca 1948

Londyn dnia 15 sierpień 1948



Legitymacje odznaczeń wojskowych
wystawione przez Rząd Polski w Londynie
przemyczone przez granicę w okresie PRL

Słuchałam tej rozprawy (zarzut w akcie oskarżenia: „akcje terrorystyczne na funkcjonariuszach Milicji Obywatelskiej”). Pani prokurator zaczęła od oskarżenia, że K. Ł. „chciał zaprowadzić swobody demokratyczne w Polsce”. A zakończyła tak: „nie udowodniono, że to oskarżony go uwolnił. Ale sąd musi wziąć po uwagę fakt, że jednak Narożniak został uwolniony.”

Wyrok półtora roku więzienia. Adwokat składa wniosek o apelację. Następnego dnia Krzysztof wraca do domu, bo wyrok jeszcze nieprawomocny. Ale coś chyba w tym komunizmie trzeszczy.

Na pocieszenie w tym stanie wojennym otrzymałam dwa odznaczenia z Polskiego Rządu w Londynie. Krzyż Armii Krajowej ustanowiony w 1966 r. przez dowódcę AK, gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, i czterokrotny Medal Wojska za 4 lata służby. I oni wszystko w tym Londynie o mnie wiedzą, jest imię, dwa nazwiska i pseudonim. Porównajmy to z dokumentem przysłanym mi przez rząd PRL. To zawiadomienie, że obywatel D. Łozińska w 1974 r. została odznaczona Krzyżem Walecznych za walki z Niemcami w okresie 1939—1945 przez „kompetentne władze”. Ja w tym okresie miałam tylko pierwsze nazwisko, bo nawet nie znałam jeszcze przyszłego męża. A dla mnie ważny jest ten prawdziwy dokument z podpisem Radwana, choć to tylko przedstawienie do odznaczenia, ale prawdziwe i to cenię.

Te londyńskie legitymacje otrzymałam w prywatnych mieszkaniach u Bańkowskich i u Janki Borkowskiej. A tych orderów nikt mi nigdy nie wręczał, bo takie były czasy. Ale Polak wszystko potrafi. Jak całe kombatanckie środowisko, kupiłam te trzy miniaturki orderów u jubilera na Nowym Świecie. Przypinało się je do bluzki raz w roku, pierwszego sierpnia, na Wojskowych Powązkach. Zakładało się również opaskę ze znakiem AK i to była manifestacja przeciw ówczesnej władzy. Teraz leżą te miniaturki w szufladzie mojego biurka i może będą historyczną pamiątką dla moich wnuków.

A gdy już była niepodległa Polska to powstał Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej i otrzymałam uroczyście wręczone odznaczenie Warszawskim Krzyżem Powstańczym. Podpisał Prezydent RP Lech Wałęsa.

Ale wracamy do medycyny. W CMKP, jak w każdej klinice, była praca zawodowa, szkoleniowa i naukowa. Była dobra współpraca całego zespołu. Położnicy prof. Kretowicz, doc. Miedzińska i doc. Ewa Dmucha zajmowali się problemami gestozy oraz zaburzeniami funkcji tarczycy. I pediatrzy włączyli się w ich badania. Tematem współpracy z hematologami była małopłytkowość matki i noworodka z doc. Żupańską i dr Maślanką.



Janka Borkowska z miniaturami orderów i ja z opaską AK wśród mieszkańców Bielania, przed witrażem po mszy w rocznicę powstania.

Ja otrzymałam w prezencie od firmy aparat do plazmaferezy i wprowadziliśmy takie leczenie w wybranych przypadkach konfliktu serologicznego. Wykazaliśmy, że plazmafereza u matki może zmniejszyć zagrożenie życia płodu, choć na ogół nie jest to wystarczające. Najczęściej poprzedzało ono leczenie krwią.

Muszę też wspomnieć o mojej indywidualnej pracy: „The Impact of Intrauterine Transfusions on Morphological Picture of Red Cells In Rh Incompatibility”. To był pierwszy sygnał, że po tych transfuzjach krew noworodków składa się z dwóch populacji erytrocytów i ta mieszanina nie odzwierciedla rzeczywistego obrazu krwinek dziecka.

Miałam trochę trudności z utworzeniem dobrego zespołu położniczo-noworodkowego do wykonywania transfuzji do płodu. Ale jakoś tam było.

I były oczywiście różne zjazdy i konferencje. Miło wspominałam zjazd w okolicach Białegostoku, na którym referowałam problemy termoregulacji noworodków. Byłam tam z Izą Radomską i prof. Kretowiczem. Wieczorem było ognisko w prawdziwej puszczy i świetna atmosfera. A ja o mało się w tym lesie nie zgubiłam, wśród odjeżdżających bryczek i nawoływań. Ale żyję.

Gdy stan wojenny został zawieszony (nazywano go stanem wisielczym), pozwolono na zjazd pediatrów w Warszawie, opóźniony o kilka lat. Przyznano wtedy odznaczenia państwowe, według uznania zarządu towarzystwa. Ja byłam w tym zarządzie, ale ordery mnie nie interesowały. Lecz moja asystentka szpitalna, dr Halina Rumkiewicz, oznajmiła na zebraniu, że ja nie mam żadnych państwowych odznaczeń i kazała mi potem chodzić po jakiś podpis do sekretarza partii. Ja do partii nie należałam i nigdzie nie poszłam. Na otwarciu zjazdu okazało się, że jest dla mnie order i przypięli mi go do bluzki. Złoty Krzyż Zasługi. A było to latem i ja nie miałam palta, a wstydziłam się wyjść z tym na ulicę. Znalazłam przyjazną duszę, która odpięła mi tę zdobycz. To była bezczelność, aby PRL dała mi order w kilka miesięcy po wypuszczeniu mojego syna z więzienia, bo polityczny wyrok półtora roku był jeszcze nieprawomocny i apelacja miała się jeszcze odbyć.

Ten zjazd był okropny. Nie dali nam żadnej wystarczająco dużej sali. Obrady odbywały się w kilku miejscach. Ja miałam prowadzić dyskusję o zakażeniach u noworodków w Instytucie Matki i Dziecka. I tu przygotowano tylko małą salę. Liczono może na małą frekwencję, a przyszło pół Polski. Nie zmieściliśmy się. Było zamieszanie i przeprowadzka na dużą konferencyjną. To miał być okrągły stół. A tu mównica dla jednej osoby, nie ma stołu dla dyskutantów. Ja sama na mównicy, a dyskutanci w pierwszym rzędzie tyłem do uczestników. Wiele osób z sali zabierało głos, bo chcieli zaistnieć. Wspominałam to jak ciężką pracę.

W 1986 r. ogłosiłam w Tygodniku Lekarskim opracowanie: „Transfuzje dopłodowe w konflikcie Rh. Ocena po 16 latach stosowania”. Uratowano 73 % leczonych noworodków i rozwój ich był dobry.

Niespodziewanie właśnie ta praca wywołała burzę na zjeździe we Wrocławiu. A był to zjazd uroczysty, z okazji trzydziestolecia pierwszej transfuzji wymiennej w tym mieście, a może i w kraju, chociaż w Warszawie takie zabiegi robiła już dr Glińska w szpitalu na Solcu w 1952 roku.

Wprowadzenie w historię konfliktów wygłosili prof. Woytoń – położnik i neonatolog dr Gajewska. Potem został uhonorowany położnik, który ten zabieg wykonał, a kwiaty wręczyła mu ta pierwsza pacjentka, która też jest

neonatologiem. I ona też dostała kwiaty. No to kolej na mnie, bo ja pierwsza leczyłam w Polsce płód. Bukiet był wspaniały, czyli wszystko uroczyście.

Po przerwie miała rozpocząć się dyskusja i sala była pełna już 15 minut przed wyznaczonym czasem. Prof. Zbigniew Słomko z Poznania zaproponował, że przedstawi wyniki pracy swojej kliniki, co nie było w programie, aby czymś ten czas wypełnić. I tu nastąpił atak. On przeczytał to moje doniesienie i nie jest usatysfakcjonowany. W Poznaniu nie trzeba leczyć płodów, bo dr Twarowska uratowała dwoje dzieci z obrzękiem uogólnionym. Nie mogłam na to nie zareagować. Pokazałam slajd z moimi wynikami i podkreśliłam fakt, że obrzęk ma różne nasilenie. W najcięższych przypadkach język wypełnia jamę ustną, nie widać wejścia do krtani, tam nie ma wolnej przestrzeni. Dlatego tam nie można włożyć rurki, bo nie ma dziurki. Był wybuch śmiechu i brawa. A ja dodałam, że podziwiam ich sukces, bo jak widać uratowanie dwóch noworodków w tej klinice, to musi być sukces. Znów śmiech i brawa.

A ktoś z prezydium mówi, że chyba jest jakiś konflikt między Poznaniem i Warszawą, ja zaprzeczam. A Słomko mówi: „ja naprawdę bardzo lubię dr Łozińską i mam w Warszawie ciocię Łozińską. Może my jesteśmy nawet spokrewnieni.” Ogólne brawa i śmiech zakończyły tę oryginalną dyskusję. Wieczorem na bankiecie delegacja położników przyniosła mi drugi bukiet kwiatów. Nareszcie ktoś pokonał Słomkę, który wszystkich się czepiał.

Ale nie czułam się zwyciężcą w tym sporze, bo on nie miał znaczenia. I mimo słów uznania, jakich mi nie szczędzono, nie czułam po tym jubileuszu specjalnej radości. Bo naprawdę, co w tych naszych poczynaniach było niezwykłego? Myśmy się tylko zamienili rolami. Położnik leczył dziecko a pediatra płód. Ale żadne z nas nie wymyśliło tej metody leczenia. To było tylko zastosowanie osiągnięć medycyny uzyskanych w wolnym świecie. A radość sprawia to, co samemu się odkryje – to jest radość twórcza. Oczywiście codzienna praca lekarska jest pożyteczna i gdy popełnia się mało błędów, też cieszy. Ale tego nikt nie nagradza. Wracając do prof. Słomki, to po kilku miesiącach prowadziliśmy razem jakąś zjazdową dyskusję i było wzorowo.

Ale raz odniosłam zwycięstwo na zjeździe lekarskim. To było w Świnoujściu – temat: intensywna terapia. Nie miałam referatu, ale na bankiecie posadzili mnie między osobistościami. Moim towarzyszem przy stole i kieliszku był specjalista krajowy w dziedzinie anestezjologii i intensywnej terapii- prof. Tadeusz Szreter. Ja mu już dawno mówiłam, że ratowanie noworodków w specjalistycznych oddziałach jest spóźnione, mózg nie wytrzymuje długiego niedotlenienia. Więc przy tym kieliszku powiedziałam mu: „Niech pan nie skreśla oddziałom noworodkowym zapotrzebowania na

respiratory. Jak będzie sprzęt, to nauczymy się go używać”. I to było zwycięstwo. On napisał na bibułkowej serwetce dokładnie, jakie respiratory zamówić. Wreszcie zakupiono je dla noworodków w Warszawie. I profesor pokazał na zebraniu neonatologów, jak je używać. To był początek poprawy, zwycięstwo.

Wszelkich zjazdów było wiele, ale zdarzały się indywidualne spotkania dydaktyczne. Moja dawna asystentka, dr Grodzicka, zaprosiła mnie na wykład do Gdańska na zebranie Towarzystwa Pediatrycznego. Temat – konflikty serologiczne. Do Gdańska dojechałam samotnie i spokojnie. Ale wysiadając z pociągu spotkałam prof. Marianowskiego. On – obecny kierownik Ośrodka Konfliktów, był też zaproszony. Oboje o tym nie wiedzieliśmy, a to komplikowało nasze wystąpienia. zaproponowałam, żeby mówił pierwszy, a ja się potem dostosuję.

Pokazano nam plac przed bramą stoczni, z pomnikiem. Ale brama zamknięta, jakby już stoczni nie było, pusto, smutno. Ale był i komentarz - że liczba ofiar była większa niż podają władze.

Po referacie pana M. miałam jeszcze wiele do powiedzenia. I chyba było dobrze. Ale pan profesor postanowił mnie zagiąć. Stwierdził, że nie jest dotychczas znana przyczyna obecności przeciwciał anti- Rh w surowicy ciężarnych, gdy płód ma grupę Rh(-). Może doc. Łozińska to wyjaśni. Więc wyjaśniłam, że przeciwciała te bywają tylko w przypadkach, gdy kobieta była już uodporniona przed tą ciążą. Osiągają one często duże stężenie, ale nie łączą się z Rh(-) krwinkami dziecka i nie uszkadzają ich. Zjawisko to nazwano Pamięcią Immunologiczną. Ciąża powoduje ponowną produkcję przeciwciał, bo płód jest ciałem obcym dla matki i pobudza reakcje immunologiczne. Ten Marianowski grał mi na nerwach.

Już po emeryturze byłam na jubileuszowym zjeździe Kliniki Neonatologii w Katowicach. Niestety byłam jedynym pediatrą ze starej generacji. Ta reszta była zbyt zajęta, aby się pofatygować. Nie przysłali nawet swoich przedstawicieli. To było przykre dla Róży. Ona przeszła na emeryturę i już ją skreślili.

Ja mówiłam o nauczaniu neonatologii i trochę różnych wspomnień. Ciekawy był referat z genetyki z Instytutu Matki i Dziecka. I było dużo o wadach rozwojowych. To była długa wyliczanka z dokumentacją fotograficzną, nawet z fotografią budynku uczelni i dyrekcji z Łodzi. Najciekawsza była dyskusja o problemach etycznych, ale było aż trzech biskupów, dwóch genetyków i zero neonatologów, bo zawiedli. A potem na obiedzie honorowych gości ktoś powiedział: „nie wiedziałem, że prof. X ma wady rozwojowe”. Było

ogólne zdziwienie i komentarz: „przecież pokazali jego fotografie aż dwa razy w tym referacie”.



Symposium Neonatologiczne w 1993 roku. Ja w gronie organizatorów i gości.

We wrześniu 1992 r. był zjazd pediatrów w Lublinie, na który wyjątkowo się nie zgłosiłam. Zaskoczyła mnie wiadomość, że mam zostać członkiem honorowym PTP. Pojechałam z Izą Radomską, ale nie było rezerwacji hotelu. Jedyne wolne miejsce było w hotelu Wojska Polskiego. To był bardzo skromny hotel. Było już zimno, a okno się nie zamykało. Ale był bufet. Poszliśmy na śniadanie. Do konsumpcji był mały wybór. Piwo lub czysta monopolowa. Było więc chłodno i głodno. Ale wręczenie dyplomów było uroczyste. I tylko to się liczy.

We wrześniu 1993r odbyło się ostatnie organizowane przeze mnie symposium neonatologiczne w Warszawie. Byłam już trzy lata po emeryturze. Temat: Problemy Hematologiczne w Neonatologii. Komitet naukowy w składzie: Danuta Łozińska, Halina Seifriedowa, Ewa Dmoch, Elżbieta

Gajewska, Izabella Radomska. Pomagały wszystkie asystentki z kliniki i dr Krystyna Jezierska – ordynator oddziału noworodków szpitala Bródnowskiego. Obrady w gmachu CMKP, a reszta obsługi zjazdu po drugiej stronie ulicy w Akademii Wychowania Fizycznego. Było to bardzo wygodne, choć bez przepychu.

Gościem honorowym zjazdu była prof. Zofia Lejmbach, uroczyście witana, otrzymała kwiaty, ale była tylko na otwarciu. Dziś rozumiem to dobrze.

Były dobre referaty i ciekawa dyskusja. Był duży udział zespołu Instytutu Hematologii. Bardzo skromnie reprezentowała się klinika z Poznania. Podobno gdzieś wyjechali, ale to było dla nich typowe. Mało udzielali się poza swoją kliniką. Cenili zjazdy zaproszonych nielicznych gości u siebie, z tradycyjnym udziałem prof. Jen-Tien-Wung, Chińczyka z Nowego Jorku. Irka Twarowska miała bliską rodzinę w polskim rządzie w Londynie. To ułatwiało jej i całej klinice studia zagraniczne. Ale większość neonatologów miała bardzo ograniczone możliwości wyjazdów, a na nich opierała się opieka nad polskim noworodkiem. I teraz też był jeden referat z Poznania, wygłoszony przez bardzo młodą lekarzkę, która nie mogła udźwignąć dyskusji. Stare wygi ją pokonały, aż mi jej było żal.

Gdy wydrukowano pamiętnik tego zjazdu, jako suplement Przeglądu Pediatricznego, to okazało się, że zmieniono kolejność publikacji. Pierwsze były dwie prace z Łodzi, a moje wystąpienie dopiero na 31-ej stronie. A to było wprowadzenie w tematykę zjazdu na jego otwarciu. To nie pasowało do oryginalnych opracowań. Ale to było typowe posunięcie redaktora tego pisma. My z Łodzi najważniejsi.

MÓJ DOM



Mój dom był przystanią dla koleżanek z innych miast, jeśli nie miały rodziny w Warszawie. Miodowa 20 - to stało się hasłem, tu spotykałyśmy się nieoficjalnie. Mój dom był pełen książek, różnych: literatura, kultura, sztuka i medycyna. Ale porządku w tym nie ma, bo jest tego za wiele.

Gdy Irka Twarowska nocowała u mnie pierwszy raz, powiedziała rano: „sięgnęłam po książkę w twoim pokoju, chciałam się dowiedzieć, co czytasz. To było „Pieczenie Ciast.” A ja nigdy ciasta nie upiekłam.

Jurek z wnukiem Grzesiem w stroju przywiezionym mu z Indii przez ojca.

Ale z Wałą Iwoszko-Krawczuk było naukowo. Nie spała całą noc, bo znalazła taką wspaniałą książkę na moim biurku. Neonatologia Avery-ego, najnowsze wydanie. Miałam już poprzednie, kupione na targach książki, ale musiałam zostawić w Dziekanowie, bo była własnością szpitala i Jance też się przydała. Ta była zamówionym prezentem. Kupił ją w Nowym Jorku prof. Ryszard Moor-Jankowski. To był kolega szkolny Jurka. Ukrywał się u niego, gdy uciekł w czasie likwidacji getta w Częstochowie. On jest profesorem medycyny w Nowym Jorku i ma tam wytwórnię szczepionek. Ale Polska go ciągnie, ma tu rodzinę. Jurek zaprojektował dla jego syna dom w Częstochowie.



A Wala czytała tę książkę i notowała przez całą noc. I dzwoni z Białegostoku, żebym jej przysłała jakieś pozycje piśmiennictwa. Wysłałam jej, a ona znów dzwoni, że z niej zakpiłam, bo to są jej prace. Nie przeczytała autorów i nie pomyślała, że mogą ją cytować.

Małżeński toast

Gajewska miała kuzyna w Warszawie, ale raz on coś zmienił w zamku i klucze nie pasują, więc prosi o pomoc. Mój dam jest niezawodną przystanią.

Mój dom gromadził również kombatantów z powstania. Nie lubię tego słowa, ale to są przyjaciele na całe życie. Coroczne spotkania były zwykle u Bańkowskich, ale w 25 rocznicę był zjazd z całej Polski, a nawet spoza jej obecnych granic. Był na Miodowej. Kulinarną atrakcją był węgorz z wodospadu Tywy. Uwędził go dla nas Janusz, mąż mojej córki, Magdy. Dziś tych przyjaciół z powstania jest tylko mała garstka, ale niektórzy jeszcze mnie odwiedzają.

Ale skąd ten węgorz? Niespodziewanie w naszej rodzinie pojawił się młyn. Warto porównać dwa okresy jego działania. Opiszę tę rodzinną historię.

Młyn – wiek XX.

Magda studiowała architekturę w Szczecinie i tam poznała swojego męża. To Janusz, z zawodu rybak, tenor w chórze Politechniki Szczecińskiej. Oglądał ryby pod mikroskopem i znudził się tę pseudonaukową pracą. Zwiedził świat z chórem i dodatkowo Amerykę jako rybak. I kupił młyn od PGR-u i nieuprawianą ziemię za grosze.

Młyńskie Koło pękło, to koniec młyna, więc sprzedali. Mieszkały w nim trzy rodziny. Z młyna sypał się tynk, na schodach wisiały nietoperze głową w dół. Wodę czerpali z rzeki i nie było elektryczności. A elektrownia Dolna Odra oddalona tylko o 9 km. Tylko linii nie było. Dokoła pokrzywy i komary.

Mała rzeczka Tywa płynie do Odry i wodospad przy młynie szumi i bulgocze.



Magda z mężem Januszem i psem Matyldą

A ten rybak przyjechał tu na pożyczonym rowerze i pierwszą łódkę też miał pożyczoną.

Młyn – wiek XXI.

Odkopana studnia zaopatruje w wodę do dziś. Po trzech miesiącach od kupna zabłysło elektryczne światło. Wykopano stawy rybne na wielu hektarach nieuprawianej ziemi. Kończy się remont młyna. To zabytek z XVI ego wieku. Są już pokoje mieszkalne z łazienkami i dwie sale w tej młyńskiej części. Są bardzo oryginalne, bo pozostały tam elementy stare i dobrze dobrana nowoczesność.

Nad stawami stanowiska łowieckie, dla amatorów tego sportu. Dobiega końca montowanie elektrowni wodnej. Prąd popłynie do elektrowni.

Tak wygląda porównanie gospodarki komunistycznej z normalną, współczesną.



Sabcia z wnukami Joasiq i Michałem w styczniu 1995 roku.

A żeby było śmieszniej, to ten młyn był w Mielenku, ale władza zmieniła nazwę. Mielonko, to tylko pobliska wioska, a gospodarstwo z młynem - to Osuch. A ten rybak terenu nie osuszył, bo zbudował stawy, których nie było. Ta zmiana nazwy symbolizuje głupotę systemu.

A w warszawskim domu stale gwarno. Zmienia się trochę grono przyjaciół, ale stare wygi z medycyny i ze sztuki są w nim stale. Mój mąż uczestniczył w życiu artystycznym stolicy. Często współpracował z plastykami, prowadził jakieś zajęcia ze studentami w Akademii Sztuk Pięknych. Bywaliśmy więc stale na różnych wystawach. Jedną z pierwszych wystaw awangardowego malarstwa pokazała grupa 55 (Bogusz i inni). Przez długi okres byliśmy zapraszani na wernisaże w salach wystawowych opery warszawskiej. Spotykało



się tam całą śmietankę artystyczną. Ale w okresie któregoś ze wstrząsów politycznych zawieszono działalność tej galerii. Wkrótce po śmierci Bogusza (lata osiemdziesiąte), była wystawa jego obrazów w kawiarni na Krakowskim Przedmieściu, z rysem historycznym i żywą dyskusją.

Po kilku latach w galerii Krzywe Koło znów indywidualna wystawa Mariana Bogusza. I tę wspominam smutno. Byliśmy prawie jedynymi widzami. Piliśmy wino z kustoszem tego przybytku i o czym było tu mówić, gdy większość wypożyczonych obrazów była z naszego domu. To był koniec jakiejś epoki.

Z Magdą, jej mężem Januszem i moimi wnukami: Izą i Tomkiem

Ostatni wernisaż, na którym byłam jeszcze z Jurkiem, był podsumowaniem twórczości Jacka Siennickiego. On też należał do naszych przyjaciół. Ale ta wystawa była już w prywatnej galerii sióstr Alicji i Bożeny Wahl w willi na Żoliborzu. Podobały mi się zawsze obrazy z cyklu „Postacie”: i wnętrza pracowni malarskich. One miały indywidualny styl tego twórcy. Spotkałam tam mało starych znajomych. I ten artysta też już odszedł.

A w naszym domu stale dziwne rzeczy się działy. W czasie poprzedzającym stan wojenny Jurek otrzymał propozycję zorganizowania pracowni architektury przy Ministerstwie Kultury. Miano tam projektować różne muzea, teatry itp. - to było kuszące. Zwolniono go szybko z pracy, aby dać tę szansę. Ale wojna jest wojną. Tej pracowni nie będzie, a o powrocie do poprzedniej nie ma mowy. Mam więc bezrobotnego męża.



Z Magdą, Krzysztofem i wnukami – Grzesiem i Romkiem w 1999 roku.

Projektował on poprzednio zespół szkoleniowo-rehabilitacyjny dla gruźlików w Otwocku. Ten obiekt był nagrodzony jako najlepszy projekt roku w województwie. On i konstruktor (nazwiska nie pamiętam) otrzymali nagrody i w Życiu Warszawy ukazał się artykuł z fotografią tej szkoły. Ale jedyne wymienione nazwisko należało do fotografa. Autorzy projektu nie byli w partii. W tym sanatorium pamiętano jednak o Jurku. Na wieść, jak go urządzono, zamówiono następny projekt. Na ogrodzenie terenu. To była farsa. Z góry zakładano, że ten płot będzie z gotowych elementów używanych na kolei. Trzeba było tylko zaznaczyć gdzie będzie brama. To miało być tanio. Ale zapłata za projekt liczona była od kilometra. I to był duży projekt, na papierze zajmował pół podłogi największego pokoju. I to było ważne. Nawet nasz pies omijał to miejsce, czuł, że z tego będzie żyć rodzina. Pomoc społeczna dla krzywdzonych ludzi była tak duża, jak głupota ustroju.

Mój mąż dostawał też różne drobne zlecenia od kolegów. W ostatnich latach zaprojektował kilka ładnych willi na obrzeżach Warszawy. O oficjalnej pracy nie było mowy.

Jurek był palaczem i miał już kiepskie płuca. Wystarano się o rentę, aby doczekał do emerytury. Ale zdrowie było marne. Zmarł w 1999 r. A ja żyję. Samotność jest główną klęską starości.

Rajzbret Jurka nie służy już do kreślenia architektury. Zastawiony jest komputerem z różnymi przystawkami, których nie umiem nawet nazwać. Bo mój syn, wbrew wykształceniu, jest teraz dziennikarzem.

Mam czworo wnuków. Wszyscy mówią po angielsku, ale tylko Tomek studiuje Amerykanistykę w Poznaniu. Iza w Szczecinie, jest na Architekturze Wnętrz, a warszawiacy próbują działać w grafice komputerowej.

Oni są w XXI wieku, ja zostałam w XX-tym, chociaż piszę to wszystko na komputerze.

DOKTORATY

Gdy byłam już docentem, to powierzano mi liczne recenzje i doktoraty. Większość tych prac była poprawna, niektóre ciekawe lub kiepskie. Ale otrzymać tytuł naukowy było łatwo. Opisałam krytycznie własną pracę doktorską, ale nie była ona całkiem zła. Natomiast wspomnienie egzaminu doktorskiego, mówiło coś o epoce, atmosferze i ludziach.

Musiałam zdać filozofię. To była era, w której marksizm nie był już jedyną prawdziwą wiedzą. Ale to nie ułatwiało sprawy, bo do tego były skrypty i można było coś wykuć. Prawdziwa filozofia, to były liczne dzieła, to trzeba było studiować. Poszłam więc na ten egzamin z zerową wiedzą i świadomością, że to zaliczają.

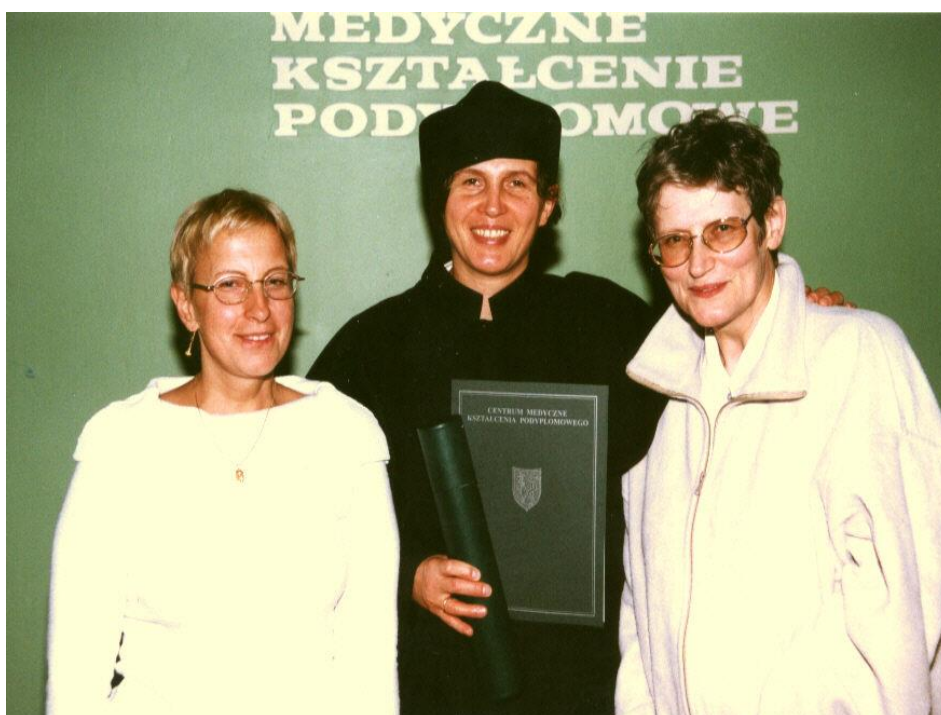
Nazwiska profesora nie pamiętam. On starał się być postępowy. O coś pytał i ja coś mówiłam, nie wiem czy na temat. I raptem: „Co pani myśli o filozofii Sartre’a”? Bomba. Więc mówię, że mi przykro, że pana profesora fatyguję, ale filozofia to duża dziedzina, której ja nie studiuje. Więc co mogę myśleć o filozofii Sartre’a, gdy ja o tym uczonym w ogóle nie myślę? Zaliczył mi.

Końcowy egzamin z przedmiotu zdawałam w dziekanacie. Było sympatycznie – sami swoi: Bulska, Kanabusowa, Kobierska i Wilkoszewski. Przewodniczący doc. Szczepański. Ten pokój był przedzielony półkami książek, ale nie szczelnie. Gdy wyszłam za tę szafę słyszałam, że się o coś spierali, potem był śmiech i poprosili mnie. I Bulska mówi: „pani Danusiu, mieliśmy z panią kłopot, bo miała pani trójkę z filozofii”. Ja na to, że było to moje największe zwycięstwo.

Gdy wyszliśmy całą grupą na ulicę, spytałam o ten spór. A bo przewodniczący nie chciał postawić piątki z całości egzaminu, bo ta trójka zaniżała średnią arytmetyczną. Ale prof. Wilkoszewski powiedział, że my z przedmiotu nie daliśmy piątki, tylko siódemkę i średnia jest pięć.

Ale te doktoraty różne bywały. Raz był straszny ubaw. To była praca położnika z małego miasteczka. Obserwacje zdrowia ciężarnych i wpływ warunków życia na nie i na los noworodków. O tych noworodkach były straszne bzdury i dałam mu spis, co ma poprawić, ale tego nie zrobił. A promotor z naszej kliniki mówi, że ta praca musi przejść. Na obronie czytamy recenzje. Ja piszę, że część noworodkowa zawiera pewne nieścisłości, ale część socjologiczna jest bardzo dobra i to kwalifikuje pracę do zatwierdzenia. A drugi recenzent, socjolog, czyta, że opracowanie socjologiczne jest złe, ale ta świetna neonatologia kwalifikuje pracę do zatwierdzenia. Istne kino. Wszyscy głosowali za.

W 1991 r., gdy szłam na emeryturę, zostawiłam klinikę Izie Radomskiej. Uzyskała ona tytuł doktora medycyny na podstawie pracy: „Wpływ plazmaferez leczniczych stosowanych u kobiet ciężarnych z konfliktem Rh na przebieg Choroby Hemolitycznej Płodu i Noworodka”. Byłam oczywiście promotorem tej pracy. Dr Radomska przedstawiła ją również w sesji plakatowej na zjeździe w Lyonie.



Małgosia Kępińska z doktoratem, Iza Radomska i Kasia Samborska

I była to jedyna praca doktorska z mojej kliniki. Prowadziłam ją tylko przez ostatnich osiem lat mojej zawodowej pracy. Żadna z moich asystentek nie miała dorobku naukowego, gdy zaczynała u mnie pracować. Niestety placówki naukowe muszą długo wypracowywać ten dorobek. Potem miałam jeszcze kontakt z asystentkami i mam go do dziś.

Ale tematyka chorób krwi żyła dalej w tej klinice. Miałam więc jako leciwa starszka prowadzić jeszcze jeden doktorat, lekarza Małgorzaty Kępińskiej. Ona pracowała w klinice przez ostatnie trzy lata mojej pracy.

W konflikcie serologicznym tak wiele się zmieniło. Dzięki leczeniu płodów ciężar zagrożenia przesunął się na coraz dalsze okresy życia. Erytoblastoza płodowa – to pierwsza historyczna nazwa. Zawierała w tym sformułowaniu zarówno proces hemolizy, jak i twórczą obronę płodu. Później była to nazwa bardziej ogólna: choroba hemolityczna noworodków (ChHN), bo transfuze dopłodowe zmieniły jej przebieg. Dzieci rzadko rodziły się z ciężką niedokrwistością. A w latach ostatnich pojawił się problem przedłużającej się anemii i próby leczenia jej erytropoetyną EPO.

I ten ostatni problem stanowił rozważania w pracy doktorskiej Małgorzaty Kępińskiej: „Mechanizmy niedokrwistości w pierwszym kwartale życia u niemowląt z Chorobą Hemolityczną”.

Autorka wykazała, że w ChHN nie ma niedoboru EPO. Udowodniła, że niedokrwistość w końcu pierwszego kwartału życia nie zależy od słabej odnowy krwinek, ale przede wszystkim od intensywności hemolizy. A ta jest proporcjonalna do stężenia przeciwciał w surowicy płodu i noworodka. Udowodniła, że stosowanie egzogennej EPO nie ma uzasadnienia, gdy w surowicy dziecka są przeciwciała powodujące rozpad zarówno dojrzałych, jak i młodych krwinek. Zwróciła też uwagę na fakt, że badanie retikulocytozy w całości krwinek czerwonych daje mylny wynik, bo to jest mieszanina krwi własnej i przetoczonej. Większość zwolenników leczenia egzogenną EPO nie bierze pod uwagę faktu, że w krwi konserwowanej nie ma retikulocytów, stąd ich pozorny niedobór.

Ta praca została dobrze oceniona w czasie obrony, ale jej autorka straciła pracę w Klinice Neonatologii CMKP, na wniosek nowego jej kierownika.

PODRĘCZNIKI

W 1970 r. otrzymałam od prof. Zofii Leymbach propozycję napisania rozdziału „Zaburzenia oddechowe u noworodków” w podręczniku „Choroby układu oddechowego wieku dziecięcego” pod jej i Haliny Przybylskiej redakcją. Zostało to wydane przez PZWL w 1971 r.

Byłam tym bardzo przejęta. Podręcznik lekarski i ja, autor, niesłychane. Złożyłam maszynopis w terminie i przyszedłam na zebranie redakcyjne. A tu niespodziewana burza. Pani profesor, zwykle tak opanowana, łagodna, ruga wszystkich autorów, bo część nie oddała tekstów w terminie. I mówi do mnie: „A pani rozdział też do niczego, miało to być napisane przystępnie, żeby można było przeczytać przed snem, do poduszki. A to jakiś skomplikowany artykuł, nie można nic pojąć. Przybylska też tego nie rozumiała”. Ale mam jutro przyjść z nią do pani profesor do domu. Pytam Przybylską o mój rozdział – mówi, że nie czytała.

No i przyszliśmy. Pani profesor uśmiechnięta, gościnnie, przygotowała podwieczorek. Czytamy ten mój elaborat. No i jest dobry, tylko ten wzór na napięcie powierzchniowe bardzo pasuje do rozdziału pani profesor, więc go oddałam. Ale gdy wyszła ta książka – to było dla mnie przeżycie. Takiego sukcesu nie przewidywałam.

W 1975 r. PZWL wydał oryginalny podręcznik Vademecum Terapii pod redakcją W. Brula. Książka, skoroszyt z wyjmowanymi kartkami. Była to koncepcja wymiany części tekstu, wraz z postępem medycyny. I chyba tego nie zrealizowano. Napisałam dwa rozdziały: „Wybrane zagadnienia z neonatologii” i drugi dodatkowo. Zaczęła go pisać moja koleżanka Barbara Dyszy-Laube, ale zachorowała i nie mogła skończyć. Była więc prośba od niej i od redakcji o pomoc. Miałam na to trzy dni czasu i napisałam: „Choroba hemolityczna noworodków”. Wyszło pod naszymi nazwiskami. Już wtedy przestałam się dziwić, że powierzają mi rozdziały w podręcznikach, choć jestem tylko dr med.

Państwowe Wydawnictwo Naukowe przygotowało Małą Encyklopedię Zdrowia, nie dla fachowców, lecz dla zwykłych ludzi. Napisałam rozdział „Noworodek”. Dwa wydania 1981 i 1983 r.

W 1982 r. wyszła „Hematologia kliniczna wieku dziecięcego” pod redakcją Marii Ochockiej. Napisałam w niej „Konflikt matczyno- płodowy”. Było też kilka wydań „Współczesnej Transfuzjologii”, pod redakcją W. Rudowskiego i S. Pawelskiego. Pisałam w nich o tematyce konfliktów serologicznych z Krystyną Frankowską, a potem z Bogumiłą Lenkiewicz.

Największy problem był z napisaniem podręcznika neonatologii. Zaproponowałam koleżankom i zgodziły się pisać. Uzgodniłam to z naczelnym redaktorem PZWL. Na to konto Gajewska zaprosiła go na jakiś zjazd do Wrocławia. Nie wiedziałam, że ona uznała, że będzie redaktorem tego podręcznika. Nie mogli być nim wszyscy neonatolodzy, oni mieli go napisać. Zaprosiłam do redakcji Irkę Twarowską, bo wiedziałam, jak bardzo ambitna jest ta klinika. Oni pod inną redakcją by nie napisali, a spodziewałam się kilku autorów z ich grona.

Ale dla Gajewskiej stałam się wrogiem nr 1, co mnie zaskoczyło. Ona nie po to zaprosiła redaktora na zjazd, żebym ja redagowała tę książkę. Dla niej to był skandal, a dla mnie cała praca. Irka była trzy dni w Warszawie i przejrzałyśmy cały materiał. Poznaniacy napisali kilka rozdziałów, które wymagały głównie skracania. Ja napisałam pięć rozdziałów, a ostatnią osobą, która przysłała swój tekst, była Gajewska. Napisała „Zakażenia płodu i noworodka”. Musiała się jak wszyscy napracować. Drugi powierzony jej rozdział, na własną prośbę, napisała ze swoją asystentką. Sama ambicja nie wystarcza.

Wydanie podręcznika w 1993 r. – to było osiągnięcie. Byłam już na emeryturze, więc mogłam ten ogrom pracy wykonać. I to był ostatni sukces. Potem zaczęły się kłopoty z Centrum Zdrowia Dziecka. Za uczciwość trzeba często płacić wysoką cenę i zapłaciłam ją.

W 1995 r. wydano dwutomowy podręcznik „Pediatria”, pod redakcją B. Górnickiego, B. Dębiec i J. Baszyńskiego. Napisałam w nim z I. Radomską dwa rozdziały: „Fizjologia” i „Patologia noworodka”.

Ale koniec pracy jeszcze nie nadszedł. W 1999 r. wydano moją ostatnią monografię: „Konflikty serologiczne w perinatologii”. Wydawnictwo CMKP. Monografia ta omawiała całokształt zagadnień w zakresie krwinek czerwonych, płytek krwi i leukocytów. Napisałam to w oparciu o najnowsze piśmiennictwo. Ale nie byłam tak odważna, jak pracownicy CZD. Ja, emeryt, chciałam uzyskać fachową recenzję od specjalisty w tej dziedzinie. To była ustna recenzja i nikt jej nie wymagał. Dałam to do przeczytania Halinie Seyfiedowej. Nie znalazła błędów, ale uściśliła niektóre sformułowania z dziedziny transfuzjologii i profilaktyki. Pisała właśnie recenzję przepisów transfuzjologicznych, przysłanych jej przez Unię Europejską i przejrzałyśmy je razem.

No i złożyłam to w redakcji CMKP. Ale profesor-redaktor zapomniał dać mi ją do korekty. Znalazłam liczne błędy w wydany już egzemplarzu. Ktoś robiący ten skład miał kłopoty z obsługą komputera. Jak mu zabrakło jakiejś litery, to zastępował ją inną w używanym alfabecie. Ale to był tekst z

medycyny, a nie bajka dla dzieci. I na przykład gęstość optyczna płynu owodniowego wyrażona została w metrach, a nie poprawnie w milimikronach. To były absurdy.

Odkryłam również, że ta monografia nie ma autora, tylko jest wydana pod moją redakcją. To tak, jakbym ją komuś ukradła, zatajając nazwisko. Nie mogłam na to pozwolić.

Dyrektor administracyjny CMKP zgodził się tylko zmienić okładkę, a błędy muszą zostać, bo wydrukowali duży nakład. Czułam się bezradna, tyle pracy i taka klapa. Poskarżyłam się synowi, który przygotował ten tekst do druku i on to po męsku załatwił. Uzgodnił z drukarnią i przygotował skład. Oznajmił to Dyrektorowi Centrum. Zajęło mu to dwa dni pracy, ale wydrukowano poprawnie. Tylko Iza Radomska zgubiła trzy błędne egzemplarze w Instytucie Matki i Dziecka i nie udało się ich odnaleźć. Ktoś je ma.

Oj jestem już zmęczona, może czas odpocząć?

CZAS WSZECHSTRONNEGO DZIAŁANIA

Okrągły Stół. Specjalizacja. Krajowy Fundusz na rzecz Dzieci.

Okrągły Stół.

W 1989 r. nastąpiły ważne wydarzenia polityczne w Polsce. Skończył się ten złagodzony stan wojenny i rozpoczęły się obrady Okrągłego Stołu, zmiany w rządzie i pierwsze demokratyczne wybory. W każdej dziedzinie życia należało zaprowadzić nowy porządek. Organizowano samorząd lekarski i pojawiły się obrady zawodowych „okrągłych stołów”. Ministerstwo Zdrowia organizowało takie narady. Doc. Kuratowska, działaczka „Solidarności” w CMKP, delegowała mnie do pediatrycznego stołu. Drugą stronę, czyli partię komunistyczną, reprezentowała prof. Bożkowska dyrektor Instytutu Matki i Dziecka. I ona, witając się ze mną, mówi, że zostaną mianowana Specjalistą Regionalnym w regionie Warszawy, ale z wyłączeniem stolicy. Tu ma rządzić dr Krystyna Jezińska, ordynator oddziału noworodków w szpitalu Bródnowskim. Prosi, żebym się temu nie przeciwstawiała. Dziwne, tu są kliniki, a ich kierownicy wraz ze mną mają podlegać lekarzowi bez doktoratu. Ale zgodziłam się i to był błąd. Nie wiedziałam, jakie będą tego skutki, jakie to będą rządy.

Mnie podlegał ten duży teren województwa, który znałam już w okresie pracy w Dziekanowie. A byli w nim dobrzy lekarze, jak Elżbieta Sałasińska w Siedlcach, a przede wszystkim dr Teresa Dąbrowska w Sokołowie Podlaskim. Ona zorganizowała oddział intensywnej terapii noworodka w tym regionie. To były czasy, w których o wszystko trzeba było walczyć, często dziwnymi sposobami. Pamiętam, że nie pozwolono jej zatrudnić w szpitalu bakteriologa i dopiero mój telefon do wojewody umożliwił uruchomienie bakteriologii. Ale ona własnymi siłami zdobyła w ostatnim czasie karetkę R dla regionu. Dostałam właśnie od niej życzenia świąteczne (jest grudzień 2004 r.) i jest dopisek „oddział zakontraktowany, karetka też”. Ona pokonuje nawet obecny bałagan z Narodowym Funduszem Zdrowia. O takich ludziach trzeba pisać, a nie o pseudo-uczonych na wysokich stanowiskach. Ja czuję się zaszczycona, że tacy ludzie mnie pamiętają.

Specjalizacja

W 1981 r. w czasie pracy w zarządzie Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego przygotowałam program specjalizacji z neonatologii jako II-gi stopień, po pierwszym z pediatrii. Ta specjalizacja była jednym z celów

działania kliniki CMKP, ale musiała poczekać na lepsze czasy. Inicjatywa taka była wielokrotnie podejmowana przez zarząd sekcji neonatologicznej, ale część członków zarządu PTP była temu przeciwna. W 1989 r. korzystając z faktu, że dyrektorem CMKP został prof. R. Brzozowski, długoletni podsekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia, przekonałam go do wystąpienia z tą propozycją przez naszą uczelnię. Dużą zasługę miała prof. Janina Niżnikowska, uzyskując wreszcie zgodę zarządu PTP. Minister zatwierdził tę specjalizację.

Zarząd sekcji neonatologicznej przeprowadził wstępną weryfikację, a następnie egzaminy weryfikacyjne. Ten egzamin zdało wtedy 312 pediatrów w pięciu klinikach neonatologii. Już przed tym pierwszym egzaminem wielu lekarzy uzupełniło swą wiedzę. Ustabilizowała się kadra neonatologów.

Prof. Bożkova zapytała, komu z naszego zespołu należy przyznać specjalizację bez egzaminu. Odpowiedziałam, że wszystkie asystentki kliniki mają odpowiednią wiedzę, ale nie chcę nikogo wyróżniać. Dla przykładu wszyscy przystąpią do egzaminu, uzgodniłyśmy to razem. Wychodziłam z założenia, że jeśli każdy z ordynatorów warszawskich dostanie tę specjalizację, to w małych prowincjonalnych oddziałach z jednoosobową obsadą, mogą być specjaliści o słabych kwalifikacjach.

Na zebraniu sekcji neonatologicznej PTP poprosiłam stołecznych ordynatorów na naradę i przedstawiłam swoją koncepcję. Ustaliliśmy termin i to, że przyjdą wszyscy do naszej kliniki i załatwimy to bezboleśnie, przy kawie, ale formalnie. I zorganizowałam taką kameralną dyskusję. Kilka najważniejszych problemów i postępowanie. Każdy mógł zabrać głos, ale nikt nie musiał. Jedna z lekarek powiedziała mi, że uświadomiła sobie, że niektórych problemów musi się jeszcze nauczyć i było to osiągnięcie celu na tym etapie.

Byłam na pierwszych egzaminach weryfikacyjnych we Wrocławiu, Katowicach, Poznaniu i w Białymstoku. CMKP sprawowało nadzór nad ich organizacją.

Krajowy Fundusz na rzecz Dzieci

Po politycznym przewrocie zostałam zaproszona do udziału w tej pozarządowej organizacji. Zajmowała się ona służbą zdrowia i promowaniem utalentowanej młodzieży w różnych dziedzinach. Fundusz dysponował pieniędzmi ze źródeł o charytatywnej działalności. Objął on opieką oddziały noworodków i intensywnej terapii oraz chirurgii dzieci. Zakupiono aparaty do wspomagania oddechu i krążenia oraz przyłóżkowe aparaty rentgena. Zakupiono też polskie łóżeczka-wózki dla noworodków, co zmieniło tradycyjne oddziały noworodkowe w system matka z dzieckiem. Były również zakupy

zagranicznej literatury medycznej. Właściwy przydział tego wyposażenia był bardzo ważny, bo nie wystarczał dla wszystkich, a trzeba go było dobrze wykorzystać.



Otwarcie Oddziału Noworodków w Sokółowie Podlaskim. Odslaniam tablicę. W fartuchu lekarskim, ordynator oddziału, dr Teresa Dąbrowska.

Przyznawaliśmy również stypendia na trzymiesięczne szkolenie neonatologów w Nowym Yorku. I tu trzeba podkreślić zasługi Irki Twarowskiej. To klinika poznańska rozpoczęła wykłady tego Chińczyka, dla ograniczonej grupy zapraszanych pediatrów. Następnym etapem były wyjazdy neonatologów. Uczestniczyłam w Funduszu w przydzielaniu tych stypendiów.

Ale po pewnym czasie przesunięto mnie z grupy roboczej do zarządu Funduszu. Okazało się, że rządzi w nim niepodzielnie anestezjolog dr Rawicz.

On skreślał, z niewiadomych mi przyczyn, przydziały dla mojej kliniki. Wytrzymałam to krótko. Ja się na atrapę nie nadaję. W tym samym czasie zrezygnował z udziału w Funduszu mój kolega ze studiów, znakomity chirurg, prof. Kazimierz Łodziński. A Fundusz przysyła mi jeszcze zaproszenia na koncerty w Zamku, ale to przekracza moje możliwości, bo ja przekroczyłam 80 lat.

KONFLIKT SEROLOGICZNY - CZY ETYCZNY

Centrum Zdrowia Dziecka CZD – instytucja o dużej sławie w kraju, wyposażona w aparaturę niedostępną dla innych szpitali. No i nazwiska znanych lekarzy. Wielu z nich ceniłam, chyba nawet z wzajemnością.

Cóż więc się stało, że zaczęłam z nimi walczyć o medyczną prawdę i zostałam za to publicznie znieważona? Były dwie sprawy: 1) sfałszowana specjalizacja z neonatologii i 2) błędna instrukcja o postępowaniu w żółtaczkach noworodków, opublikowana jako załącznik do Pediatrii Polskiej.

1) specjalizacja.

Program specjalizacji z neonatologii wymagał odbycia określonych staży i trwał 3 lata. Wstępna weryfikacja bez egzaminu i z egzaminem była już zakończona.

Myślę, że niektórzy pediatrzy nie rozumieli odrębności pracy w oddziałach noworodkowych i dziecięcych. Uważali, że skoro mogą leczyć noworodki, to są już neonatologami. A pediatria, nawet najlepsza, przyjmowała dzieci wyselekcjonowane już w pierwszych dniach życia, często z zaawansowanymi objawami choroby. Neonatolog, współpracując z położnikiem, musi zauważać wstępne, nikłe objawy choroby. Nasilone każdy głupi widzi. My musimy zarówno wyprzedzać z leczeniem te ciężkie stany, jak i nie leczyć ze strachu zdrowych dzieci. I doświadczenie pozwala na wyodrębnienie tych podejrzanych o chorobę, z grupy zdrowych. Są również choroby występujące tuż po urodzeniu, wymagające szybkiego działania. Klasyczne są trudności z adaptacją do oddychania, które trzeba leczyć szybko, a nie czekać na transport do innego szpitala. Również choroba hemolityczna noworodków wymaga szybkiej diagnostyki i leczenia w miejscu urodzenia. Tym się zajmuje neonatolog. Współpraca neonatologów z pediatrią ogólną też jest konieczna.

Profesorom pediatrii nie jest potrzebny tytuł neonatologia. Ich asystenci mogą się doszkolić według potrzeby, nie robiąc tej specjalizacji. Ale przepisy nie są po to, aby je omijać. A oszustwo jest oszustwem.

Doc. B. Milewską Bobułę poznałam na zebraniu Krajowego Funduszu Na Rzecz Dzieci, na komisji rozpatrującej podania o stypendium na trzymiesięczny pobyt w klinice w Nowym Yorku, u znanego nam prof. Jen Tien Wunga. Przyznaliśmy wtedy stypendium dr I. Radomskiej, która prowadziła już przekazaną przeze mnie klinikę, oraz dr T. Dąbrowskiej z Sokołowa Podlaskiego.

Ja zakwestionowałam podanie z Centrum Zdrowia Dziecka, ponieważ doc. Milewska-Bibula nie była neonatologiem. Ale ona oświadczyła, że zaczyna tę specjalizację, a na wyjazd trzeba czekać, to będzie już w tej tematyce zaawansowana. Zgodziłam się, a ona tej umowy nie dotrzymała. I miała do mnie pecha. Byłam w Komitecie PAN i otrzymywałam do recenzji plany naukowe. Z takiego planu dowiedziałam się, że ona ma już tę specjalizację. To było niemożliwe, upłynęło zbyt mało czasu. Sprawdziłam to w CMKP. Tak, ma specjalizację. Staż specjalizacyjny w oddziale noworodków w szpitalu na Bródnie. I okazało się, że była tam tylko przez jeden miesiąc, co stwierdził kierownik kliniki położnictwa, w skład której wchodził oddział noworodków. To dr Jezierska zaliczyła jej fikcyjną praktykę. Kto jeszcze w tym pomagał, nie wiem.

To fakt, że pojechała do Stanów bez odpowiedniego przygotowania. Przywiozła z tej kliniki różne materiały i, jak się okazało, nie umiała ich dobrze przetłumaczyć ani prawidłowo interpretować. Lekarz mający znaczące tytuły naukowe i fikcyjną specjalizację jest niebezpieczny, gdy nie widzi własnych błędów. I to się sprawdziło w tej drugiej aferze.

2) Błędna instrukcja o leczeniu żółtaczek.

W trzecim numerze *Pedii Polski* 1994 r. ukazała się wkładka zatytułowana: „Zasady postępowania w hiperbilirubinemii noworodków”. Autorami było czworo asystentów oddziału patologii noworodka i niemowlęcia w Centrum Zdrowia Dziecka. Ordynator (nie wymieniony) prof. Krystyna Rowecka-Trzebicka.

W opracowaniu były liczne błędy. Gdyby to było tylko świadectwo braku dostatecznej wiedzy autorów, można by było nie reagować. Niestety, zalecane postępowanie mogło powodować powikłania a nawet zgon dziecka. (dlatego treści tej wkładki nie zamieszczam a tylko przechowuję). Nie otrzymałam tej pracy do recenzji, chociaż byłam członkiem redakcji tego pisma. Nie mogłam więc tego problemu nie zauważyć, zwłaszcza, że przez wiele lat byłam członkiem Krajowego Zespołu ds. Transfuzjologii. Prof. Halina Seyfriedowa, aktualna przewodnicząca tego zespołu, potwierdziła duże błędy w tej instrukcji. Musiałyśmy ten problem załatwić. Napisałyśmy krytykę skryptu, do zamieszczenia w *Pedii Polski*.

Ale ja chciałam to załatwić w sposób mniej obciążający ten zespół. Prowadziłam rozmowy z prof. Rowecką i doc. Milewską-Bobulą, proponując, aby sami napisali korektę i poprosili o wycofanie tej pracy z obiegu. Spotkałam się tylko z arogancją i obelgami. Daty kolejnych numerów miesięcznika nie pokrywają się z aktualnymi datami tych wydarzeń. Ale fakt, że niefortunna

wkładka ukazała się w 3-cim numerze *Pedii*, a nasza krytyka dopiero w 11-tym, świadczy o tych pertraktacjach. I to nie była walka z autorami tej pracy, tylko konieczna obrona zdrowia i życia dzieci. W tym pierwszym liście myśmy nawet nie wymieniły nazwisk autorów. Jeśli ktoś tę wkładkę wyrzucił, to nie dowiedział się od nas, kto to napisał.

Nasza wypowiedź nie była dyskusją, bo dyskutować można tylko różnicę poglądów, a błędy można tylko poprawiać. Te błędy były niewątpliwe. Zalecanie przetaczania krwi w ChHN, bez identyfikacji antygenów, które uodporniły matkę i wstrzykiwanie wszystkim noworodkom krwinek Rh(-), bez próby krzyżowej, to groźna ignorancja. A prof. Rowecka - Trzebicka nie widzi błędów swoich asystentów.

Przed oddaniem pierwszego listu do druku, zorganizowałam nadprogramowane zebranie szkoleniowe Warszawskiego Towarzystwa *Pediatrycznego*. Były referaty prof. H. Seyfriedowej i mój oraz dyskusja. Zaprosiłyśmy na nie autorów broszury i była na nim doc. Milewska-Bobula. I ona była również u mnie w domu, gdzie przez godzinę tłumaczyłam jej, co należy sprostować. Przysłała mi takie niby sprostowanie, którego chyba nigdzie nie wysłała, ale zaadresowała do firmy kolportującej *Pediatrę Polską* – czyli na niewłaściwy adres. I nikt tego nie otrzymał.

Rozmowy z prof. Rowecką nie powiodły się ani mnie ani prof. Wyszynskiej, redaktorowi *Pedii* Polskiej. Sprawa była w zawieszeniu. Autorzy przysłali odpowiedź na niewydrukowany jeszcze nasz list. W tej odpowiedzi podawali cytaty z mojego podręcznika, ale cytowali źle, tylko fragmenty zdań.

To było jak słynny cytat z Biblii. Krótki cytat z Biblii „nie ma Boga”. Nieco dłuższy cytat z Biblii „nie ma Boga w sercu twoim...” Jak mogli ci niby neonatolodzy sądzić, że ktoś leczył płód transfuzją, nie stwierdzając w krwi matki przeciwciał antyerytrocytarnych i nie ustalając ich swoistości. Oni, jako pediatrzy, mieli od razu gotowe dziecko do leczenia. Żadna ciężarna ich nie interesowała, bo neonatolog ma dziecko od rodzącej, a pediatra prosto z karetki pogotowia. A w karetce przeciwciał nie ma, mogą być najwyżej bakterie. Trzeba było to wreszcie zakończyć.

Na moją prośbę 26. VI. 1995 r. odbyło się zebranie komitetu naukowego *Pedii* Polskiej. Prof. T. Wyszynska przeprosiła mnie za pominięcie w recenzji, ale to było za zamkniętymi drzwiami i nie kończyło tej sprawy. Prof. Cabalska poparła moją prośbę o wydrukowanie razem trzech listów, już z moją odpowiedzią i taka decyzja zapadła uchwałą tego komitetu.

I to nie było zakończeniem sprawy. W nr 4 *Pediiatrii Polskiej* z 1995 r. ukazał się kolejny list podpisany przez prof. Rowecką. Ona dalej błędów nie widzi. A krytykuje tylko mnie. Zarzuca mi nawet, że jestem agresywna w swoich wystąpieniach, a stale nadzoruję klinikę i przysyłam jej dzieci do leczenia. To już zbyt fantazja. Po emeryturze nie zbadałam w klinice żadnego dziecka, a praktykę prywatną przerwałam wcześniej, więc nigdzie żadnych dzieci nie przysyłam.

Zwracam uwagę, że cały atak jest bez argumentów i skierowany jest tylko do mnie. A pierwszy list podpisała prof. Seyfriedowa, jako Specjalista Krajowy ds. Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa, a mój podpis był drugi, jako neonatologa. Dlaczego prof. Rowecka nie chce wyciągnąć konsekwencji z faktu, że specjalista krajowy tak bardzo się myli. Ja podpisałam sama tylko ten drugi list jako członek redakcji *Pediiatrii Polskiej*.

A naczelny redaktor *Pediiatrii Polskiej* pisze pod tymi wymysłami, że dyskusje w pismach naukowych są ważne, ale ta była nieprzyjemna i tę „dyskusję” zamyka. Przykro mi, bo ceniłam zawsze prof. T. Wyszynską jako znakomitego lekarza. Ale jako redaktor pisma nie zdała egzaminu. Zauważyć należy, że zarówno autorka tego czwartego listu, jak i redaktor pisma, były kierownikami klinik w tej samej instytucji CZD.

A cały problem polegał na tym, aby najpierw uczyć się samemu, a dopiero po tym nauczać innych. Ja się nauczyłam podstaw dobierania krwi do transfuzji w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku i w tym nic się nie zmieniło, poza doskonaleniem metod badawczych. A ci uczeni piszą, że szkoda, że przepisy transfuzjologiczne wydano dopiero po ich publikacji. To były te ostateczne przepisy, a wcześniejszych było wiele, w powszechnie dostępnych pismach.

Ja rozumiem, że oni nie znają nazewnictwa wszystkich około pięćdziesięciu antygenów układu Rh. Ale oni nie znają nawet tych pięciu, występujących powszechnie w genotypie człowieka. Są to antygeny: C c, D, E e. To można przeczytać wszędzie. Jeśli nie sięgnęli do podręczników transfuzjologii (kilka wydań), to może choć znają podręcznik *Hematologia Kliniczna Wieków Dziecięcego PZWL 1982 r.* Oni czytają tylko po amerykańsku i tego, co czytają, nie rozumieją. I to są skutki sfałszowanej specjalizacji doc. B. Milewskiej Bobuli i wysłania jej na stypendium do Nowego Yorku. Nie mogła tam wiele skorzystać, bo nie miała wiedzy z tej dziedziny.

A tego amerykańskiego skryptu nie wolno było cytować naszym autorom. Amerykanie nie ryzykowałiby narażania się na odpowiedzialność karno-administracyjną. Dlatego na tytułowej stronie ich opracowania znajduje

się następujący tekst: „Celem tego podręcznika jest orientacja i szybkie uzyskanie informacji, nie jest to Biblia ani zestaw sztywnych przepisów”. Następnie wymienione są wszystkie oddziały, które otrzymują ten skrypt. Nie ma wśród nich oddziału położniczo-noworodkowego ani pediatrów obcokrajowców nie przeszkolonych w neonatologii. No i nasi cytują źle. Tam są rozważania dotyczące najcięższych stanów w Klinice Intensywnej Terapii, a ta cytowana tabela nie dotyczy wszystkich przypadków patologicznej żółtaczki noworodków. Amerykanie nie popełnili w niej błędów. Oni rozważają, jakie działanie wybrać, gdy zabieg transfuzji wymiennej stwarza duże niebezpieczeństwo śmierci, a nasilenie żółtaczki duże prawdopodobieństwo uszkodzenia mózgu. I stąd pojawiło się w tabeli zalecenie, aby TW wykonywać, u dzieci z masą ciała powyżej 2000 g, dopiero przy stężeniu bilirubiny powyżej 20 mg %. A nasi zalecają takie działanie u wszystkich noworodków. Trzeba rozumieć tekst, aby go dobrze cytować.

A co na to Izba Lekarska, komisja etyczna, do której zwróciłam się, gdy mi tak publicznie nawymyślano w lekarskim piśmie? Czy zgadza się, że znany profesor Pediatrii ze słynnego szpitala zaprzecza błędom, które mogą szkodzić dzieciom? Nie, aż tacy odważni nie są. Dostałam list od przewodniczącego Izby, w którym pisze, że wobec niejednorodnych poglądów, ale licząc się z zarzutem o szkodliwości napisanych w broszurze zaleceń, przesyła ją do dodatkowej recenzji prof. Barbarze Żupańskiej. I cisza, swoje zrobił. Ale ja otrzymałam wydruk tej recenzji z komputera. Prof. Żupańska pisze, że są błędy i przesyła nawet dla ułatwienia autorom poprawek, jakąś anglojęzyczną broszurę. Ale kończy to tak: „ze względu jednak na zawarte w nim zalecenia błędnego postępowania, które może zagrażać zdrowiu i życiu dzieci, proszę o powtórne przesłanie do recenzji poprawionego tekstu, przed ich opublikowaniem”. Jej nie powiadomiono, że ten tekst już został wydrukowany i rozesłany z najpopularniejszym czasopiśmie pediatrycznym. Ona może myśleć, że autorzy zrezygnowali ze swojego dzieła. Ot taka mała sztuczka Izby Lekarskiej.

Ale sumienie w tej Izbie kogoś dręczyło. Okręgowy Rzecznik Odpowiedzialności Zawodowej, prof. Z. Czernicki, nie chciał tej odpowiedzialności ponosić. Zawiadomił mnie, że wobec potwierdzenia błędów przez prof. Żupańską, przesłał tę sprawę do wiadomości prof. Gajewskiej - Głównego Specjalisty ds. Neonatologii. Żadna jej reakcja nie jest mi znana.

Ja zrobiłam to, co do mnie należało. A doc. Milewska Bobula czuje się dobrze i przy każdym spotkaniu ze mną oznajmia mi prowokacyjnie swoje rzekome zwycięstwo.

Muszę zaznaczyć, że nigdy nie występowałam o ukaranie autorów tej broszury, a tylko o sprostowanie niewłaściwych zaleceń, szkodliwych dla zdrowia noworodków. To nie są materiały z procesu, tylko moje wspomnienia. Nie załączam więc dowodów dotyczących tego sporu, tylko zostawiam je moim spadkobiercom.

Jeszcze przed wystąpieniem do Izby Lekarskiej, chciałam to wszystko załatwić w zakresie działania Sekcji Neonatologicznej PTP. Planowałam zaprosić na nasze zebranie zespół autorski z CZD i wyjaśnić sprawy specjalizacji oraz tej błędnej instrukcji. Ale zapytane o to grono pediatrów, w tym przewodnicząca sekcji dr I. Radomska, nie zainteresowało się tym. Odczułam to jak votum nieufności. Miarka się przebrała.

Zwołano walne zebranie Sekcji i wybrano na przewodniczącą lekarza Krystynę Jezierską, z klucza partyjnego przy Okrągłym Stole. Zebrania sekcji przeniesiono do szpitala na Bródnie. Wypisałam się z tej sekcji i na zebrania Bródnowskie nigdy nie poszłam. Była to moja największa porażka zawodowa.

W 1995 r. Klinika Poznańska urządziła zjazd neonatologów na terenie poligonu jakiejś jednostki wojskowej. Warunki bardzo spartańskie. Sala wykładowa ze złą obsługą wizualno-słuchową. Janka Niżnikowska mówiła stojąc tyłem do słuchaczy, objaśniając z trudem ledwo widoczne przezroczka. To nie była jej wina.

Ja zdecydowałam się na przygotowaną mównicę. Ona była dobra dla mocnych chłopów, a nie niewyrośniętych lekarzy. Schowałam się więc z głową w tej mównicy, nie widziałam słuchaczy ani wyświetlanych slajdów. Ja mam taką wadę, że muszę czuć kontakt z salą. A tu go nie było i położyłam ten wykład (to moja ocena). Błędów nie zrobiłam, tylko dynamiki zabrakło. Ale odebrano go dobrze. To było opracowanie wspólne z H. Seyfriedową pt. „Problemy transfuzjiologiczne w okresie noworodkowym”. Ukazało się w VI tomie wydawnictwa „Postępy Neonatologii”, pod redakcją J.Szczapy i I. Twarowskiej w 1995 r. I to zamykało tę aferę z niefortunną instrukcją. Na tym zjeździe była Elżbieta Gajewska, która wyspecjalizowała bezprawnie (może nie wiedząc) tę Bobulę. Ale Izba Lekarska przesłała jej już negatywną recenzję prof. Żupańskiej i musiała czytać to dzieło. Powinna jakoś zareagować na mój referat. Nie odezwała się. Uszy po sobie położyć i milczeć – to było stanowisko osoby rządzącej oficjalnie neonatologią. Nie pamiętała również o naszej przyjaźni, o spotkaniach na Miodowej. Nie zauważała mnie. To było smutne.

Już po tej aferze z CZD byłam na zjeździe neonatologów zimą, w okolicach Wisły. Miałam tam referat, w którym przedstawiłam negatywną ocenę stosowania Erytropoetyny w późnej niedokrwistości w ChHN.

Omówiłam w nim również problem mylnej oceny retikulocytozy u noworodków leczonych krwią w życiu płodowym, bo w krwi konserwowanej nie ma retikulocytów. Referat był dobrze przyjęty przez słuchaczy, ale czołówka neonatologów była w tym czasie na jakiejś naradzie i nie słyszała go.

Ale jest i drugi aspekt, dlaczego o tym piszę. Na śniadaniu siedziałam przy czteroosobowym stoliku z Izą Radomską i Małgosią Kępińską. Usiadła z nami nieznaną mi lekarka. Jak się okazało, była to dr A. Dobrzańska, jedna z autorek tej mylnej instrukcji. Usiadła również przy nas na wykładzie i gratulowała mi udanego wystąpienia, a potem odwiozła mnie i Małgosię służbowym samochodem z szoferem do Warszawy. Ona była z tych wyższych sfer. Oczywiście ten wspólny powrót był dziełem Małgosi, ja bym tego nie wymyśliła. Było to jednak ciche pojednanie i to się liczy. Nawiasem mówiąc myślę, że tej błędnej instrukcji nie pisały aż cztery osoby.

W 1999 r. byłam na zjeździe PTP w Świnoujściu i tam Jerzy Szczapa i Kasia Kornacka rozmawiali ze mną o ewentualnym opracowaniu żółtaczek i konfliktów serologicznych.

A potem przyszedł list od dr Z. Maciejewskiego, pierwszego autora tej niefortunnej instrukcji. Pytał, czy może powołać się na moje piśmiennictwo. Odpowiedź była prosta. Cytować można każde, niezastrzeżone piśmiennictwo, bez zgody autora, jeśli robi się to poprawnie. Od Pana oczekiwałam bezskutecznie jednego polskiego słowa: PRZEPRASZAM.

Ale przesałam do doc. Dobrzańskiej moją nową monografię o konfliktach serologicznych, powołując się, na nasze zjazdowe spotkanie „ponad podziałami” i wymieniliśmy przyjazne listy. Okazało się, że ten lekarz nie jest już jej asystentem.

Ale z tego listu dowiedziałam się, że to Specjalista Krajowy ds. Neonatologii zalecił to nowe opracowanie żółtaczek noworodków. W pięć lat po tej aferze wiara w mądrość sławnego szpitala CZD wciąż trwa. Ale już to zrozumiałam. Ten specjalista długo pracował w dobrej klinice neonatologii, ale miał inną drogę rozwoju. On nie był najpierw pediatrą, tylko położnikiem i jak widać nie miał zwyczaju czytać „Pediatrii Polskiej”. Ale to już nie moja sprawa.

Prof. Kornacka była członkiem zespołu ds. rekomendacji prac w ramach programu opieki perinatalnej. Poprosiła mnie o naniesienie ewentualnych poprawek do nadesłanych tekstów.

Wpadłam w zdumienie. To „Żółtaczkę noworodków” i autorzy Z. Maciejewski i B. Milewska-Bobula. Oni już mnie chyba nie opuszczą. Ale jest już tylko dwóch autorów, to postępek. Niestety, było tam znów wiele błędów i

niejasnych sformułowań. Poprawki jednak naniósł, pisząc jednocześnie negatywną ocenę.

Spotkała mnie niespodziewana propozycja prof. Kornackiej, aby po naniесieniu tych poprawek, praca ukazała się z adnotacją, że ja wykonałam superrecenzję. Nie mogłam się na to zgodzić. Nie życzyłam sobie współpracy z tym zespołem i nie mogłam brać odpowiedzialności za to, co oni jeszcze zmalują. Firmowć tego nie będę.

Ale zdumiewające było, że oni w dalszym ciągu innych pouczają, a sami się nie uczą. W transfuzjologii w dalszym ciągu nadal myślą podstawowe pojęcia, jak układ grupowy, grupa krwi i antygen. Układ Rh-D, jak podają, nie istnieje. Trzeba zrozumieć, że pojęcie grupa Rh(-), powstało w okresie, gdy znany był tylko najsilniejszy antygen tego układu – antygen D. Gdy jest on w genotypie, to grupa jest Rh(+), gdy go nie ma, to grupa jest Rh(-). Ale rozmieszczenie pozostałych antygenów tego zespołu jest różne. Jest więc układ Rh, grupa krwi Rh(+) lub Rh(-) i różne antygeny tego układu.

Oni już się dowiedzieli, że w tym układzie są również antygeny C i E, ale c, e (małe) dla nich nie istnieją. A właśnie w konflikcie spowodowanym antygenem c (małe), przetacza się krwinki Rh(+). Taka niespodzianka nie przychodzi im do głowy, bo nie wiedzą, że w krwinkach Rh(-) prawie w 100 % znajduje się antygen c(małe).

A w schematach rozpoznawania różnych żółtaczek oni przerabiają znów anglojęzyczny tekst, czyniąc go często niezrozumiałym, bo nie chcąc robić plagiatu, opuszczają jego fragmenty. Kropka. Dłużej tego nie wytrzymam.

A co autor tych opracowań naprawdę o mnie myśli? Nie wiem, bo w liście do mnie pisze: „wyraży głębokiego szacunku”, podpisując się wcześniej w ogólnopolskim piśmie naukowym pod obrażającym mnie listem. A co ja o nim myślę – też nie wiem. Chyba to jest po prostu „młody polski uczoney”. Definicji tego tytułu nie piszę. Niech każdy czytelnik zrobi to sam. Te definicje będą na pewno różne. I tak musi być.

W 2004 r. spotkała mnie dziwna niespodzianka. Zostałam zaproszona na walne zebranie warszawskiego oddziału Towarzystwa Neonatologicznego. Był tam również zespół autorów tej błędnej broszury, nie wiem, czy cały, bo pierwszego z nich nie znam ani osobiście, ani z naukowych wystąpień.

Ustępująca długoletnia przewodnicząca zarządu, lek. Krystyna Jezierska, otrzymała brawa od sali i kwiaty. I stało się coś dziwnego. Ona podeszła do mnie, chociaż nikogo nie reprezentowałam i zaczęła dziękować nie wiadomo, za co i powiedziała, że te kwiaty to mnie się należą. Zdębiałam, to fatalne zagranie, jakiś nie kontrolowany odruch. Oczywiście kwiatów nie

przyjęłam, a ona powiedziała jeszcze, że my się nawet różniłyśmy w poglądach. Skwitowałam to stwierdzeniem, że przecież dalej się przyjaźnimy.

Ale tylko my dwie wiedziałyśmy, o co chodzi. O tę sfalszowaną specjalizację, a może o promocję tej fatalnej broszury. Dotychczas nie wiem, kto tę pozytywną recenzję napisał.

Uczono mnie, że błędy należy wybaczać i ja jej dawno wybaczyłam, ale Bobuli nie. Dziwne kariery naukowe nie są rzadkością w naszym kraju, a praca w słynnej placówce zapewnia dalszy awans. A publikować można przecież opracowania, którymi te kliniki naprawdę się zajmują. Czy oni tego nie wiedzą?

I muszę wyznać, że nie zapisałam się do utworzonego po mojej emeryturze Towarzystwa Neonatologicznego. Jej przewodnicząca, prof. Gajewska, nie widziała potrzeby współpracy ze mną. Ale ja jeszcze w tym środowisku istniałam. Na jakimś zjeździe podszedł do mnie prof. Jerzy Szczapa, przypiął mi do kłapy żakietu znaczek tego towarzystwa i powiedział: „pani nie musi się zapisywać, pani w nim jest”.

A klinika Neonatologii CMKP zaczęła powoli tracić znaczenie. Istnieje ona do dziś, ale nie ma w niej nikogo z moich klinicznych asystentów. Pracują w innych warszawskich szpitalach. W stołecznej neonatologii przewodzi klinika na Karowej, z szefem, prof. Katarzyną Kownacką, przybyłą z Poznania i to całe szczęście.

BŁĘDY I OCENY

Moja praca zawodowa, to po prostu praca lekarza. Czy istnieje lekarz, który nigdy nie popełnił błędu w diagnostyce, leczeniu i postępowaniu? Ja takim lekarzem nie byłam. O niektórych błędach się nie wie, lub nie pamięta. Jakże ja pamiętam? Były duże, tragiczne i drobne, a nawet śmieszne.

Te duże były w początkach mojej pediatrii na Litewskiej. Miałam zrobić nakłucie opłucnej w celu zmniejszenia płynu wysiękowego u dużego chłopca. Było dużo pracy i pielęgniarki przygotowały wszystko do zabiegu. Dziecko siedziało już w odpowiedniej pozycji i było starannie oczyszczone pole do nakłucia. Wykonałam je, ale płynu nie było. Zgroza, to nie to płuco. Szczęśliwie nie było powikłań. Ale była nauczka na całe życie. Kontroluj siebie i wszystkich pomocników.

Niemowlę z ciężką infekcją miało dużą niedokrwistość. W tych czasach przetaczało się z wyboru krew od rodziców. Nadawała się do tego krew ojca, ale nie było wyniku próby Wassermana. Gdy stan się pogarszał, zaryzykowałam tę transfuzję, a potem otrzymałam dodatni wynik tej próby. Prof. Barański nawet mnie nie obrugał, ale mój błąd był niewątpliwy. Podaliśmy dziecku dużą dawkę penicyliny. Zakomunikowałam to wszystko ojcu, a on nie zgłosił pretensji, tylko prosił, aby nie zawiadamiać o tym Sanepidu, bo „mąż mojej żony byłby zdziwiony, że ma dodatniego Wassermana”. Ten test był pod niewłaściwym nazwiskiem. Ale ten znajomy mi ojciec odebrał z matką dziecko z kliniki.

Miałam na sali dwunastoletnią dziewczynkę z białaczką. To była samotna matka i córka była jej jedyną miłością. Stosowaliśmy dożylnie kortyzon w dużych dawkach, aby zahamować produkcję leukocytów. Była codzienna kontrola leukocytozy. I raz dostałam wynik, a właściwie brak wyniku. Napisano: leukocyty źle pobrane. Lekarz prowadzący oddział polecił dać jeszcze jedną dawkę, w oparciu o poprzedni wynik. Ale znów – leukocyty źle pobrane. Okazało się, że nie ma leukocytów. A dziecko załamało się gwałtownie, to wyglądało jak agonía. Przetoczyłam krew i nastąpiła powolna poprawa, a po dwóch tygodniach zaczęła się remisja. Nie znam dalszych losów dziewczynki, ale wypisaliśmy ją w dobrym stanie. Może tym razem błąd choć trochę pomógł.

Raz była śmieszna przygoda. W domu, prywatna praktyka za pieniądze. Pisałam jakieś recepty i skierowania na badania, ale matka małego pacjenta przerwała mi to dodatkowym pytaniem. Po chwili patrzę, co napisałam, a tam: Rp. Mocz, trzy razy dziennie jedna łyżeczka.

Jak oceniali mnie pacjenci. Różnie.

Największe kwiaty dostałam za nic. Dziewczynka półtora roczna chorowała od kilku tygodni. Zaczęło się od wymiotów i nie było rozpoznania. Leczyli ją sławni lekarze, ale dziecko nie chce jeść, płacze na widok łyżeczki z lekarstwem i jedzeniem. Dostaje na zmianę luminal lub largactil, bez efektu. Badaniem nic nie stwierdzam, poza objawami lęku. Płacze i tyle. Badania dodatkowe bez zmian. Duży ubytek wagi. Poleciałam przerwać leki i karmienie. Poić z butelki płynem, który lubi. Poczekać aż sama wyciągnie rękę po jabłko lub herbatnik. A jak nie będzie poprawy, to dobry szpital z opieką matki. Zapomniałam już o tym dziecku, a tu nagle te piękne kwiaty. Nie poznałam tej matki, bo przyszła po kilku tygodniach. Dziecko było już zdrowe. A więc zbyt agresywne podawanie leków wywołało taki odruch obronny.

Najśmieszniejsza przygoda wyglądała tak. W domu, w godzinach moich przyjęć, otworzyłam sama wejściowe drzwi i byłam w lekarskim fartuchu. Jakaś kobieta waha się, czy wejść i mówi: „przepraszam, chyba się pomyliłam, bo ja do doktor Łozińskiej”. Ja się tak nazywam. „Ale ja do tej sławnej Łozińskiej”. Ubawiła mnie. Pytam, o co chodzi – o konflikt. Ja się zajmuję konfliktami, ale sławna nie jestem. Weszła. Przeprosiła mnie potem, bo wyobrażała sobie, że jestem bardzo duża i gruba. Nie jest łatwo być „wielką” w oczach ludzi. A bez poczucia humoru trudno żyć.

Ale co to znaczy osoba sławna? Trudna definicja. Taka sławna na wieki – to co najmniej jak Kopernik. A na krótko, to z encyklopedii. Mnie umieszczają od dawna w różnych takich dziełach, pewnie już z przyzwyczajenia. Nie wiem, dlaczego zaczęli. Ostatnie właśnie dostałam. „Złota Księga Nauki Polskiej - Naukowcy Zjednoczonej Europy”, 2006 r.

O dziwo! Spotkało się w niej trzech skłóconych pediatrów: prof. Wszyńska, prof. Rowecka i ja. Różnice w tych życiorysach, to przede wszystkim wiek. Jestem dużo starsza. Obie panie mają poważne odznaczenia państwowe, a ja ich nie mam. Bo dla mnie ważne odznaczenia to te z Powstania i z Polskiego Rządu Emigracyjnego w Londynie. Takich nie otrzymywały oczywiście dzieciaki. Ja tego nie podałam do encyklopedii, bo wojna to nie nauka. A ten jedyny państwowy Krzyż Zasługi, nadany w Stanie Wojennym w okresie procesu mojego syna, uznałam za farsę.

Ale w biografii prof. Roweckiej zasługują na uwagę dwie funkcje: Naczelny Rzecznik Odpowiedzialności Zawodowej Lekarzy i członek Komisji Biotycznej Instytutu Pomnik CZD. Podaję to bez komentarza. Mój udział w Komisji Etycznej CMKP też pominęłam. Funkcje były podobne, działania odwrotne.

Po przełomie politycznym zaszły zmiany w przepisach dotyczących stopni naukowych. Uczelnie mogły mianować swoich docentów profesorami nadzwyczajnymi bez akceptacji PAN. Dyrektorem CMKP był prof. Brzozowski i on polecił mi złożyć dokumentację z prac naukowych wykonanych po habilitacji. Posłano to do recenzji. Jednym z recenzentów była prof. H. Seyfriedowa, drugiego nie pamiętam. Ale w obu recenzjach napisano, że mój dorobek naukowy zasługiwał już dawno na tytuł profesora zwyczajnego. Zostałam więc szybko mianowana tym nadzwyczajnym, ale kazano mi znaleźć trzeciego recenzenta, który napisze szybko.

Zadzwoiłam więc do Róży Osuch-Jaczewskiej. Zgodziła się oczywiście, ale kazała przysłać te prace, bo z głowy tego nie napisze. Odpowiedź była natychmiast, zaskakująca. Było to kilka pustych kartek ze stemplami Kliniki Neonatologii w Katowicach i jedna, też pusta, z jej stemplem i podpisem. Było też jedno zdanie na osobnej kartce: „nie wygłupiaj się, napisz to sama”.

A potem na zebraniu Komitetu PAN jedna pani profesor mówi mi, że rozpatrywano moją nominację na profesora i padło pytanie, dlaczego CMKP występuje o to tak późno. Profesor z tej uczelni powiedział, że ja nigdy nie prosiłam o nic dla siebie, stąd to spóźnienie. Ma być jeszcze tajne głosowanie. A zaraz potem druga wypowiedź. Ja mam recenzować jej projekt pracy badawczej i trzeba jej dać najwyższą ocenę. Oceeniłam ten projekt sprawiedliwie, nie odrzuciłam i nie pochwaliłam nadmiernie.

Nominację na profesora dostałam i wręczył mi ją Wałęsa, a nie jakaś komunistyczna figura. Był ze mną w Belwederze mój mąż. Poszliśmy do kawiarni na Rozdrożu. Było spokojnie i miło.

A ja zaczęłam swój odpoczynek. Ale tak całkowicie się nie dało.

W 1998 r. otrzymałam nagrodę Polskiego Towarzystwa Medycyny Perinatalnej. Była to statuetka „Macierzyństwo Polskie” i dyplom. Ale nie byłam na jej uroczystym wręczeniu w Katowicach, gdzie mnie oficjalnie wywołano, bo zapomnieli mnie na ten zjazd zaprosić. Wręczono mi to na lokalnym posiedzeniu w Warszawie.

A w 2003 r. zostałam zaproszona na XIX Krajowe Sympozium Polskiego Towarzystwa Neonatologicznego do Poznania. Temat: „Noworodki z ekstremalnie małą masą ciała”. Jechałam tam bez referatu jako gość. W czasie otwarcia zjazdu znów dostałam piękną statuetkę (bardzo ciężką), przedstawiającą noworodka w przyjaznej ręce człowieka. I dyplom Honoris Causa, po łacinie, bardzo uroczysty. Wręczyli mi to prof. Jerzy Szczapa i prof.

Katarzyna Kornacka. Mówili o jakiś moich zasługach, chyba o wyodrębnieniu specjalizacji z Neonatologii.

Ja nie umiem być uroczysta, czuję się wtedy, jak wykopalisko w muzeum. Dziękuję więc prosto i serdecznie, ale kończę po swoim: „Myślę, że ja się wam kojarzyłam z tematem zjazdu i postanowiliście wyróżnić neonatologa z ekstremalnie małą masą ciała”. Był śmiech, brawa i rozładowanie napięcia.

Udekorowano również prof. Gajewską i ona przemówiła do mnie serdecznie, jak dawniej. Powiedziała, że najlepsze czasy były, gdy spotykałyśmy się na Miodowej. To mnie też ucieszyło.

Zjazd był ciekawy. Zagadnienie granicy rozsądnego i etycznego wyboru w ratowaniu życia coraz mniej dojrzałych dzieci, będzie zaprzętać lekarzy przez długie lata. Co wybrać, gdy ryzyko śmierci i skrajnych zaburzeń rozwoju jest zbliżone? Gdzie jest granica lekarska i etyczna?

Jak zawsze były na tym zjeździe miłe, przyjacielskie spotkania. Cieszyło mnie, że zna mnie młode pokolenie i chce ze mną rozmawiać. Nawet jedna lekarka pojechała do Poznania (zjazd był poza miastem), aby kupić moją „Neonatologię” i uzyskać na niej mój podpis. To było zdumiewające.

Muzyka była nowoczesna, dla mnie nawet zbyt głośna, a ja już skakać przy niej nie mogę. Byłam tu tylko dzięki życzliwości i opiece organizatorów i moich dawnych asystentek. Eskortowała mnie Iza Radomska, a Małgosia Kępińska przyjechała na jeden dzień z sanatorium, aby być przy tych moich wyróżnieniach.

To miało być zakończenie mojej neonatologii. Okazało się jednak, że niełatwo zakończyć wspomnienia. Ja stale jeszcze jestem przytomna, ale chodzę wolno, a dalsze odległości pokonuję tylko taksówką.

A tu znów zaproszenie. Jest jubileuszowe XX Sympozjum w Katowicach. Oni zapraszają, a ja nie mam siły. Nie mogę być ciężarem do końca życia dla byłych współpracowników. One muszą brać udział w obradach i świętowaniu, bez tego obciążenia. Napisałam list pożegnalny, tłumacząc, że niestety...

Dzień przed zjazdem telefon z Katowic. Jakaś kobieta pyta, czy będę jutro w domu. Zle słyszę, coś brzęczy w telefonie, a może w moim uchu.

Jest już to jutro i o godzinie otwarcia zjazdu otrzymuję piękne kwiaty i jeszcze piękniejszą treść: „Z wyrazami szacunku od organizatorów i uczestników zjazdu.”

Czy oni mnie jeszcze znają? Czy ja ich znam? Jest rok 2004... 2005... 2006...

SPIS ROZDZIAŁÓW

Dzieciństwo	3
Na progu dorosłego życia	8
Wojna	11
Przełom - lata 1941- 1942	18
Szpital na Płockiej	26
Powstanie	30
Kapitulacja	42
I znów Warszawa	46
Staż i specjalizacja	56
Noworodki	62
Zmiany w polityce, nasze życie i praca	77
Praca naukowa i postęp medycyny	80
Zjazdy międzynarodowe	87
Pierwsze sympozja neonatologiczne	90
Błędne referaty na zjazdach	93
Neonatology a położnicy i władze miasta	96
Ośrodek konfliktów serologicznych	101
CMKP Dziekanów Leśny	107
Klinika Neonatologii i stan wojenny w tle	111
Mój dom	123
Doktoraty	130
Podręczniki	133
Czas wszechstronnego działania	136
Konflikt serologiczny czy etyczny	140
Błędy i oceny	149